

Proszę, śpiesz się powoli....

I rok cały zleciał bez dalekich podróży... ale na szczęście zbliżają się wakacje, czyli czas planowania nowej wyprawy do Azji. Przez pewien czas nie mogliśmy podjąć decyzji gdzie jedziemy. Była nawet opcja Etiopii, ale w związku ze wzrostem ceny biletu lotniczego i dość nieznanym dla nas lądem Afryki wybór padł na to co jest nam już dość bliskie czyli Azję i Indochiny. Bilet kupiliśmy w lutym na trasę Warszawa - Kijów - Bangkok, wylot z Warszawy 29 czerwiec. Potem zastanawialiśmy się które państwa odwiedzimy... postanowiliśmy w tym roku skupić się na Laosie i Kambodży z małym wypadem do Malezji. Tajlandię i Wietnam zostawiamy na inny raz.

28.06.2009 (niedziela)

Nastał w końcu długo wyczekiwany dzień wyjazdu. Wstajemy rano i o 11:25 wyjeżdżamy z Krakowa do Warszawy tanim pociągiem InterRegio. Jest to z wyglądu zwykła elektryczna osobówka, ale mknie tak samo szybko jak Intercity. Można sobie wyobrazić jak w niej się jedzie... Po pierwsze trzęsie na wszystkie strony, cud że nie wypadła jeszcze z torów, o czytaniu nie ma mowy bo literki same się rozbiegają. Po drugie jeśli siedzi się obok połączenia dwóch wagonów można praktycznie ogłuchnąć. No ale czego nie robi się aby jechać tanio.

Na nocleg zatrzymujemy się w Warszawie u rodzinki. Jutro dalsza część podróży.

29.06.2009 (poniedziałek)

Pobudka o 6:50. jedziemy na warszawskie lotnisko Okęcie. Na miejscu jesteśmy o 8:15. Odprawa naszego lotu już się zaczęła. Nadajemy najpierw nasze bagaże, które na początku wyjazdu ważą po około 10 kilogramów, czyli są lekkie jak piórko. Nadając bagaże wybieramy sobie również miejsca w samolocie, aby tak jak rok temu siedzieć przy oknie. Z racji tego, że przychodzimy wcześniej wybór miejsc jeszcze jest duży. Dalej idziemy do odprawy paszportowej i bezpieczeństwa. I tak robi się nam tylko godzina czekania na wylot naszego samolotu.

O godzinie 9:40 rozpoczyna się boarding osób do samolotu do Kijowa. Lecimy Boingiem 737 na około 150 osób ukraińskich linii Aerosvit.

Punktualnie o 10:10 nasz samolot startuje. Przed nami raptem 1godzina i 20 minut lotu do Kijowa. Przez okno samolotu widać niewiele, bo jak to zwykle bywa nad Europą zbyt dużo chmur. Chwilę po starcie rozpoczyna się poczęstunek, na który składa się jeden rogalik 7days, batonik, ohydne flipy (!!!) oraz napoje. Niestety tym liniom daleko do wysokiego standardu zeszłorocznych linii Qatar Airways.

Chmury znikają dopiero nad Kijowem i wyłania się zza nich najpierw widok na rozległe rozlewiska Dniepru, a następnie ukazują się blokowiska stolicy Ukrainy.

Po wylądowaniu nie możemy jednak wysiąść, bo jeden z pasażerów poczuł się źle i wezwano lekarza. Trzeba było czekać aż lekarz skończy oględziny delikwenta – młodego Litwina, który podróżował z ekipą znajomych. Na szczęście nie trwało to długo i po 20 minutach wyszliśmy z samolotu. I nagle zrobiła się godzina 13, gdyż trzeba było przesunąć jedną godzinę do przodu na czas kijowski. Tak więc do odlotu naszego następnego samolotu nie zostało wiele, raptem godzina. Musimy więc szybko znaleźć odpowiednią bramkę i poczekalnię. Kiedy docieramy na miejsce, już zbiera się kolejka ludzi. Obok nas na hali lotniska na rozłożonych dywanikach modlą się muzułmanie. Swoją drogą ciekawe skąd wiedzą na takim lotnisku, w którą stronę zwrócić się aby był to kierunek na Mekkę.] 1 Czekamy tylko 25 minut, o 13:30 rozpoczyna się boarding samolotu do Bangkoku. Tym razem lecimy dużym Boingiem 767 na około 300 osób. Siedzeń w rzędzie jest w sumie 7, rozłożone są na 2x3x2) My mamy 2 miejsca w rzędzie 29 z tego oczywiście jedno przy oknie.

Start samolotu to 14:00, jednak odlatujemy z lekkim 15-minutowym opóźnieniem. Pozostaje nam ostatni rzut oka na Kijów i można przyjrzeć się czym my to lecimy. Już dawno słyszałam, że

samoloty tej linii nie cieszą się najlepszą opinią, stąd byłam pełna obaw jak wygląda samolot. Nie jest źle. Samolot nie należy do najnowszych, widać to po z lekka zdezelowanych siedzeniach, ale co tam grunt, że bilety były w normalnych przystępnych cenach.

Za oknem widać jeszcze Ukrainę – najpierw lecimy nad rzeką Don, wpadająca do Morza Azowskiego, potem miasto Rostok. Dookoła cały czas ciągną się pola uprawne, oddzielone od siebie szpalerami drzew. Po godzinie lotu dostajemy ciepły posiłek – ryż z kurczakiem, sałatka z ogórków, bułeczka i soczek. Wyboru brak. Wszyscy jedzą to samo.

W końcu nadlatujemy nad Nizinę Nadkaspijską, która jest depresją około –28m n.p.m. nie widać żadnych osad tylko pola i pola i jeszcze raz pola, które są tu zadziwiająco regularne. Prostokąt obok prostokąta i tak przez wiele kilometrów. Jednak im bliżej Morza Kaspijskiego tym krajobraz zaczyna się zmieniać. Znikają z niego pola uprawne, a pojawia się coraz więcej rozlewisk, solnisk i bagien. W końcu nadlatujemy nad Morze Kaspijskie, chociaż jego granicę z lądem trudno ustalić, gdyż z okien samolotu widać iż ląd najpierw przechodzi w bagna, które następnie znikają na rzecz morza.

Dalej śledzenie trasy robi się trudniejsze, a to z paru powodów. Po pierwsze na telebimie w samolocie zniknęła mapa z na bieżąco aktualizowaną trasą, a w zamian za to włączono film. Po drugie za oknem pojawiły się chmury i widać niewiele. Musimy być gdzieś w okolicach północnego Iranu. Oby film skończył się jak najszybciej. Mnie się już nudzi, a Paweł śpi, jak większość podróżnych. W samolocie Qatar Airways każdy pasażer miał swój telewizorek i mógł sobie wybrać film jaki chciał z kilkuset pozycji, a tutaj jest telebim i wszyscy oglądają to, co załączy obsługa samolotu. Dobrze, że zabrałam ze sobą do samolotu skarpetki, bo tutaj też ich nie rozdają, dobrze że jest koczek i poduszeczka. W samolocie lecą głównie Ukraińcy, trochę skośnookich Tajów, paru Polaków oraz pokaźna grupa Litwinów, którzy lecieli tym samym samolotem z Warszawy.

Patrzę przez okno i właśnie widzę wschodni brzeg Morza Kaspijskiego, a za nią ląd. Nie ma tu już zieleni jak na zachodnim brzegu, teraz jest brąz pustyni z suchymi korytami rzek. Wygląda to prawie księżycowo. Tak jakby ktoś Ziemię odarł z wody, roślin i gleby. Po kilkunastu minutach lotu za oknem nizina przechodzić zaczyna w fantastyczne góry gdzieś gdzieś pokryte śniegiem. To zapewne jest Kandahar jest gdzieś na pograniczu Afganistanu i Pakistanu. W takich górach rzeczywiście może ukrywać się Bin Laden i w zupełności może liczyć na to, że nikt go nie znajdzie.

Litwini bawią się w najlepsze sprawiając obsłudze samolotu problemy. Właśnie jeden z nich został poproszony o eskortowanie kolegi na fotel, bo zatacza się od nadmiaru alkoholu. Zapewne zdążyli zakupić wyskokowe trunki w sklepach wolnocłowych, bo niestety na pokładzie samolotu nie można go dostać. Chyba specjalnie nie ma alkoholu w samolocie, bo jakby tak się Ukraińcy, Polacy popili...

Z każdą chwilą robi się coraz ciemniej. Jest to też spowodowane tym, że lecimy na wschód czyli czas nam się szybko skraca. Tuż przed Lahore nad Pakistanem rozpętała się burza. Od strony Himalajów waliła kanonada błyskawic. Po tej stronie samolotu za oknami co chwilę robiło się jasno. Samolot musiał wręcz zmienić kurs, aby ominąć tę szalejącą monsunową burzę. Dzięki temu lecieliśmy tylko obrzeżem burzy. W pewnej chwili błyskało się dość znacznie i po drugiej stronie samolotu, a my jakbyśmy lecieli tunelem pomiędzy burzami. Dalej lecieliśmy nad Niziną Gangesu. Koło 20:30 czasu kijowskiego zaczęto wydawać posiłek, na który tym razem składał się: jogurt, omlet na ciepło z sałatką fasolowo-cukiniową, deser: pokruszone paluszki, 3 ciasteczka, 2 kawałki żółtego sera(!!!) i kostki kandyzowanego ananasa. Takiego zestawienia deseru jeszcze w życiu nie widziałam.

W między czasie wypełniamy rozdawanego przez obsługę samolotu tajskie karty imigracyjne oraz karty informacyjne dotyczące naszego zdrowia – typu czy w czasie ostatnich 2 tygodni mieliśmy grypę, gorączkę, wymioty, biegunkę itp. To zapewne efekt licznych zachorowań na świńską grypę na świecie.

Dalej trasa samolotu wiodła nad Indiami (Kalkuta), Zatoką Bengalską i gdzieś koło 22 czasu kijowskiego wlecieliśmy nad terytorium Birmy. Na ekranie w samolocie znowu można śledzić trasę. Ponadto są tam wyświetlane informacje o samym locie np., że lecimy z prędkością 800

km/h, wysokość około 11km, temperatura -46°C.

Punktualnie o 23:07 czasu kijowskiego, a 03:07 czasu tajskiego lądujemy w Bangkoku.

30.06.2009 (wtorek)

Bangkok wita nas temperaturą w środku nocy 25°C. Po wyjściu z samolotu przechodzimy spory odcinek hal lotniska, dobrze, że mają szybkie ruchome chodniki. W jednym miejscu znajduje się nawet kontrola termiczna podróżnych, gdzie kamerą termowizyjną sprawdza się każdego przylatującego do Bangkoku. Na końcu jeszcze tylko kontrola paszportowa i jesteśmy w Tajlandii. Potem odbiór bagażu, na szczęście doleciał cały.

W końcu przychodzi czas opuszczenia lotniska. Korzystamy ze wskazówek naszego kolegi Bartka, który bardzo często bywa tu z grupami. Wjeżdżamy na drugie piętro lotniska, wychodzimy na ulicę, gdzie łapiemy tzw. „nielegalną” taksówkę i za 300 batów jedziemy do hoteliku New Merry V. Z nami zabiera się również jeden Polak, który sam przyjechał na trzytygodniowy urlop. Taksówka wychodzi więc taniej. Wesoły kierowca pokazuje nam nawet swoją marihuanę...

W recepcji hoteliku jest już karteczka zostawiona przez dziewczynę o imieniu Yum, o tym że przyjedziemy. Do Yum, znajomej Bartka, dzwonił wcześniej Paweł, aby zarezerwować pokój. Pokoik otrzymujemy aż na 4 piętrze. Musimy się tam jakoś wdrapać. Na szczęście w pokoju mamy wiatraczek, jednak mimo gorąca i wilgotności da radę wytrzymać bez klimatyzacji. Kierowca po drodze mówił, że najczęściej pada tak koło 17-18.

Myjemy się i padamy niczym muchy. Dochodzi już 5 rano, trzeba się choć trochę wyspać.

Tajlandia to ideał każdego początkującego backpackera. Tania, egzotyczna, tętniąca życiem i nieprawdopodobnie różnorodna. Będzie podobać się prawie każdemu. Dżungla i góry z jednej strony; imprezy, kluby i pulsujące życie nocne w Bangkoku. Plaże i tropikalne wysepki. Jedzenie. Świątynie ukryte w lasach. Khao San Rd, mekka backpackerów z całego świata. Tajski boks i tajski masaż. Podróże na słoniach przez niedostępne regiony. Dzielnice rozpusty. Szaleni riksarze. Wszystko, czego możesz szukać.

Tajlandia jest tania, ale nie jest biedna. Oprócz standardowej dozy naciągania turystów nie ma więc wszechobecnego wyludzania pieniędzy, żebractwa i oszustów. Również większość historii o podrzucaniu narkotyków do plecaków to mity. Mitem natomiast nie jest to, że Bangkok w pierwszej chwili oszałamia i trudno się po nim poruszać. Jednak po paru dniach turyści zazwyczaj się w nim zakochują.

Tajlandia leży dość blisko równika, więc należy spodziewać się że będzie gorąco i lekko przez cały rok (przynajmniej w większości kraju). Od marca do czerwca jest straszny skwar, powyżej 40 stopni. Od lipca do października trwa pora deszczowa – pada niemal codziennie, ale za to krótko i intensywnie. Od listopada do lutego jest najchłodniej i to też najlepszy pogodowo moment na przyjazd. Jako że Tajlandia ma reputację kraju o nieustannej ciepłej słonecznej pogodzie, warto jednak wiedzieć, że na dalekiej północy od połowy listopada przez cały grudzień temperatury w nocy spadają czasem do 5 stopni. Całe szczęście wraz ze wschodem słońca temperatura rośnie szybko i możesz być pewny, że dni będą ciepłe i bezdeszczowe.

Tajlandia jest nieprawdopodobnie popularna, więc od turystów uciec się nie da (chyba że w góry na północy). W grę wchodzi tylko większe lub mniejsze natężenie tłumy. Szczyt wypada między listopadem i marcem, czyli zgodnie z wykresem pogodowym dla większości kraju.

A teraz trochę informacji o samym kraju.

Tajlandia (Królestwo Tajlandii) – państwo w południowo-wschodniej Azji, częściowo na Półwyspie Indochińskim, a w części na Półwyspie Malajskim, graniczące z Laosem i Kambodżą na wschodzie, z Malezją na południu oraz z Birmą (Mjanmarem) i Morzem Andamańskim na zachodzie. Powierzchnia kraju to około 0,5 mln km², a zamieszkiwana jest przez 65 mln ludzi. Tajlandia jest także nazywana Syjamem, gdyż była to jej oficjalna nazwa do 11 maja 1949. Międzynarodowe określenie "Thai" znaczy po tajsku wolny. Jest to jedyny kraj tej części Azji, który nigdy nie został skolonizowany.

Rzeźba kraju jest bardzo urozmaicona. W części północnej i zachodniej znajdują się

wysokie pasma górskie Tanen Tong Dan, będące przedłużeniem Himalajów. Są one silnie rozczłonkowane i pocięte głębokie dolinami rzek. Rzeki rozdzielają masywy na szereg równoległych pasm o przebiegu południkowym. Góry wznoszą się na średnią wysokość 1500-2000 m n.p.m., a najwyższy szczyt, Doi Inthanon osiąga 2595 m n.p.m. W kierunku południowym wzniesienia stopniowo obniżają się i na Półwyspie Malajskim mają postać pojedynczych, izolowanych szczytów. Znaczną część kraju zajmują rozległe niziny. Centralnie położona jest Nizina Menamu. Jest to szeroka, płaska dolina aluwialna głównej rzeki Tajlandii. Na wschodzie graniczy, poprzez pasma górskie Dong Phraya Yen i Sang Kampeng, z Równiną Korat. Kraina ta zajmuje ok. 1/3 powierzchni kraju. Charakteryzuje się pofalowaną powierzchnią, ponad którą wznoszą się niewysokie pasma górskie. Teren urozmaicają też liczne jeziora, których największe ilości znajdują się w części północnej. Równina od północy i wschodu ograniczona jest rzeką Mekong, od południa wzgórzami Dograk, a od zachodu granicę wyznacza rzeka Pasak. Wschodnie wybrzeża nad Zatoką Tajlandzką są szerokie, o wyrównanych, piaszczystych brzegach. Znajdują się tu jedne z najlepszych plaż. Natomiast wybrzeża zachodnie ciągną się jedynie wąskim pasem wzdłuż Morza Andamańskiego. W pobliżu obu brzegów położone są liczne malownicze wysepki. Na Półwyspie Malajskim, na wschodnim wybrzeżu również znajdują się piaszczyste plaże, z kolei brzegi zachodnie porożcinane są licznymi ujściami rzek. Występują tu znaczne obszary zabagnień i podmokłości, porośniętych lasami namorzynowymi. We wnętrzu półwyspu wznoszą się powyżej 1000 m n.p.m. granitowe pasma górskie.

Tajlandia położona jest w strefie gorącego i wilgotnego klimatu zwrotnikowego monsunowego. Jedynie Półwysep Malajski leży już w strefie klimatu równikowego, również wilgotnego. Wyraźnie zaznaczają się pory sucha (od grudnia do lutego) i deszczowa (od maja do września). Średnie temperatury roczne wynoszą ok. 24-28°C na północy i 27-28°C na południu kraju. Sumy opadów są zróżnicowane w zależności od regionu. W środkowej części kraju wynoszą 800-1000 mm, w południowej 4500-4800 mm, a w górach dochodzą nawet do powyżej 5000 mm rocznie.

Sieć rzeczna Tajlandii jest bardzo gęsta. Główną rzeką kraju jest Menam (Chao Phraya). Jego dopływy stanowią rzeki Nan, Yom, Wang, Ping i Pasak. Wschodnią granicę Tajlandii wyznacza Mekong, największa rzeka Azji Południowo-Wschodniej. Rzeki płynące na Równinie Korat (m.in. Mun, Chi, Phong) są jego dopływami. Stan wody w tajlandzkich rzekach odznacza się dużą zmiennością. Uzależnione jest to od sezonowości opadów. W porze deszczowej często dochodzi do wysokich wezbrań wód i rozległych powodzi. Od wahań poziomu wód w rzekach uzależnione jest rolnictwo, a w dużym stopniu także żegluga.

Świat roślinny Tajlandii jest bardzo bogaty. Największa różnorodność gatunków występuje w wiecznie zielonych lasach równikowych i w zrzucających liście w porze suchej lasach monsunowych. Lasy zajmują łącznie ok. 30% powierzchni kraju.

Tajlandia jest jedynym krajem Azji Południowo-Wschodniej, który nigdy nie był europejską kolonią. Taj znaczy wolny, a Tajlandia to "kraj ludzi wolnych".

Pierwsze plemiona tajskie przybyły na teren dzisiejszej Tajlandii z południowo-zachodnich Chin. Miało to miejsce w III w. n.e. Od X do XIII w. Tajowie osiedlali się w dorzeczu Menamu, wypierając stąd lub asymilując się z żyjącymi tu Khmerami.

W 1227 r. założone zostało pierwsze państwo Tajów, Sukhotai. Tajskie królestwo stopniowo rozrastało się i objęło swych zasięgiem tereny dzisiejszej Tajlandii, część Kambodży, Laosu i Birmy. Rozległe państwo niszczone było jednak wewnętrznymi konfliktami, a także wojnami z sąsiadami.

Na skutek wojny z Birmą w 1767 r. zniszczona została stolica kraju, Ajutthaja. Generał Cza Phya Czakkri, sprawujący wówczas władzę nad krajem, od 1782 r. jako król Rama I, założył dynastię Czakkri, która panuje do dziś. Wówczas także została przeniesiona stolica do Bangkoku.

Pierwsi Europejczycy - portugalscy kupcy - przybyli do Tajlandii na początku XVI w. Silny i zdecydowany sprzeciw rdzennej ludności pozwolił na utrzymanie niezależności kraju od mocarstw kolonialnych. Niekorzystne było jednak położenie geopolityczne Tajlandii. Znalazła się bowiem na granicy stref wpływów brytyjskich i francuskich.

Ostatecznie doprowadziło to do podpisania w latach 1855-1856, nierównoprawnych traktatów z Wielką Brytanią, Francją i Stanami Zjednoczonymi. W efekcie traktatu Tajlandia stała się krajem półkolonialnym. Zachowała co prawda niepodległość, ale utraciła na rzecz Francji i Wielkiej Brytanii część swych ziem.

Wpływ polityki i gospodarki europejskiej zaznaczył się w przekształcaniu dotychczasowych stosunków feudalnych na nowe struktury organizacyjne. Wzorowane one były głównie na administracji brytyjskiej.

Druga połowa XIX zaznaczyła się znaczną modernizacją kraju, prowadzoną przez panujących monarchów. Zniesione zostało niewolnictwo, umożliwiano młodzieży podejmowanie studiów za granicą, zawarto liczne traktaty gospodarczo-handlowe z państwami europejskimi. Tajlandia (ówcześnie Syjam) stała się w XIX w. najpotężniejszym państwem Azji Południowo-Wschodniej.

W I wojnie światowej Tajlandia walczyła po stronie Ententy. W II wojnie była co prawda sprzymierzeńcem Japonii, ale w rzeczywistości nie brała w ogóle udziału w walkach.

W 1932 r. Tajlandia stała się monarchią konstytucyjną. W 1946 r. koronę państwa przejął Rama IX, panujący w Tajlandii do dziś. W 1950 zawarto porozumienie polityczno-gospodarcze ze Stanami Zjednoczonymi. W jego efekcie wojska tajskie brały udział w wojnach w Wietnamie i Laosie.

Sytuacja w powojennej Tajlandii była bardzo niestabilna. Doszło do licznych zamachów stanu i zmian rządów. Władzę sprawowała wówczas junta wojskowa. Dopiero w 1992 r., po wyborach parlamentarnych, utworzony został rząd koalicyjny, na którego czele stanął premier Chuan Leekpai.

Był to pierwszy od prawie 30 lat premier, nie mający oparcia w wojsku. Zniesiona została, wprowadzona w 1976 r., ustawa o stanie wyjątkowym. Przestała także obowiązywać ustawa o nieograniczonych prawach wojska do interweniowania we wszystkie wewnętrzne sprawy państwa i tłumienia społecznych napięć i konfliktów. W 1993 r. Tajlandia przystąpiła do Ruchu Państw Niezaangażowanych.

Tajlandia należy do najdynamiczniej rozwijających się krajów azjatyckich. Jej gospodarka oparta jest przede wszystkim na rolnictwie i górnictwie surowców mineralnych.

Główną uprawą Tajlandii i jednocześnie najważniejszym produktem eksportowym kraju jest ryż. Jego plantacje zajmują blisko 80% wszystkich ziem uprawnych. Ważna jest także uprawa kukurydzy, manioku, trzciny cukrowej, soi i tytoniu. Tajlandia zajmuje pierwsze miejsce w świecie w produkcji kauczuku, uprawianego tu w systemie plantacyjnym od początku XX w.

Nielegalnie rozwijają się także duże plantacje maku do produkcji opium i heroiny. Najwięcej znajduje się ich w obszarach górskich, na pograniczu Tajlandii, Birmy i Laosu, w tzw. "Złotym Trójkącie". W gospodarce istotną rolę odrywa również hodowla, zwłaszcza bydła i bawołów. Znaczenie ma także rybołówstwo, zarówno śródlądowe, jak i morskie.

Terytorium Tajlandii jest bardzo zasobne w różnorodne surowce mineralne. Tajlandia jest jednym z największych wydobywców i eksporterów rud cyny na świecie. Kraj znajduje się w światowej czołówce również pod względem wydobywania rud wolframu. Inne cenne wydobywane surowce to rudy żelaza, antymonu, manganu, tantalu, fluorytu, ołowiu, cynku, miedzi, gipsu oraz soli potasowej.

Przemysł przetwórczy opiera się na własnych surowcach zarówno rolniczych, jak i mineralnych. Najlepiej rozwinięty jest przemysł spożywczy, włókienniczy, tekstylny oraz elektromaszynowy, w tym głównie środków transportu.

W gospodarce narodowej duży znaczenie ma rozwój turystyki, która zapewnia znaczną część dochodów państwa.

Tajlandia jest krajem wielonarodowościowym. Odzwierciedla się to jednocześnie w bogactwie i różnorodności kultury narodowej. Najlicniejszą grupą etniczną są Tajowie. Poza nimi mieszka tu jednak jeszcze wiele innych narodowości: Laotańczycy, Chińczycy, Malajowie, Khmerowie, górskie plemiona Mon, Karen i Yao, a także grupy uchodźców z Kambodży, Birmy,

Wietnamu i Laosu.

Językiem urzędowym jest tajski, ale równie często używa się chińskiego, malajskiego i angielskiego (wykorzystywany głównie jako język handlowy).

Główną religią jest buddyzm. Wyznaje go ok. 95% mieszkańców. Poza buddyzmem, reprezentowane są również inne religie: chrześcijaństwo (różne wyznania), hinduizm, islam, animizm, religia Sikhów. Każde z wyznań obchodzi swoje święta, toteż ilość wszystkich dni świątecznych w Tajlandii jest bardzo duża.

Tajowie są narodem lubiącym i potrafiącym się bawić, toteż uroczystości mają zwykle barwny i żywiołowy charakter. Oficjalnych świąt jest w kalendarzu 12, jednak równie dynamicznie i hucznie obchodzi się wiele innych uroczystości o charakterze narodowym lub regionalnym.

Większość świąt nie ma stałych dat. Co roku przypadają na różne dni, co wynika ze stosowania tradycyjnego kalendarza księżycowego. Do największych świąt należą: Święto Kwiatów w lutym, odbywają się wówczas parady ukwieconych wozów i konkursy piękności; Chiński Nowy Rok - najważniejsze święto Chińczyków (przełom stycznia i lutego); Songkran - tajski Nowy Rok (13 IV), zgodnie z tradycją kąpie się posągi Buddy i ozdabia kwiatami, świecami i kadzidełkami, wszyscy dokonują rytualnych kąpieli i polewania wodą, ulicami ciągną korowody z posągami Buddy, tancerze, muzycy.

Kolejne święto to Raek Nah czyli Ceremonia Zasiewu, odbywa się w maju. Jest to początek okresu sadzenia ryżu; obrzędy nawiązują do starych rytuałów bramińskich, mających na celu przepowiedzenie wielkości zbiorów. Mieszkańcy wioski budują wielkie rakiety-fajerwerki, które wystrzelone w niebo mają zapewnić wystarczającą ilość opadów. Podobny charakter ma też Święto Fajerwerków, obchodzone tuż przed nadejściem letniego monsunu i pory deszczowej.

Koniec pory deszczowej świętowany jest w czasie festiwalu świec lub innych woskowych figur. Urządzane są one w poszczególnych regionach i towarzyszą im różnorodne zawody, konkursy, przedstawienia teatralne i jarmarki.

Jednym z najbardziej niezwykłych świąt tajskich jest Święto Światła (loi krathong). Jest to uroczystość dziękczynna za wypełnienie koryt rzek wodami po ulewnych deszczach. Obchodzona jest w czasie pełni księżyca, zwykle w listopadzie. Na wodę puszczone są małe łódki z zapaloną świecą, kadzidełkiem, monetą i kwiatami.

Ze świąt buddyjskich najważniejsze są Magha Puja (luty), Visakha Puja (maj/czerwiec), Khao Phansa (czerwiec). W Tajlandii obchodzonych jest także kilka świąt związanych z rodziną królewską. Najważniejszym z nich są urodziny króla (5 XII) - święto narodowe.

Tajowie są społeczeństwem zamiłowanym w zabawach, grach i sportach, zwłaszcza hazardowych. Do tradycyjnych gier należy takraw. Jest to zespołowa gra w małą ratanową piłkę. Popularne są również sztuki walki: tradycyjna walka na miecze i kije oraz muay thai - tajska odmiana kick-boxingu. Do powszechnych rozrywek należą również walki byków, kogutów, ryb i owadów.

Wielką popularnością i entuzjazmem cieszy się tradycyjna rozrywka Tajów: puszczenie latawców. W sezonie latawcowym (połowa lutego i połowa maja) urządzane są liczne pokazy i zawody.

Budzik budzi nas o 9, ale wstajemy pół godziny później. Zjadamy polskiego 7 daysa w ramach śniadania i wychodzimy z pokoju. Pierwsze co teraz musimy zrobić, to załatwić wizy do Kambodży i transport na jutro do granicy z Laosem. Na szczęście daleko szukać nie trzeba. Na parterze mieści się agencja turystyczna. Tutaj wyrabiamy wizy, które będą na jutro i próbujemy zdobyć informację o połączeniu do granicy, ale z tym już tak łatwo nie jest. Niestety nie znają tego przejścia granicznego. Najchętniej sprzedaliby nam wycieczkę do Chiang Mai, abyśmy stamtąd jechali na granicę z Laosem.

Swoje pierwsze kroki kierujemy na słynną ulicę Khao San – ową mekkę turystów, gwarną, pełną stoik i restauracji. Tu wsiadamy do lokalnego tuk-tuka, który zamiast wieźć nas pod Pałac Królewski wozi nas od agencji do agencji, chyba czeka aż kupimy wycieczkę, a on dostanie prowizję. My niestety nic nie kupujemy tylko wypytujemy o przejście graniczne, ale nic z tego, każdy patrzy na nas jak na ufloludki. Tuk tukiem przemierzamy ulice Bangkoku, wdychając tony

spalin pochodzących z tysięcy pojazdów. Fajne wakacje...

Bangkok... Szalone tempo życia i mało urodziwa architektura współczesnego Bangkoku nie odpowiadają wyobrażeniom wiążanym ze stolicą egzotycznego Syjamu. Na rozległej równinie, najeżonej dziesiątkami drapaczy chmur z betonu i szkła, mieszka ponad siedem milionów ludzi, a miasto stwarza wrażenie, że jest ich tu jeszcze więcej.

Bangkok cechuje chaotyczna zabudowa. Licznymi arteriami komunikacyjnymi są kanały (przy czym większość nowoczesnych dróg powstała przez zasypywanie wybranych kanałów). Pełnią one również funkcję pewnego rodzaju miejsca zamieszkania- wielu mieszkańców Bangkoku mieszka na stałe w łodziach. Centrum miasta stanowi ekskluzywna dzielnica handlowa, a w części południowej przeważają rezydencje mieszkalne. W aglomeracji Bangkoku znajduje się bardzo dużo terenów zielonych zaprojektowanych jako zielone strefy. W centrum miasta na powierzchni 50 km² znajduje się park. Targowiska sąsiadują z pogrążonymi w ciszy złotymi świątyniami, a przed wulgarnymi przybytkami uciech cielesnych buddyjscy mnisi zbierają co rano jałmużnę. Jedno nie ulega wątpliwości - trudno wobec tego miasta pozostać obojętnym. Komu nie w smak wystawianie w korkach ulicznych, w przeraźliwym hałasie silników i kłębach spalin, ten zrobi najlepiej zwiedzając w parę dni najokazalsze świątynie i muzea, załatwiając jak najszybciej zakupy i uciekając na prowincję.

Pełna nazwa Bangkoku w języku tajskim brzmi: Krung Thep Mahanakhon Amon Rattanakosin Mahinthara Ayuthaya Mahadilok Phop Noppharat Ratchathani Burirom Udomratchaniwet Mahasathan Amon Piman Awatan Sathit Sakkathattiya Witsanukam Prasit (posłuchaj ?/i), co w prostym tłumaczeniu oznacza:

Miasto aniołów, wielkie miasto, wieczny klejnot, niezdobywalne miasto boga Indry, wspaniała stolica świata wspomaganego przez dziewięć pięknych skarbów, miasto szczęśliwe, obfitujące w ogromny Pałac Królewski, który przypomina niebiańskie miejsce gdzie rządzi zreinkarnowany bóg, to miasto dane przez Indrę, zbudowane przez Wisznu.

Do 1764 r. niewielka wioska zwana Bang Makok (Wieś Drzewek Oliwnych). Po zniszczeniu przez wojska birmańskie w tymże roku dawnej stolicy Syjamu (obecnej Tajlandii), Ajutthaji, zbudowano tu obóz warowny. Podczas swojej koronacji w 1782 r. Rama I nadał swej stolicy nazwę składającą się z 43 sylab. Przez następne lata dodano do tej nazwy jeszcze 21 sylab. Nazwa ta obecnie znajduje się w Księdze Rekordów Guinnessa jako najdłuższa nazwa geograficzna na świecie.

Kiedy w 1782 r. Rama I rozbudował tymczasową osadę w Thonburi, zaś na drugim brzegu rzeki, w Ratanakosin, założył nową stolicę. Aby oddać hołd jej splądrowanej poprzedniczce, odtworzył dokładnie plan i architekturę Ajuttii, każąc nawet przetransportować w dół Chao Phraya budulec z ruin zniszczonego miasta. Podobnie jak w przypadku Ajuttii wybrano łatwe do obrony miejsce nad rzeką, które po wykopaniu kanałów zamieniono następnie w sztuczną wyspę. W jej centrum stanął Wielki Pałac i królewska świątynia, Wat Phra Kaeo, przed którymi ciągnęło się otwarte pole kremacyjne Sanam Luang. Z tego samego okresu pochodzi Wang Na (Pałac Drugiego Króla), dziś mieszczący Muzeum Narodowe. Wzniesioną jeszcze przed założeniem stolicy Wat Po upiększyli później następcy Ramy I, którzy ufundowali też kilka wspaniałych pałaców w stylu europejskim (obecnie zajmowanych przez instytucje rządowe), Wat Mahathat, najważniejszy ośrodek myśli buddyjskiej w południowo-wschodniej Azji, Teatr Narodowy i uniwersytet Thammasat.

Od tamtej pory Bangkok rozrósł się na wschód od rzeki, a jego komercyjne centrum przeniosło się spod Wielkiego Pałacu o dobrych 5 kilometrów. Rodzina królewska już dawno przeprowadziła się do pałacu Chitralada w dzielnicy Dusit, Ratanakosin nadal jednak pozostaje ceremonialnym centrum królestwa - do tego stopnia, że wydaje się zapadać w grząskim gruncie pod ciężarem okazałych gmachów. Wzniosłą atmosferę rozładowują hałaśliwe targowiska nad rzeką i obok Sanam Luang, gdzie po dziś dzień odbywają się kremacje i królewskie uroczystości. Miejsce to pełni też funkcję popularnego parku publicznego oraz ważnego węzła w sieci komunikacji autobusowej.

Mimo obecności kilku z najważniejszych atrakcji turystycznych Tajlandii, dzielnica żyje

własnym życiem, obojętna na tłumy zwiedzających i zgrabnie zachowuje równowagę między witalnością a dostojeństwem.

Obecnie w stolicy kraju mieszka 5,4 mln ludności, a łącznie z przedmieściami 8 mln co stawia miasto w czołówce największych na świecie. Nazywane przez Tajów Krung Thep - "Miastem Aniolów" łączy w sobie wierność tradycji i entuzjastyczne zauroczenie nowością. W mieście jest zarejestrowane 5,5 mln samochodów, przez co miasto jest ciągle zakorkowane co stanowi duży problem. W ciągu ostatnich lat zainwestowane ogromne środki w rozbudowę infrastruktury, nowe drogi ekspresowe, wiadukty, tunele i metro, co zmniejszyło zakorkowanie ale nie w godzinach szczytu. Inwestycje nie osiągnęły skutku ponieważ w Bangkoku panuje ogromny popyt na samochody. Zanieczyszczenie miasta śmieciami i zanieczyszczenie powietrza było ogromnym problemem jednak po stworzeniu dużej ilości parków w mieście, także w jego centrum, zmniejszyło poziom zanieczyszczeń. A rywalizacja między lokalnymi władzami o wygląd miast spowodowała zniknięcie problemu śmieci. Kolejnym problemem miasta jest nielegalny handel płytami CD i DVD. Mimo że prawo zabrania rozprowadzania pirackich kopii to w Bangkoku kwitnie nielegalny handel szczególnie na bazarze Pantip Plaza. Duży problem dla miasta to reputacja miasta seksu. Mimo że prostytutka jest oficjalnie nielegalna to na ulicach Bangkoku można spotkać nocą niezliczoną ilość prostytutek. Prawdopodobnie nawet kilkanaście tysięcy kobiet zajmuje się w Bangkoku prostytutką.

Bangkok to miasto słynące z licznych świątyń, które stanowią perły klasycznej sztuki i architektury syjamskiej. Dlatego też obowiązkowo jedziemy najpierw do pałacu królewskiego.

Oficjalne otwarcie w 1785 r. potężnego Wielkiego Pałacu (Grand Palace) symbolizowało powstanie nowej stolicy i odrodzenie narodu tajskiego po najeździe Birmańczyków. Swe piętno odcisnęli na niej wszyscy kolejni władcy. Cały kompleks pałacowy zajmuje dziś powierzchnię ok. 25 hektarów, z czego zdecydowana większość jest zamknięta dla turystów.

Jedynym wejściem w dwukilometrowych murach zwieńczonych blankami jest Brama Wspaniałego Zwycięstwa (Gate of Glorious Victory) pośrodku północnej ściany, przy Na Phra Lan Road. Za nią biegnie podjazd z oszałamiającym widokiem na lśniące wieże świątyni po lewej i nieładne budynki Urzędów Dworu Królewskiego po prawej: to tutaj zawiaduje się wszystkimi aspektami dworskiego ceremoniału, od zakupu krzeseł po gastronomię, a nawet wypożycza urny, kiedy umiera wysokiej rangi urzędnik. Przy końcu podjazdu po lewej stronie znajduje się kasa biletowa i bramki wejściowe: wstęp do Wat Phra Kaeo i pałacu kosztuje 125 THB (codz. 8.30-15.30; bezpłatne usługi angielskojęzycznego przewodnika o 10.00, 10.30, 11.00, 13.00, 13.30 i 14.00). W cenę wliczona jest bezpłatna broszurka, bardzo przydatna mapka oraz wstęp do pałacu Vimanmek w Dusit.

Phra Maha Monthien

Oczom wychodzących z terenu świątyni ukazuje się najpierw piękna chińska brama, wyłożona niezliczonymi małątkami porcelanowymi płytkami. Ciągący się za nią w linii prostej Phra Maha Monthien to rezydencja poprzednich królów. Turystom udostępniono tu jedynie główną salę audiencyjną Phra Thinang Amarin Winichai z przodu kompleksu. W epoce władców absolutnych był to sąd najwyższy; dziś król wygłasza tu tradycyjną mowę urodzinową. Nad salą góruje busbok, czyli otwarty po bokach tron o spiczastym dachu, spoczywający na postumencie w kształcie łodzi. Budynki w głębi wykorzystuje się nadal podczas najważniejszej części skomplikowanej ceremonii koronacyjnej; każdy nowy król musi tu spędzić noc, by okazać przywiązanie do pamięci swych przodków.

Chakri Maha i Pałac Wewnętrzny

Zaraz obok można podziwiać fasadę - i tylko fasadę - Chakri Maha Prasat, zwanej potocznie "cudzoziemcem w tajskim kapeluszu". Rama V, którego portret widoczny jest nad wejściem, zatrudnił angielskiego architekta, by zaprojektował mu rezydencję w stylu czysto klasycystycznym, ale ulegając innym członkom rodziny królewskiej zgodził się na dodanie trzech tajskich wież. Kiedyś znajdowały się tu stajnie słoni, o czym przypominają oryginalne słupy do przywiązywania tych zwierząt oraz dostawione potem rzeźby z brązu. U góry budowli umieszczono herb dynastii Czakri: trójząb (ri) wychodzący z dysku o zaostrej krawędzi (czak).

Za bramą na lewo od Chakri Maha Prasat stoi Pałac Wewnętrzny, dawny królewski harem (zamknięty dla zwiedzających). Było to istne miasto w mieście, z własnymi sklepami, sądami i policją, zamieszkane wyłącznie przez kobiety - nie tylko królowe, ale i nałożnice, damy dworu i służące. Tutaj także mieszkaly córki i wdowy po poprzednich władcach oraz córki arystokratów, uczęszczające do szkoły na terenie harem. Dziś w Pałacu Wewnętrznym mieści się szkoła gotowania, sztuki tworzenia dekoracji z owoców i innych zajęć tradycyjnie wykładanych młodym Tajkom z dobrych domów.

Dusit Maha Prasat

Wznosząca się po zachodniej stronie dziedzińca i zachwycająca delikatnymi proporcjami Dusit Maha Prasat, sala audiencyjna zbudowana przez Ramę I, jest kwintesencją tradycyjnej architektury tajskiej. Kilkupoziomowy czerwono-złoto-zielony dach wieńczy połączona mongkut - wieża w kształcie królewskiej korony, symbolizująca 33 buddyjskie stopnie doskonałości. Każdy poziom dachu zdobi charakterystyczna czofa - smukła, stylizowana ptasia głowa oraz kilka łabędzich ogonów (hang hong), symbolizujących trójgłowe węże. Wewnątrz zachował się oryginalny tron, Phra Ratcha Banlang Pradap Muk, będący arcydziełem inkrustacji masą perłową. Kiedy umiera wysokiej rangi członek królewskiej rodziny, w sali wystawia się jego zwłoki; zabalsamowane i zamknięte w potężnej urnie czekają w zachodnim transepcie nawet dwa lata, dopóki nie nadejdzie właściwy dzień na kremację.

Olśniewająca osobliwą harmonią pięknych barw i kształtów Wat Phra Kaeo to najwybitniejsze osiągnięcie tajskiej sztuki sakralnej i otaczana największą czcią świątynia buddyjska w kraju. Kryje ona najważniejszy posąg Buddy zwany Szmaragdowym.

Pierwotnie była to prywatna świątynia królewska wzniesiona została w północno-wschodnim narożniku potężnego Wielkiego Pałacu. Jedynym wejściem w dwukilometrowych murach zwieńczonych blankami jest Brama Wspaniałego Zwycięstwa (Gate of Glorious Victory) pośrodku północnej ściany, przy Na Phra Lan Road. Za nią biegnie podjazd z oszłamiającym widokiem na lśniące wieże świątyni po lewej i nieładne budynki Urzędów Dworu Królewskiego po prawej: to tutaj zawiaduje się wszystkimi aspektami dworskiego ceremoniału, od zakupu krzeseł po gastronomię, a nawet wypożycza urny, kiedy umiera wysokiej rangi urzędnik. Przy końcu podjazdu po lewej stronie znajduje się kasa biletowa i bramki wejściowe: wstęp do Wat Phra Kaeo i pałacu kosztuje 125 THB (codz. 8.30-15.30; bezpłatne usługi angielskojęzycznego przewodnika o 10.00, 10.30, 11.00, 13.00, 13.30 i 14.00). W cenę wliczona jest bezpłatna broszurka, bardzo przydatna mapka oraz wstęp do pałacu Vimanmek w Dusit.

Ponieważ jest to najświętsze miejsce w Tajlandii, należy pamiętać o stosownym ubiorze - wykluczone są koszulki bez rękawów, krótkie spodnie, ubrania z przeźroczystych materiałów, sarongi, minispodniczki, spodnie rybackie, wsuwane sandały i klapki. W razie potrzeby wszystkie elementy stroju można wypożyczyć w biurze po wewnętrznej prawej stronie Bramy Wspaniałego.

Patrząc na idealnie równy bruk czy fantazyjne dachy świątyni, można poczuć się jak pośród jakiejś przepysznej teatralnej scenografii. Mimo że każdego dnia przychodzą tu setki zagranicznych turystów i co najmniej tyle samo tajskich pielgrzymów, budowla - w pobliżu której nie mieszkają mnisi - aż onieśmiela sterylną czystością, tak jakby całość ukończono ledwo wczoraj. Labirynt zabudowań wydaje się na pierwszy rzut oka trudny do ogarnięcia, ale zasadniczy kształt jest nieskomplikowany: za bramkami w zachodnim murze wznosi się tylna część bot z posągiem Szmaragdowego Buddy w środku po lewej równoległe do północnej ściany sanktuarium biegnie górny taras, a całość otaczają arkadowe mury ozdobione przepięknymi scenami z Ramajany.

Zaraz za bramkami oczom zwiedzających ukazują się sześciometrowe posągi jakszów (istot mitycznych, występujących między innymi w Ramajanie), strzegących Szmaragdowego Buddy. Mniej groźnie wygląda odlana z brązu rzeźba, przedstawiająca bezzębego starca siedzącego na cokole pod tylną ścianą bot. Jest to hinduski pustelnik, który ponoć wymyślił jogę i ziołolecznictwo. Po wschodniej stronie bot znajduje się główne wejście, przed którym stoi kilka szarych posągów wyraźnie chińskiego pochodzenia: z wizerunkiem Kuan In, bodhisattwy (wcześniejszego wcielenia Buddy), stanowiącej w kulturze chińskiej ucieleśnienie cnoty miłosierdzia, sąsiaduje przysadzisty obelisk zwieńczony kwiatem lotosu, który Chińczycy z

Bangkoku podarowali Ramie IV w czasie jego trwającego 27 lat pobytu w klasztorze, a także dwa zgrabne posąжки krów, upamiętniające narodziny Ramy I w Roku Krowy. Pośród rzeźb wierni składają ofiary Szmaragdowemu Buddzie, którego mogą stąd oglądać przez otwarte drzwi bez wchodzenia do środka sanktuarium i brudzenia go woskiem ze świec i popiołem z kadzidel.

W pobliżu, w południowo-wschodnim narożniku placu warto poszukać pięknych wiejskich scen wymalowanych w złocie i błękitach na drzwiach kaplicy Buddy z Gandhary w której odbywały się niegdyś rytuały sprowadzania deszczu. Jej dach zdobią tysiące węży naga symbolizujących żywioł wody. Wewnątrz zamkniętego na klucz budynku pośród rozmaitych rytualnych przedmiotów przechowywana jest brązowa figura Buddy z Gandhary, z prawą ręką przywołująca deszcz, a lewą łapiąca jego krople. W czasie suszy król nakazywał przeprowadzenie trwającej tydzień ceremonii, podczas której władca dokonywał uroczystych kąpeli i unikał towarzystwa kobiet, zaś buddyjscy mnisi i hinduscy bramini bezustannie śpiewali. Tradycje te są nadal żywe w tajskiej meteorologii: o obfitych opadach w 1991 roku mówiono, że sięgnęły pięciu nagów.

Bot, największa część świątyni, to jedna z nielicznych oryginalnych budowli zachowanych na terenie Wat Phra Kaeo. Przebudowywano ją tak wiele razy, że obecnie przypomina dzieło jakiegoś obdarzonego bujną fantazją dziecka. Zasięg świętego obszaru wokół sanktuarium wyznacza osiem kamieni sema, ukrytych w bajkowych zameczkach połączonych niskim murkiem, który pokrywają chińskie porcelanowe płytki ozdobione subtelnymi pejzażami.

Ściany samego bot, lśniące złoceniami i kolorowym szkłem, wspiera 112 złotych posązków garudów (ludzi-ptaków). Trzymają oni węże, co ma symbolizować ocalenie ludzkości przez boga Indrę zabijającego chmurę-węża, która wypila wszystkie wody świata. Motyw ten nawiązuje do tradycyjnej roli króla jako tego, który sprowadza deszcz. Wewnątrz bot, na dziewięciometrowym postumencie, spoczywa maleńka figurka Szmaragdowego Buddy, do której ściągają pielgrzymi z całej Tajlandii - w miejscu tym należy okazać szczególny szacunek, siadając tak, by stopami nie wskazywać Buddy.

Źródłem duchowej mocy sześćdziesięciocentymetrowego posąжку z jadeitu jest jego legendarna przeszłość. Wyrzeźbiony podobno na Cejlonie, został odkryty w początkach XV wieku w pękniętej w wyniku uderzenia pioruna prastarej stupie w Cziang Raj. Rzeźbę, wśród licznych cudownych zdarzeń, przewieziono wówczas na północ do Laosu, gdzie pozostała przez dwieście lat. Przyszły król Rama I odzyskał ją w 1779 r. po zdobyciu Wietnamu i umieścił w centrum swej nowej stolicy jako talizman dla siebie i kraju, wierzono bowiem, że figurka przynosi szczęście swym właścicielom. Po dziś dzień król osobiście trzy razy do roku przebiera uroczyście Buddę w nowy strój: koronę i szatę królów Ajuttii na porę gorącą, pozłacaną klasztorną szatę upstrzoną niebieską emalią na porę deszczową, w czasie której mnisi chronią się w świątyniach, zaś długi, owijający całe ciało złocisty szal na porę chłodną. Nie wykorzystywane w danym momencie stroje można oglądać w Pawilonie Monet i Dekoracji na zewnątrz bramek wiodących do świątyni. Pośród różnych przedmiotów ustawionych przed postumentem znajduje się maleńki czarny posąжек Buddy Zwycięstwa, który Rama I zabierał zawsze na wojnę, by przyniósł mu szczęście. Dwie najniżej stojące figurki Buddy umieścił Rama IX: lewą z okazji swych sześćdziesiątych urodzin w 1987 r., a prawą w 1988 r., kiedy został najdłużej panującym monarchą tajskim.

Wschodni kraniec górnego tarasu zajmuje Prasat Phra Thep Bidorn, zwana też Królewskim Panteonem i urzekająca stylistycznym galimatiasem. Budowla nawiązuje do khmerskiej idei dewaradży, czyli kultu króla-boga. Wewnątrz znajdują się naturalnej wielkości posągi wszystkich władców od chwili, gdy Bangkok został stolicą Tajlandii, wykonane ze złoczonego brązu.

Świątynia jest otwierana tylko przy specjalnych okazjach, takich jak dzień Czakri (6 kwietnia), święto panującej dynastii. Z tego miejsca najlepiej widać królewskie mauzoleum, porcelanowy wiharn i bibliotekę po stronie północnej (wszystkie zamknięte dla zwiedzających oraz, wzdłuż wschodniej ściany świątyni, rząd ośmiu prangów w kształcie pocisków, które Somerset Maugham przyrównał do "monstrualnych warzyw". Każda wieża ma inny kolor ceramicznej wykładziny, a symbolizują one kolejno Buddę, buddyjskie księgi kanoniczne, męski stan zakonny, żeński stan zakonny, trzech buddów, którzy mają nadejść w przyszłości wedle doktryny mahajany oraz osobę króla.

Ozdobiony intensywnie zielonymi szklanymi mozaikami Phra Mondop pośrodku tarasu zbudował Rama I, by pomieścić Thpitakę, czyli buddyjskie księgi kanoniczne. Wewnątrz znajduje się słynna gablota z masy perłowej i maty ze szczerzego srebra, ale budowla nie jest nigdy otwierana. Cztery maleńkie narożne pomniki to symbole kolejnych dziewięciu królów z dynastii Czakri, od korony Ramy I po słońce aktualnego monarchy, natomiast otaczające je posągi z brązu przedstawiają z imienia i rodowodu białe słonie, jakie zapewniały pomyślność każdemu władcy.

Po północnej stronie Phra Mondop znajduje się ofiarowany przez Ramę IV model Angkor Wat, sławnej kambodżańskiej świątyni, która za jego panowania należała do Tajów. W zachodnim końcu tarasu nie sposób przegapić olśniewającej złotej Czedi Phra Si Ratana, postawionej przez Ramę IV (1851-68) jako relikwiarz, w którym umieścił mostek Buddy.

Niestety ale nie jest nam dane zobaczyć najsłynniejszej świątyni Wat Phra Kaew, czyli Świątyni Szmaragdowego Buddy od wewnątrz. Wysoka na ok. 70 cm statuetka z zielonego szmaragdu została znaleziona na Północy Tajlandii około 1430 roku. Szmaragdowy Budda uważany jest za strażnika dynastii i kraju. Jest czczony w całym świecie buddyjskim. Widok figury stale przesłania kadzidlany dym tłący się z trociczek. Jedyne co widzimy to zarys Szmaragdowego Buddy przez okienko. Niestety dzisiaj jest jakieś ważne święto i tego obiektu nie można zwiedzać.

Cały kompleks pałacu królewskiego zwiedzają tłumy turystów, można też wejść do muzeum broni, czy też szat, biżuterii królewskich i monet. Wszystko, poczynawszy od świątyń a skończywszy na małych detalach kapie od złota.

Pod pałacem wsiadamy do taksówki i jedziemy do dzielnicy chińskiej zobaczyć świątynię Wat Traimit. Świątynia Złotego Buddy kryje jeden z największych skarbów Tajlandii. To wysoki na ponad trzy metry posąg Buddy. Początkowo sądzono, że statua jest wykonana z połączanego gipsu. Faktycznie jednak, ważący 5,5 tony posąg zrobiony jest w całości ze złota.

Po drodze trafiamy również na kolonialny dworzec kolejowy. Bardzo pięknie wygląda w środku, są nawet ogromne portrety rodziny królewskiej. Po odjeździe pociągu, pracownik kolei zmienia na peronie przezroczyste tabliczki z nazwą kolejnego pociągu, który odjedzie stąd za parę godzin.

Po opuszczeniu świątyni włączymy się po chińskiej dzielnicy. Idziemy też coś przekąsić, bo zaczynamy być bardzo głodni. Wypijam nawet kawę z całą masą lodu, ale to stawia mnie na nogi. W dzielnicy chińskiej ciekawe są apteki. Jedna strona takiego sklepu jest „normalna” czyli stoją sobie na półkach zachodnie leki, natomiast druga strona to stoje z egzotycznymi i dziwacznymi rzeczami, z których przyrządza się lecznicze mikstury. Właśnie trafiliśmy jak komuś odważano porcję suszonych koników morskich, nietoperza i innych dziwactw. Następnie wszystko to zostało poszatkowane i wymieszane. Na straganach bardzo dużo owoców, a chyba najwięcej śmierdzących durianów. Sprzedawcy bardzo delikatnie je obierają i nie dotykają samych owoców, dłonie trzymając w woreczku, a następnie szybko pakują na tackach.

W końcu na zegarku mamy 17:30 i czas wrócić do hoteliku, jednak nad miasto zaczynają nadciągać chmury i zaczyna padać, i jak na złość wszystkie taksówki są pełne. Zaliczamy nasz pierwszy monsunowy deszcz w Tajlandii. W końcu łapiemy tuk – tuka, który w deszczu wiezie nas pod wskazany adres. Jadąc ulicami Bangkoku widać duży ruch w mieście. Na skrzyżowaniach czerwone światła są przez 90 sekund, a zielone przez 30. Nad każdym skrzyżowaniem są elektroniczne wyświetlacze czasu pozostałego do zmiany światła.

Zmęczeni zapadamy na 1,5 godziny w sen, po czym koło 19:30 wstajemy i już po zmroku wychodzimy na Khao San, gdzie kupujemy sobie japonki, czyli klapki, których używa cały azjatycki świat włączając to wszystkich podróżujących. Zjadamy też potrawę ze straganu tzw. pad, czyli makaron z warzywami i kurczakiem. Na ulicy życie kwitnie w najlepsze. Naganiacze kierują turystów do knajpek lub na masaż. Tutaj nawet na noc teren stacji benzynowej zamienia się w restaurację, a wolny plac na salon masażu pod gołym niebem, wystarczy tylko rozłożyć łóżka. Na ulicznych straganach można kupić wszystko od smażonych larw i karaluchów, po tradycyjne pamiątki w formie drewnianej żaby, którą sprzedają kobiety z ludu Hmong.

Na koniec dnia idziemy do knajpki, gdzie jest Internet, aby zadzwonić do domu. Ale to frajda.

01.07.2009 (środa)

Pobudka o godzinie 8 rano. Ciężko nam wstawanie idzie i zwlekamy jeszcze parę minut. Zostawiamy bagaże w recepcji i idziemy coś zjeść. Na śniadanie w restauracyjce pod chmurką jemy ryż z warzywami i popijamy sok pomarańczowy. W pewnej chwili dosiada się do nas Polak – student, który w Tajlandii jest już prawie miesiąc, a dzisiaj tanimi liniami z Rzymu dołączają do niego brat z ojcem. On tu przyleciał za 50 Euro. Mówił, że ludzie na lotnisku nie wierzyli czy gdziekolwiek dolecą za taką kwotę, uwierzyli dopiero w samolocie.

Po śniadaniu idziemy jeszcze raz pod pałac królewski. Dzisiaj szmaragdowy Budda czynnym ale niestety nie wpuszczą nas na wczorajszy bilet. Trudno w takim razie udamy się do Wat Pho.

Rodzina królewska w Tajlandii. Bhumibol Adulyadej, król Rama IX urodził się 5 grudnia 1927 w Cambridge w USA i jest królem Tajlandii od 1946.

Imię ceremonialne: "Jego Wspaniałość, Wielki Pan, Siła Ziemi, Nieporównywalna Moc, Syn Mahidola, Potomek Boga Wisznu, Wielki Król Syjamu, Jego Królewskość, Wspaniała Ochrona" - Phrabat Somdej Phra Paramindra Maha Bhumibol Adulyadej Mahitaladhibet Ramadhibodi Chakrinarubodindara Sayamindaradhiraj Boromanatbophit

Król Bhumibol wychowywał się w Szwajcarii. W 1946 roku po śmierci brata, króla Ananda Mahidola odziedziczył tron, wszelako chcąc kontynuować studia wyznaczył regentem wuja Rangsita. W 1950 roku powrócił do kraju. Początkowo odgrywał niewielką rolę wobec skromnych uprawnień konstytucyjnych oraz autorytarnego charakteru rządów wojskowych. W 1973 i 1992 roku pomógł jednak rozwiązywać konflikty i przeprowadzić transformację do w pełni demokratycznego ustroju, zdobywając sobie szacunek poddanych i autorytet w świecie. Jest aktualnie najdłużej urzędującą głową państwa. W 1987 roku powszechne referendum nadało mu przydomek "Wielki". Według magazynu "Forbes" jest jednym z najbogatszych monarchów. Jego majątek szacuje się na 5 mld dolarów. Jego jedynym synem jest Maha Vajiralongkorn..

9 czerwca 2006 Tajlandia obchodziła sześćdziesięciolecie panowania Bhumibola Adulyadeja, Ramy IX z dynastii Czakri. Rama IX przetrwał 20 zmian na stanowisku premiera, 16 konstytucji i 18 zamachów stanu, odrodzenie demokracji w latach 80. i ostatni kryzys rządowy, wywołany przez kontrowersyjnego, populistycznego premiera Thaksina Shinawatę. Duża część 65-milionowego narodu śledziła ceremonię w telewizji. 78-letni monarcha, starszy stażem na tronie o 6 lat od angielskiej królowej Elżbiety II, cieszy się wśród poddanych szacunkiem, który dla europejskich monarchów jest już tylko wspomnieniem. Rama IX wstąpił na tron po zagadkowej śmierci swego brata. Za jego rządów Tajlandia nawiązała sojusz z USA, który przetrwał konflikty zbrojne w Korei, Wietnamie, Kambodży i ma się dobrze do dziś. Niewątpliwie brak zaangażowania zbrojnego Tajlandii w jakiejkolwiek wojny naszego stulecia, jest przyczynkiem relatywnie dobrej pozycji gospodarczej Tajlandii w Azji Południowo Wschodniej. Naród uważa spokojne lata jako zasługę uwielbianego monarchy.

Król Tajlandii jest nie tylko głową państwa, samo-ustanowionym zwierzchnikiem sił zbrojnych, zwierzchnikiem religii buddyjskiej i zwierzchnikiem wszelkich religii. Pomimo braku realnej władzy, nie przeszkadza mu to ustanawianiu konstytucji i wykorzystywaniu siły politycznej wynikającej z czci, na pograniczu boskiego uwielbienia, którą obdarza go naród.

Oficjalne uroczystości obchodów 60 lecia panowania Jego Wysokości zaplanowano z niebywałym rozmachem i detalami. Ceremonie religijne i procesje, oraz barwne defilady, uroczysta kolacja dla zaproszonych ponad 25 tysięcy gości, parada gwardii królewskiej, fajerwerki i wiele wiele innych atrakcji. Z tej okazji odbyła się amnestia w wyniku, której zwolniono z więzień 25 tysięcy skazanych.

Symbole Królewskie w Tajlandii. Praktycznie każdy Taj w czasie dnia obchodów miał na sobie żółtą koszulkę i czapkę z napisem "kochamy króla". Żółty kolor, to kolor poniedziałku, czyli dnia w którym urodził się Król. Poprzez zakładanie żółtych ubrań Tajowie wyrażają swoje uczucia dla monarchy. W ten dzień miliony ludzi zamieniło Bangkok w wielkie żółte morze, tysiące

portretów jego wysokości, flag itp pokryło cały kraj. Dla zwykłych obywateli, takie święto to jedyna i niepowtarzalna okazja zobaczenia swojego monarchy na żywo. Gdy król pojawił się na balkonie, w złotych szatach, cały plac poderwał w radosnym okrzyku. Echa pozdrowień odbijały się od ścian Pałacu, a żółty falujący tłum machał flagami. Było to pierwsze publiczne wystąpienie Króla od 1999 roku. Jego Wysokość podniesioną dłonią pozdrowił naród.

78 letni monarcha powiedział: Dopóki Tajowie potrafią wspólnie działać dla dobra kraju, możemy być spokojni o jego przyszłość - powiedział w czasie ceremonii 60-lecia panowania, Rama IX do ponad miliona zgromadzonych poddanych, którzy zbierali się już jeden dzień wcześniej w rejonie Sanam Luang, królewskiego placu w sercu Bangkoku, aby zająć jak najlepsze miejsca. Ciągący się przez trzy kilometry tłum przyjął wezwanie do jedności aplauzem, wznosząc okrzyk "Niech żyje król!". Niektórzy płakali ze wzruszenia.

Portrety władcy Tajlandii wiszą na ulicach i mostach, w każdym urzędzie i sklepie, a figurki przedstawiające króla i królową można znaleźć w każdej buddyjskiej świątyni w kraju. W zmodernizowanej, buddyjskiej Tajlandii to echo ciągle żywej wśród prostych ludzi tradycji boga-króla. Tutejsza cześć dla króla może być porównywalna z czcią Jana Pawła II w Polsce. Fety na rzecz króla nie są "centralnie sterowane", a są niezwykle spontanicznym wyrazem czci całego narodu. Przed każdym seansem filmowym we wszystkich kinach, wyświetlany jest hymn i krótki spot wysławiający Króla. Widzowie na znak szacunku oglądają go stojąc w milczeniu. Codziennie o 8:00 i 18:00 w radiu, telewizji i na głównych ulicach odgrywany jest hymn i w tym czasie Tajowie przerywają swoje zajęcia, zatrzymując się nawet na środku ulicy. Pokazuje to z jakim szacunkiem ludzie odnoszą się tu do narodowych symboli (Jak bardzo inaczej niż ostatnio w Polsce)

Szacunek dla Króla Tajlandii Brak szacunku dla Króla może być niebezpieczny, o czym przekonał się Szwajcar, skazany na 10 lat więzienia za pomalowanie po pijanemu sprayem portretu króla. Można tu mówić o szczęściu, gdyż za obrazę majestatu można zostać skazanym do 75 lat pozbawienia wolności. Trzeba wiedzieć że tajskie więzienia należą do najcięższych na świecie i praktycznie się z nich nie wychodzi. Rząd Tajlandii zablokował także dostęp do YouTube, najbardziej popularnego serwisu wideo na świecie. Według tajskich urzędników, w serwisie pojawił się film, w którym obraża się króla Bhumibola Adulyadeja. Absolutne poparcie dla takich działań jednocy naród.

Król mówi biegle po angielsku, francusku i niemiecku. Świetnie gra na saksofonie i jest wielbicielem jazzu. Prowadzone pod auspicjami króla prace badawcze nad użyciem oleju palmowego jako dodatku do paliw zakończyły się sukcesem, ale nie wprowadzono ich na razie w życie. Król jest właścicielem patentu na napowietrzanie wody.

Król wynalazł także sposób przewycięzania biedy. Ten sposób nazwał "Nowa Teoria". W rejonach gdzie nie ma stałych źródeł wody, organizuje się samowystarczalne gospodarstwa. Na niewielkim kawałku ziemi, rolnicy zakładają warzywniak i hodują drób, sadzą sad owocowy i poletko ryżowe, a także staw zasilany deszczówką w którym można hodować ryby. Na takiej maleńkiej farmie wszystko jest wzajemnie zależne: nieczystości są używane jako nawóz, a rośliny tak dobrane aby dawały plody okrągły rok, powodując gospodarstwo samowystarczalne. Król życzył swoim poddanym wytrwałości pogodzenia się z trudami życia, a także koniecznie pomagania jeden drugiemu. Władca nie przestaje powtarzać, że do szczęścia nie potrzeba być bogatym. "Nie ważne czy jesteśmy krajem bogatym, ważne jest tylko czy żyją tu szczęśliwi ludzie. Jeśli ograniczymy się w naszych wymaganiach, zapomnimy o chciwości, możemy odmienić nasze życie, możemy stać się niezależni i wszyscy możemy być szczęśliwi" - mówi Król. Ten system nie tylko pozwolił Tajlandii wyjść z kryzysu ekonomicznego, i poradzić sobie z w walce z narkotykami, wiadomo przecież, że taki fermi dawałyby sposobność ułatwienia hodowli opium w górskich rejonach, popularnych z upraw maku. "Nowa Teoria" cieszy się powodzeniem, a rolnicy dosłownie błogosławią swojego Króla. I w ten oto sposób Tajlandia z każdym rokiem coraz mniej jest uzależniona od importu, a Król prawnie nosi tytuł "Pana Narodu".

Wat Pho to najstarsza świątynia Bangkoku nazywana Świątynią Leżącego Buddy, która powstała w okresie Ajutthaji. Gdy podjeżdżamy tuk tukiem pod świątynię kierowca wpiera nam, że

jest dzisiaj nieczynne. Jak się za chwilę okazuje specjalnie zawiózł nas pod inne drzwi, a leżący Budda ma się dobrze. Świątynia uważana jest za jedną z najwspanialszych świątyń Bangkoku. Nazywana także bywa pierwszym uniwersytetem Tajlandii z racji tego, że od stuleci znajduje się tu szkoła tradycyjnego masażu tajskiego i szkoła tradycyjnej medycyny. Największą atrakcją tej świątyni jest potężny posąg leżącego Buddy (46 m długości, 15 m wysokości). Posąg rzeczywiście jest ogromny, aż trudno objąć go kadrem aparatu. Ponadto słychać cały czas stukot monet. To wyznawcy buddyzmu wrzucają pieniądze jako datki w ramach prośb - do miedzianych naczyń, przez co po świątyni rozchodzi się charakterystyczny dźwięk.

Z Wat Pho idziemy na przystań, gdzie korzystając z wodnych tramwajów płyniemy na przystanek Central, aby tam wsiąść w coś co nazywa się skytrain. Stateczek jest szybki i co chwilę zawija do wodnych przystanków. Jest tu kilka linii wodnego transportu publicznego, niektóre ekspresowe zatrzymują się na wybranych przystankach. Każda ma swój kolor. Świetna sprawa, nie trzeba stać w korkach, a można szybko się przemieścić. Im bliżej Central tym coraz więcej wieżowców, ale na brzegach rzeki stoją stare drewniane domy na palach, którym do świetności bardzo, ale to bardzo daleko. Statek dobija do kolejnych przystanków, dosłownie na parę chwil, a człowiek, który statek na chwilę przytrzymuje na mostku daje znaki gwizdkiem motorniczemu czy już płynąć dalej czy jeszcze nie.

Skytrain to takie metro nadziemne wybudowane na wysokich filarach. W paru miejscach Bangkoku można zobaczyć jak krzyżują się dwie linie takiego metra. Wygląda to dość niesamowicie, gdyż nie dość, że jest to nad ziemią, to jeszcze widać dwie linie jedna nad drugą. Na dole pod tym wszystkim ruchliwa ulica. Metro jedzie bardzo szybko, z racji tego, że jest na pewnej wysokości, można z tego poziomu oglądać miasto. Dojeżdżamy do dzielnicy zwanej Siam. To dzielnica wieżowców i centrów handlowych. Nawet po ludziach widać, że są zamożniejsi, modniej ubrani, zniknęli gdzieś Chińczycy. Każdy idzie obładowany torbami z markowych sklepów. Z metra wysypują się przedstawiciele firm poubierani w garnitury.

Dalej idziemy do Snake Farm w Bangkoku. Schodzimy ze skytrainu, skąd widać ruchliwe skrzyżowania w pierwszym szeregu zawsze ustawiają się dziesiątki skuterów, a za nimi dopiero samochody. Kiedy światło się zmienia pierwsze na skrzyżowanie wyjeżdżają skutery, które niczym prąd rzeki rozjeżdżają się w różnych kierunkach. Co ciekawe w Bangkoku światła są dla samochodów, piesi ich prawie wcale nie mają. Po drodze mijamy budynki uniwersytetu, gdzie studenci są poubierani w mundurki – białe koszule oraz granatowe spodnie lub spódnice. Farma węży to ośrodek Czerwonego Krzyża opracowujący antyjad na potrzeby szpitali. W Tajlandii jest ponad 170 gatunków jadowitych węży. Na farmie można z bliska obejrzeć proces „dojenia” jadu, zobaczyć efekty ugryzień najgroźniejszych okazów i przejść podstawowe szkolenie z ratownictwa po ugryzieniu. Dojenie jest o 11, o 14:30 jest pokaz największych okazów.

W Tajlandii groźba ukąszenia przez węża jest większa niż ryzyko złamania nogi. Dlatego tak ważna jest produkcja serum, która odbywa się na farmie w Bangkoku.

Dojenie węży wygląda w ten sposób: kilku mężczyzn wchodzi do wykopu na niewielką, otoczoną fosą wysepkę, która wprost roi się od węży. Jedni noszą białe kitle, inni – zielone służbowe uniformy z krótkimi rękawami. Nie mają rękawiczek, niektórzy paradują w sandałach na gołych stopach. Przygląda im się wianuszek turystów z wycelowanymi w nich kamerami i aparatami. Węże na razie są spokojne. Ujawniają pewne zdenerwowanie dopiero wtedy, gdy jeden z mężczyzn zaczyna w nich przebierać, podnosząc je, oglądając i bezceremonialnie odrzucając na stronę. Stawiają przednią część tułowia, wysuwają rozwidlone języki, niektóre rozszerzają kark w kaptur, na którym widnieje deseń okularowy. To kobry indyjskie (Naja naja). Od ich ukąszeń giną co roku tysiące ludzi. Panowie w kitlach nie przejmują się irytacją kobr i sprawnie przystępują do tzw. dojenia. Okaz o wyraźnie nabrzmiałych gruczołach jadowych jest chwytny jedną ręką za głowę, drugą za dół tułowia. Pod rozwartą paszczę węża podstawia się szklaną płytkę, na którą spływa żółtawy, przezroczysty płyn. Spektakl zyskuje na emocji, gdy zabiegowi poddawane są kobry królewskie (*Ophiophagus hannah*), długie na kilka metrów i grube jak konary. Nie pozwala się im pęłzać swobodnie w obrębie ogrodzenia, bo przy swoich rozmiarach mogłyby się zeń wydostać; trzymane są zatem w klatkach. Oprócz kobr do głównych pensjonariuszy farmy należy posiadacz

żółto-czarnych obrączek krait (*Bungarus fasciatus*) oraz zniechęcona żmija łańcuskowa (*Vipera russelli*), uważana za wcielenie perfidii i zła. Jednorazowo od kobry uzyskuje się 2/3 grama jej jadu. To wystarcza, żeby uśmiercić tysiąc królików albo 50 tysięcy myszy. Jad zastyga w kryształki, które długo zachowują toksyczność i rozpuszczają się w wodzie. Wstrzykuje się go w regularnych odstępach koniom, które po 6–8 miesiącach są uodpornione, a ich krew staje się zdatna do wyprodukowania surowicy przeciwjadowej.

Farma hodowlana węży na terenie Instytutu Pasteura przy ulicy króla Ramy IV w Bangkoku powstała już w 1923 r. Wytwarzane tu serum rozsyłane jest do wiejskich ambulatoriów Tajlandii oraz eksportowane do innych krajów Azji. Węże do hodowli w instytutowej farmie przynoszą okoliczni wieśniacy, którzy wyspecjalizowali się w łowieniu gadów i nieźle na tym zarabiają. Popyt nie ustaje, gdyż żmije żyją w niewoli zaledwie kilka miesięcy, a serum potrzebne jest bez ustanku.

Ukąszeni ludzie niekiedy próbują się ratować starym sposobem: wyssaniem rany i jej wypaleniem. Może się to okazać skuteczne, ale tylko wtedy, gdy gad był mniej jadowity lub wstrzyknął niewiele jadu, bo miał akurat opróżnione gruczoły. W przeciwnym razie objawy zatrucia występują już po upływie 10 minut. Ofiarom żmij łańcuskowych krwawią dżiąsła i nos. Po stopniowej utracie przytomności dochodzi do ustania pracy serca. Z kolei po ukąszeniu kobry pojawiają się trudności w oddychaniu oraz utrata mowy. Śmierć następuje w ciągu kilku godzin w wyniku porażenia układu oddechowego. Podobne objawy daje jad kraita, z towarzyszeniem drgawek i bólu żołądka.

Chociaż ukąszenia węży zdarzają się często, nie wynika to z przypisywanej im agresywności i podstępności, lecz najczęściej z nieuwagi bądź przypadku. Wygrzewające się w dzień gady ruszają na polowanie o zmierzchu – widzą wtedy lepiej. Atakują tylko gdy się na nie nadeprnie lub je drażni. Są głuche i o zbliżaniu się człowieka informuje je wibracja podłoża. Dlatego w terenie, gdzie mogą być węże, należy stąpać mocno. Ostrzeżony gad zejdzie nam z drogi.

Na farmę przychodzimy koło godziny 13, więc jest już po dojeniu, a węże raczej śpią. Można je znaleźć na wybiegach, jak i w wielkich drucianych skrzyniach, zapakowane po kilkadziesiąt sztuk. Widok okropny, zwłaszcza, że część z nich nie śpi tylko się wiję pomiędzy swoimi towarzyszami. Są tu w tych skrzyniach głównie pytony, grube jak ręka. Tuż obok po szafce z pudelkami biegają myszy uciekinierki, którym udało się uniknąć losu obiadu. Są też zwykłe worki na śmieci pod szafką wypełnione węzami. Że też one się tam nie uduszą i nie ugotują...

Skytrainem wracamy do rzeki, gdzie wsiadamy do wodnego tramwaju i wracamy na naszą ulicę Phra Athit do hotelu, ale najpierw jeszcze wstępujemy na obiad za 99B – tzw. danie dnia – czyli ryż z mięsem, sałatka owocowa, kawa i sok. Idziemy też po nasze wizy, ale jeszcze ich nie ma... mają być wkrótce. Toteż idziemy się wykąpać jeszcze przed nocną podróżą na północ kraju do granicy z Laosem.

Koło 17 wizy dla nas są. Siadamy na pobliskim przystanku i czekamy na autobus, który nas zawiezie na północny dworzec autobusowy. Jednak po 40 minutach czekania, kiedy przejeżdżają wszystkie autobusy z różnymi numerkami i to niektóre wielokrotnie, a naszego nie ma, jesteśmy zmuszeni do złapania taksówki. Kierowca naszej taksówki wioząc nas pokazuje jeszcze różne miejsca w mieście – a to parlament, a to zoo, czy miejsce gdzie sypia rodzina królewska.

Na dworcu zatrzymujemy się dokładnie pod okienkiem biletowym w kierunku miejsca do którego zmierzamy. Kupujemy bilety do ostatniej miejscowości na trasie autobusu – do Thung Chang, czyli jakieś 890km. Autobus ma nazwę Vip Bus i zabiera tylko 24 pasażerów. Do jego odjazdu mamy tylko 1,5 godziny. Siedzimy więc i czekamy na 2 poziomowym dworcu. Ruch i zgiełk niczym w ulu, tutaj nawet mnisi buddyjscy mają swoją osobną poczekalnię. W końcu idziemy na stanowisko 40, gdzie ma podjechać nasz autobus, ale jednak jeszcze stoi inny. Obserwujemy ludzi czekających na odjazdy swoich autobusów, na ich bagaże często popakowane w kartony. Każdy Vip Bus jest kolorowy i posiada stewardessę. W przypadku busa przed nami jest to facet zrobiony na kobietę...

Punkt 20:15 podjeżdża nasz autobus. Takim to ja jeszcze w życiu nie jechałam – 24 miejsca, wygodne duże fotele. Jest rząd podwójnych siedzeń i pojedynczych, stąd w autobusie ma się dużo

miejsca. Obowiązkowo dla każdego kocyk i poduszka. Każde siedzenie rozkładane, więc można się wypaść. I co najlepsze, każdy fotel ma automatyczny masaż!!! Rewelacja! Nawet toaleta znajduje się z tyłu autobusu, a od reszty oddziela ją jeszcze jedno pomieszczenie z drzwiami. Tak więc zapachu smrodków nie ma wcale.

Kiedy autobus rusza każdy otrzymuje wodę i słodkie bułeczki. Klimat lekko chłodzi wnętrze autobusu, normalnie w takich warunkach aż chce się podróżować. Stewardessa puszcza film, abstrakcyjna komedia. Widać, że Tajom się podoba, bo się śmieją i oglądają z zainteresowaniem. Zresztą ja też... nic nie rozumiem, ale musi być to komiczne. Film opowiada o kobiecie, która zostaje zabita przez spadający na jej głowę owoc jackfruta, po czym jej duch prześladowa wszystkich dookoła i wokół tego rozgrywa się cała akcja filmu.

Za oknem zaczyna padać i to coraz bardziej i bardziej, a autobus mimo tej ulewy pędzi niczym strzałą. Gdzieś koło 2 w nocy zatrzymujemy się w przydrożnym barze na jedzenie, które jest w cenie biletu. W takiej strefie restauracyjnej dla autobusów osoby jadące Vip Busami mają swoje osobne sale restauracyjne. Zjadamy małe conieco, bo przecież jest środek nocy i ruszamy dalej.

02.07.2009 (czwartek)

Nad ranem przestaje padać. Jedziemy choć nie wiemy, o której powinniśmy dotrzeć do celu. Po ilości osób wysiadających w Nan widać, że chyba już niedługo. W końcu w całym autobusie zostajemy sami... Jeszcze pół godziny tak jedziemy i dokładnie o 7:15 wysiadamy w Thung Chang – ostatnim przystanku naszego autobusu. Niesamowicie 900 km przejechaliśmy w 11 godzin!!! To się nazywa transport lokalny.

Thung Cheng to mała miejscowość, wysiadamy przy budynku kompanii autobusowej, siadamy i próbujemy dowiedzieć się jak się stąd wydostać dalej. Nie jest łatwo bo jakoś nikt nie rozmawia po angielsku. Oczywiście zaraz pojawiają się kombinatory co za 1500 batów zawiozą nas do granicy z Laosem. Poza tym jedni twierdzą, że granica jest nieprzejezdna. Jednak taka cena to rozbój w biały dzień. Nic z tego mamy mnóstwo czasu, dopiero jest wczesny ranek więc na pewno damy radę.

Czekamy więc na rozwój wydarzeń. Obok na chodniku stoją pudła, worki, które przyjechały razem z nami. Co jakiś czas ktoś się pojawia i zabiera swoją przesyłkę. I tak czekają bezpańskie, aż do czasu gdy wszyscy zainteresowani je odbiorą.

W końcu pojawia się kobieta, która mówi po angielsku. Dowiadujemy się, że trochę po 8 będzie autobus do Pon, a potem musimy łapać coś do granicy, ale będzie ciężko, bo dalej transport jest słaby. Grunt, że wiemy iż niedługo coś pojedzie. I rzeczywiście kwadrans po 8 przyjeżdża mały lokalny autobusik. Tajka go zatrzymuje, a my możemy jechać dalej ku granicy. I to za całe 13 batów!!! Autobusik to straszny grat, wszystko w nim terkocze, a z silnika wydobywa się ogłuszający huk. No cóż zawsze to kolejne 20 km bliżej granicy.

Po około pół godziny jazdy jesteśmy w Pon. I to dopiero jest dziura. Autobus tutaj kończy bieg. Kierowca wysadza nas na małym metalowym przystanku i każe czekać, ale nie jest w stanie powiedzieć jak długo. No to rozsiadamy się na przystanku. Hmm rozsiadamy to za dużo powiedziane, bo przystanek lekko stary i siedzenia wykonane z rurek są niekompletne i nie wszędzie można usiąść, z kolei podłoga również z rurek i też niekompletnych więc trzeba uważać żeby nie wpaść w dziurę. Co jednak interesujące przystanek jest na nóżkach, a więc gdyby lało podłoga będzie sucha. Co tam że zleje nas z boku, gdy deszcz będzie zacinał. Tak w ogóle to przystanek jest bardzo mały i może się tam zmieścić co najwyżej 4 osoby, no chyba że są Azjatami to wtedy na pewno więcej.

Siedzimy sobie na tym skrzyżowaniu, ale nic się nie dzieje. Dziwne bo nawet miejscowi

nami się nie interesują. Od czasu do czasu ktoś przechodzi przez wieś, a jeszcze rzadziej coś jedzie, tyle że w przeciwną stronę. Nawet nie ma co obserwować, chyba, że krople padającego deszczu, który znowu postanowił dać o sobie znać.

W pewnej chwili na nasz przystanek przychodzi dwóch Azjatów, chyba Laotańczyków z wielkimi torbami, takimi jak u nas mają na bazarach handlarze z za wschodniej granicy tylko że kolor to czerwono-żółto-niebieski. Strasznie się cieszę, że w końcu ktoś się dosiada, bo to oznacza, że jednak COŚ musi tędy pojechać. Czas mija. Siedzimy już ponad dwie godziny i nic się nie zmienia, oprócz deszczu który raz pada bardziej raz mniej.

Po jakimś czasie przyjeżdżają dwa motory od strony granicy. Goście od wielkich toreb chwilę z nimi rozmawiają, po czym... cudem przytracają pakunki do motorów, wsiadają na nie wraz z kierowcą i odjeżdżają w stronę dal. No to znowu jesteśmy w punkcie wyjścia. Sami na totalnym zadupiu. Paweł zaczyna się przechadzać, jakby to miało spowodować pojawienie się transportu. No i zdarza się cud. Jakies 5-10 minut po odjeździe motorów, pojawia się ciężarówka, będąca transportem do granicy. Ku naszej radości zakupujemy jeszcze ze 2 kg bananów za całe 5 batów (czyli 50 groszy!!!) i wsiadamy do ciężarówki. Koszt przejazdu 100 batów za osobę, czyli owe 1500 w Thung Chang to było zdzierstwo, skoro nam uda się przejechać za 226 batów i tylko 3 godziny czekania w Pon. Przed nami 30 km jazdy całkiem fajną asfaltową drogą do granicy. Po drodze mijamy pojedyncze domki tutejszych mieszkańców. Ale ogólnie dookoła duża pustka. Koło południa dojeżdżamy do przejścia granicznego, tu też pustka. Obok dość bogatej i kolorowej „bramy” granicznej siedzą w cieniu tajowie zajmujący się dowozem ludzi motorami do granicy. Nareszcie przejście graniczne Huay Kon -Muang Ngoen.

Tajski urzędnik w budce dokładnie przegląda nam paszporty, choć chyba bardziej aby urozmaicić sobie nudę niż, aby nas sprawdzić. W końcu wbija pieczętkę i możemy iść do Laotańczyków. Przejścia stąd nie widać. Najpierw trzeba pieszo pokonać odległość około 1 km. W końcu w dali widzimy marne budyneczki przejścia laotańskiego.

Najpierw stajemy przed szlabanem, obok którego w budce śpi w najlepsze jakiś wojskowy. Musimy go obudzić, sprawdza nasze paszporty i pokazuje, że mamy iść do białego budynku. W budynku chyba z 5 okienek, ale wszystkie zamknięte na cztery spusty. Po chwili ktoś przychodzi i nawet zna język angielski. Z racji tego, że tu w ogóle nic się nie dzieje gość uczy się w ciszy i spokoju języka angielskiego korzystając ze znanej nam grammar in use i... książki do obsługi photoshopa. Wbija nam pieczątki i możemy czuć się już jako turyści w Laosie. Ponadto u tego samego Laotańczyka wymieniamy pieniądze – musi on tylko zmienić okienko. Wymaniamy tylko niedużą część, bo oczywiście na przejściu zbyt dużo pieniędzy nie mają, a i tak ilość banknotów jest znacząca.

Poza tym znajduje się dla nas transport. Zresztą wyboru nie mamy żadnego to jedyna minicieżarówka, która tutaj jest. Trafiliśmy akurat na czas kiedy czekają na odbiór towaru ze strony tajskiej. Jednak zanim opuścimy przejście graniczne mija sporo czasu... bo:

1. najpierw postaliśmy w ciężarówce siedząc z 2 Laotankami około pół godziny
2. potem odjechaliśmy od przejścia granicznego jakieś 300-400m i... stanęliśmy na poboczu
3. następnie kierowca na zmianę z tymi Laotankami znosił z przejścia granicznego worki z nawozami. POJEDYNCZO!!!! Zresztą te worki były przywożone na motorze od Tajów po jednej sztuce.
4. nie wiem dlaczego odjechali na taką odległość, bo tylko się męczyli taszcząc te worki z namalowanym królikiem...

No ale w końcu po ponad godzinie wyjechaliśmy, ale...

1. odwiedziliśmy wieś przygraniczną zataczając koło.
2. po czym trafiliśmy na lokalny przystanek i odstaliśmy swoje, jednak żaden chętny już więcej się nie pojawił.

I w końcu wyjechaliśmy, choć opuszczając przygraniczną wioskę straciliśmy już 2 godziny. Z przejścia granicznego do Hongsy to tylko 30km, więc teraz powinno być już z górki. I nic mylnego niestety.... bo:

1. droga asfaltowa zniknęła w Laosie i teraz jedziemy rozjeżdżoną (bo pora deszczowa) bitą (daleko jej do tego) drogą w kolorze pomarańczowym (bo taki kolor ma tu gleba) o licznych wybojach. Szybciej byłoby piechotą, ale to błoto...
2. musieliśmy mieć przystanek, bo jedna z Laotanek w jednej z wiosek odebrała reklamówkę z kilkudziesięcioma jajkami. Było co obserwować, bo kobieta potem musiała te jajka chronić na wybojach, aby nie stały się jajecznicą
3. Jakby przystanków było mało, to w kolejnej wiosce, owa kobieta od jajek postanowiła wykupić wszelkie ptactwo domowe. Stanęliśmy w centralnej części wsi, a ona chodziła od domu do domu znosząc coraz to różne ptactwo - kaczki, kury, indyki. Następnie pakowała je do bambusowych koszy po około dwadzieścia parę sztuk i większość trafiła na dach ciężarówki. Mieliśmy okazję poprzyglądać się życiu ludzi. W domku obok, którego staliśmy kobieta na drewnianych krosnach (takich jak w Polsce są w skansenach) przędła tkaninę. Kiedy Paweł wszedł i chciał zrobić jej zdjęcie, kobieta się przestraszyła i z krzykiem uciekła. Pozostało zrobić zdjęcie samych krosen z tkaniną. Obok ciężarówki była lokalna stacja benzynowa. Trochę to za dużo powiedziane, bo to był raczej mini dystrybutor i to na korbkę. W końcu kiedy drób już się nie zmieścił na dachu, indyki oraz kaczki w workach trafiły do środka.
4. i odjechaliśmy... ale tylko 100 metrów dalej i stanęliśmy na pagórku. Kobieta od drobiu poszła po kolejne ptactwo!!!.....
5. No ale w końcu odjechaliśmy.... uff.

Po tylu przystankach i w sumie 5 godzinach od momentu kiedy znaleźliśmy się w Laosie pokonaliśmy owe 30 km i zmordowani dotarliśmy do Hongsy.

Zostaliśmy nawet podwiezieni pod Jumbo Guest House. Po pewnym czasie pojawiła się właścicielka i tu się bardzo zdziwiliśmy. Okazała się być Austriaczką, która od półtora roku mieszka w Laosie. Pracowała dla niemieckiej organizacji rozwoju regionów słabo rozwiniętych, po czym postanowiła osiedlić się w Hongsie i kupić guest house. Podobno jest jedyną osobą mówiącą tu po angielsku.

My w gorącej wodzie kąpani od razu chcemy ustalać co będziemy tu robić i jak stąd wydostać się dalej. Austriaczka – Monika pyta nas czy znamy laotański skrót PDR (oficjalnie nazwa Laosu - people democratic republic), jednak skrót należałoby tłumaczyć jako please don't rush, czyli po prostu „nie śpiesz się, nie goń”. Toteż najpierw zostajemy odesłani na odpoczynek i wykąpanie się. To drugie zwłaszcza jest nam potrzebne. Dopiero potem umyci siadamy z Moniką do ustalania harmonogramu pobytu. Przy okazji dowiadujemy się, że Monika mieszkała w Wiedniu, ale urodziła się w Brazylii, gdzie jej rodzina wyemigrowała po wojnie. Na dodatek jej babcia była Żydówką i pochodziła z Krakowa.

Ale może teraz trochę o samym Laosie...

Laos (Lao, Laotańska Republika Ludowo-Demokratyczna - Sathalanalat Paxathipatai Paxaxôn Lao) – państwo w Azji Południowo-Wschodniej, na Półwyspie Indochińskim. Stolica Wientian (180 tys. mieszkańców).

Laos znajduje się na Półwyspie Indochińskim w południowo-wschodniej Azji; jest jedynym krajem regionu pozbawionym dostępu do morza. Od północy graniczy z Chinami, od wschodu z Wietnamem, od południa z Kambodżą i Tajlandią, od zachodu z Birmą. Jest krajem prawie w całości porośniętym lasem. Na północy kraju rozciągają się liczne wyżyny i góry. Góry stanowią aż 70% powierzchni tego kraju. Najwyższym szczytem jest Phou Bia (2817 m n.p.m.). Na północnym wschodzie tereny wyżynne przechodzą w Równinę Dzbanów (franc. Plaine Des Jarres), romboidalnego kształtu obszar żyznych ziem zarzucony wielkimi, kamiennymi urnami grzebalnymi datowanymi na tysiące lat wstecz. Na południu rozciąga się wąski pas lądu opadającego ku płaskowyżowi Bolovens. W czasach kolonialnych rozciągały się tu liczne plantacje kawy i francuskie ośrodki wypoczynkowe. Rzeka Mekong w znacznej części jest rzeką graniczną z Tajlandią.

W Laosie panuje klimat monsunowy - od końca maja do końca października trwa pora gwałtownych deszczów tropikalnych, zaś od grudnia do kwietnia pora sucha z wysokimi

temperaturami; krótkie wiosna i jesień wypełniają czas pomiędzy tymi dwiema porami.

Między VII a I w. p.n.e. na tereny obecnego Laosu napłynęły grupy ludności z południa Chin, wśród których najliczniejszy był lud Lao. Pierwotni mieszkańcy Laosu zajmowali się myślistwem i zbieractwem. Jednocześnie z rozwojem rolnictwa w środkowej części doliny Mekongu pojawiły się niewielkie niezależne księstwa laotańskie — położony na lewym wybrzeżu Mekongu Sikhottabong i Candapuri (dzisiejsze Wientian). Laos od zarania swej historii był przedmiotem ekspansji sąsiadów. Południe już w II w. n.e. znalazło się w kręgu wpływów imperium Czampa, hinduistycznego państwa założone na wybrzeżach obecnego Wietnamu. Częścią środkowego Laosu władał Funan — inna regionalna potęga. W VII i VIII w. Laosie znalazł się pod wpływem utworzonego przez Monów królestwa Dwarawati, skąd przyjął buddyzm therawada. Północną część kraju, w tym Muang Swa (dzisiejsze Luang Prabang), weszła w skład królestwa Nanchao, zawdzięczającego swą potęgę kontroli handlu na południu odnodze Jedwabnego Szlaku. W IX w. ekspansja imperium khmerskiego za panowania Indrawarmana I objęła tereny górnego biegu Mekongu, w tym Muang Swa. W 1253 Mongołowie, którzy zniszczyli królestwo Nanchao, zaczęli odgrywać decydującą rolę także na obszarze środkowej doliny Mekongu. Muang Swa zostało wówczas uzależnione jako lenno od mongolskiej prowincji Yunnan.

W 1353 Laotańczycy zrzucają władzę tajskiego królestwa Ayutthaya i zakładają własne państwo Lan Xang. Po śmierci króla Setthathiratha II, Lan Xang zostaje w 1707 podzielony na 3 królestwa: Viang Chan, Champasak i Luang Prabang. Viang Chan zostaje podbite przez Tajlandię w 1828, zaś Champasak i Luang Prabang znajdują się od 1893 pod protektorem francuskim. W czasie II wojny światowej okupowany przez Japończyków. W 1945 roku powstał antykolonialny ruch wyzwolenczy Lao Issara. Lao Issara w październiku 1945 roku ogłosił niepodległość kraju i powołał rząd. W 1946 Francja ponownie okupowała Laos zwalczając oddziały Lao Issara. W 1946 po wygaśnięciu linii królewskiej w Champasak, król Luang Prabang Sisavang Vong łączy oba kraje w królestwo Laosu. W 1949 roku Francja formalnie ogłosiła niepodległość Laosu. W 1950 roku powstaje powiązany z organizacją Viet Minh antyfrancuski i antykolonialny ruch Pathet Lao w którym współpracują komuniści księcia Souphanouvonga, centryści księcia Souvanaphoumy i byli urzędnicy królewscy oraz przedstawiciele niektórych plemion. W 1953 roku 1/3 terytorium kraju znajduje się pod kontrolą Pathet Lao.

W 1954 roku po bitwie pod Dien Bien Phu Francja uznała niepodległość i niezależność Laosu. Od 1954 Laos był niepodległym królestwem, ale wojna trwała nadal - losy Laosu układały się zależnie od wypadków w ościennym Wietnamie. W marcu 1955 roku komuniści laotańscy kierowani przez księcia Souphanouvonga utworzyli laotańską partię komunistyczną, początkowo pod nazwą Laotańska Partia Ludowa a Pathet Lao stał się ruchem komunistycznym. Od 1964 roku północno-wschodnie terytoria Laosu opanowane przez Pathet Lao były bombardowane przez lotnictwo USA, głównie z uwagi na szlaki zaopatrzeniowe Vietcongu przebiegające w tym rejonie i znane jako Szlak Ho Chi Minha. W kraju ścierały się wpływy prawicy, centrystów księcia Souvanaphoumy i komunistów kierowanych przez księcia Souphanouvonga. Premier Souvanaphouma trzykrotnie tworzył rządy koalicyjne. Wojna domowa i naloty USA trwała z przerwami do 1973 roku. Po zwycięstwie Pathet Lao w wyborach do parlamentu 1960 roku prawicowy zamach stanu. Po stronie komunistów występowała Demokratyczna Republika Wietnamu po stronie prawicy USA. W 1971 roku Pathet Lao kontrolowało 2/3 terytorium kraju. W 1973 roku zawarto pokój i utworzono III rząd koalicyjny premiera Souvanaphoumy.

Upadek Wietnamu Południowego spowodował opanowanie stolicy Wientian przez partyzantów komunistycznych w kwietniu - maju 1975. Komuniści deportowali ok. 30 tys. funkcjonariuszy poprzedniego systemu wraz z rodzinami do tzw. "obozów reedukacji" na następnych 5 lat, gdzie wielu z nich zabili lub torturowali - szczególną uwagę poświęcono 3 tys. byłych oficerów wojska i policji laotańskiej, dla których utworzono obóz o zastrzonym rygorze na wyspie Nam Ngum. Król Savang Vatthana został zmuszony do abdykacji w dniu 29 listopada 1975. Laos ogłoszono republiką a władzę przejął przywódca komunistów książę Souphanouvong, zaś Souvanaphouma początkowo został doradcą rządu. Król wraz z następcą tronu i rodziną, najpierw internowany w swym pałacu w Wientianie, także został 11 marca 1977 wysłany do "obozu

reedukacji" na północy kraju. Od tej chwili wszelki ślad po nich zaginął, aż do 17 grudnia 1989 kiedy to rząd ogłosił, że rodzina królewska zmarła w obozie.

Od 1975 roku nastąpił ścisły sojusz kraju z Wietnamem, w 1977 podpisano porozumienie o przyjaźni i współpracy gospodarczej, wojskowej i kulturalnej. W tym samym roku komunistyczny rząd w Wientianie podejmuje decyzję o bombardowaniu baz partyzantów (złożonych głównie z dążących do utworzenia własnego państwa członków plemienia Meo (Hmong) wspieranych w czasie wojny indochińskiej przez CIA) - podczas których, według niepotwierdzonych źródeł, miało dojść do użycia broni chemicznej i bakteriologicznej. Jednocześnie poczynając od 1975 nasila się eksodus ludności cywilnej Laosu, uciekającej przez granicę głównie do Tajlandii - ocenia się iż podczas ucieczek komunistyczne wojsko i policja zabiły na granicy do 45 tys. ludzi, spośród ogólnej liczby 300 tys. uchodźców (10% ogólnej liczby ludności Laosu, w tym 30% Meo) w których skład wchodziła także liczna grupa najbardziej wykształconej część społeczeństwa (ok. 90% inżynierów, techników, intelektualistów i wyższych urzędników państwowych). Całkowitą ilość zabitych (cywilów i wojskowych) w konfliktach toczonych w latach 1962-1973 szacuje się na 200-300 tys. ludzi.

Sytuację kraju pogarszał bardzo niski poziom rozwoju, wstrzymanie pomocy USA oraz powstania mniejszości narodowej z plemienia Meo. Od 1986 roku po rezygnacji prezydenta Souphavonga rządy w państwie przejął były dowódca oddziałów wojskowych Pathet Lao premier Kaisone Phomvihane. Rozpoczęto przywracanie mechanizmów rynkowych w gospodarce, znormalizowano stosunki z ChRL i Tajlandią. W ideologii państwowej wprowadzono odwołania do buddyzmu. Rozluźniono stosunki z Wietnamem - w 1988 wycofano z Laosu ostatnich 50 tys. żołnierzy wietnamskich. W 1991 w więzieniach i "obozach reedukacyjnych" znajdowało się nadal 55 tys. obywateli Laosu (w tym 45 tys. z plemienia Meo). W 1992 roku po śmierci prezydenta Phomvihane rządy przejął prezydent Khamtai Siphandon, liberalizując gospodarkę i otwierając zamkniętą do tej pory granicę z Tajlandią - do kraju powróciło jednak tylko kilka tysięcy uchodźców.

Jedyną legalną partią polityczną jest Laotańska Partia Ludowo-Rewolucyjna. Głową państwa jest prezydent wybierany przez parlament na pięcioletnią kadencję. Szefem rządu jest natomiast premier wybierany przez prezydenta za aprobatą parlamentu.

Laos jest republiką z jednoizbowym parlamentem - Sapha Heng Xat (Zgromadzenie Narodowe) liczące 109 deputowanych wybieranych w wyborach powszechnych na 5-letnią kadencję. Zgodnie z konstytucją z 1991 roku Zgromadzenie Narodowe liczyło 85 deputowanych. W roku 1997 na wniosek prezydenta liczba miejsc wzrosła do 99, a w lutym 2002 roku do 109. Władza wykonawcza należy do rządu powoływanego przez prezydenta.

Laos jest krajem rozwijającym się. 80% ludności zatrudniło się w rolnictwie, który dostarcza 49% PKB. W lasach prowadzi się wyrąb drzewa tekowego, hebanu, palisandru i drzew różanych. Przemysł jest słabo rozwinięty. Rozwija się sektor usług. Od 1989 roku rozwija się turystyka.

Skład demograficzny nie jest jasny jako że rząd dzieli ludność na trzy grupy, zależnie od wysokości na jakich żyją a nie zależnie od ich pochodzenia etnicznego na Laotańczyków nizinnych (Lao Loum), wyżynnych (Lao Theung) i górskich (Lao Soung). Spośród 6 milionów ludzi mieszkających w Laosie większość z nich żyje w dolinie Mekongu i jego dopływach. Gęstość zaludnienia wynosi 23 os/km² a najgęściej zaludnionym obszarem jest Prefektura Wientian. 69% populacji to Laotańczycy, którzy należą do tajskiej grupy językowej i zasiedlili ten obszar przybywając z Chin w pierwszym tysiącleciu n.e. Laotańczycy to głównie mieszkańcy nizin. 22% ludności to mniejszości wywodzące się z językowej grupy Mon-khmer takie jak Khmu, Lamet i Lawa. Razem z mniejszymi populacjami Katang, Katu, Alak, Makong i Laven tworzą grupę Lao Theung. W wyżynnych regionach kraju żyją mniejszości narodowe takie jak Hmong (Miao), Yao (Mien), Dao, Shan i kilka grup należących do tybetańsko-birmańskiej grupy językowej. Około 34% ludności powyżej 15 lat nie umie pisać i czytać...

Siedząc na werandzie domku Moniki widać obok budowę jeszcze jednego budynku, który Monika wraz z bogatym Laotańczykiem (inwestorem) przeznaczą na guest house. Budynki oddziela

„basen” w którym rosną kwiaty lotosu. W przyszłości na moście nad basenem ma być mini kawiarnia dla gości. Jednak żeby to mogło mieć miejsce, do Hongsy musi przyjechać więcej turystów, ale na razie im nie po drodze. Jakiś czas temu obiecano, że się tutaj turystów ściągnie, ludzie pobudowali guest housy, które teraz stoją puste. W chwili obecnej jesteśmy z Pawłem jedynymi turystami w miejscowości. W ogródku znajduje się specjalna rampa do wsiadania na słonia. Stąd też ustalamy, że jutro pojedziemy na słoniu!!!

Monika w swoim domu ma 2 psy, z których jeden ma 3 szczeniaki. Są śmieszne, bo każdy w innym kolorze – jeden brązowy, drugi, czarny, a trzeci biały w brązowe ciapki. Są też dwa inne psy, które przychodzą tu bo... po prostu lubią tu być. Aha no i obowiązkowo dwa koty. Kolejnym domownikiem jest około 30 cm długości gekon, który co wieczór siedzi pod daszkiem werandy i łypie na gości swoimi wielkimi oczyma.

Domy w tej miejscowości robią ogromne wrażenie, bo nie są to chaty, tylko murowane domy z prawdziwego zdarzenia i posiadają drzwi wejściowe przepiękne rzeźbione, bardzo często z motywem słonia. Choć drogi w miejscowości są bez asfaltu i ktoś bardzo mądry postanowił w porze deszczowej kopać rowy pod wodociągi. Efekt można sobie wyobrazić.

Okazuje się, że ludzie z tej okolicy zajmują się handlem drewna tekowego z lasu deszczowego, co przynosi im duże dochody. W lesie przekładaniem bel drewna zajmują się słonie, których jest tu ponad 60 sztuk.

Wieczorem idziemy na tutejszy bazar, gdzie jest jeszcze czynna restauracyjka. Głodni jesteśmy nieziemsko, bo cały dzień jemy tylko banany. Zjadamy ryż z mięsem i sałatkę warzywną i pijamy pierwszym piwem Beer Lao. Notabene danie miało być czymś innym, ale pani źle sobie popatrzyła na angielską nazwę w karcie... a co tam ważne, że smaczne, a ja głodna nieziemsko.

Paweł przed pójściem spać jeszcze próbował naprawić Monice Internet, ale niestety się nie udało. O 22 padliśmy niczym muchy.....

03.07.2009 (piątek)

Pobudka o 6:30 i po 5 minutach z Moniką wychodzimy na poranny targ w Hongsie. Monika na targu robi zakupy na poranne śniadanie i obiad. Na targu mimo wczesnej pory ruch już trwa. Na drewnianych stołach każdy z okolicznych mieszkańców coś sprzedaje. Najczęściej warzywa i owoce poukładane są w kupki. Tutaj podobanie jak w Indonezji nie kupuje się na kilogramy, tylko właśnie na kupki. Monika na stoisku z mięsem dookoła którego kłębią się liczne miejscowe psy, kupuje wołowinę. Te psy są wyjątkowo uparte i co jakiś czas nawet wskakują na stoły z mięsem w nadziei, że coś uda im się ukraść. Na stoiskach z mięsem stoją miski z dziwną czerwoną niby-galaretką. Okazuje się, że jest to specjalna galaretka z krwi. Makabra nie dałabym się skusić na skosztowanie czegoś podobnego, choć nie da się ukryć kolor ma piękny. W innym miejscu stoją sprzedawcy żywych kaczek powiązanych sznurkami, aby nie uciekły. Dalej zatrzymujemy się przy stoiskach z warzywami, gdzie Monika zaopatruje się w ogórki, fasolę oraz trawę cytrynową. Można tutaj kupić nawet lokalne trufle!!! Kosztują grosze w porównaniu do tych z Francji. Za kilogram tylko 20 000 kipów, czyli niecałe 3 dolary. Monika na targu kupuje żywność u określonych osób, z którymi nawiązała bliższą znajomość. Dzisiaj na dodatek rozdaje ludziom zdjęcia, które zostały wykonane przez jakiegoś turystę i przesłane na jej adres. Miejscowi bardzo się z nich cieszą i z ciekawością im się przyglądają, a Monika dzięki temu zyskuje sobie większą sympatię. Z kolei my możemy robić zdjęcia. Monika w każdym miejscu przystaje na chwilę i zamienia parę grzecznościowych słów z miejscowymi. Całkiem nieźle opanowała język laotański.

Na targu są też stoiska ze świeżymi bułkami. Te bułki w Indochinach to taka pozostałość po francuskiej kolonizacji. Wszyscy sprzedają co tylko się da. Jest tu nawet góra ubrań, jak w jakimś ciuchlandzie. Dla każdego coś się znajdzie. Pomiędzy stoiskami przechadzają się ludzie z różnych grup etnicznych (np. Yao z dzwinymi turganami na głowach), co widać od razu po ubiorze. Niektóre stoiska powoli kończą sprzedaż i liczą zarobione pieniądze. A przeliczanie ich należy do nie lada wyczynu, gdyż w Laosie każdy ma bardzo dużo banknotów. Podstawowym banknotem jest 1000 kipów, a to około 1/8 dolara, a w powszechnym użyciu są jeszcze banknoty o nominale 500

kipów. Wyższe są dużo rzadsze. Stąd też każdy ma kieszeń wypchaną niezliczoną ilością banknotów, które bardzo często poukładane są w kupki po 10 000 kipów. Ten kto ma stoisko, gdzie coś sprzedaje musi zaopatrzyć się w wiaderko, aby zbierać do niego zarobione pieniądze. Ten sprzęt znajduje się w każdym sklepiku i najczęściej wypełniony jest po brzegi tysiąc kipowymi banknotami.

Po zakupach siadamy przy stoliku w małym barze przy targu, gdzie Monika oczywiście zna właściciela. Pijemy przepyszną kawę (i ja to piszę!!!) i jemy równie dobre ciasteczka, dopiero co usmażone na głębokim oleju. Kawa ma tutaj niesamowity smak, dodają do naparu skondensowane mleko. Może to też jest sposób.

Wracamy do Jumbo na śniadanie przygotowane przez Monikę. Toteż musi być europejskie – omlety oraz bułki z dżemem. Sama robi dżemy z tutejszych owoców. Ma nawet drzewa mangowe w ogródku. Mnie najbardziej smakuje dżem ze smarków czyli owoców pasiflory. Ma słodki smak ale lekko cytrynowy. Pycha. Kiedy jemy śniadanie na tarasie, w pewnej chwili Monika mówi, że słyszy dzwoniący dzwonek, a to znak że zmierza do nas nasz słoń!!! Po chwili w ogródku pojawia się słoń wraz ze swoim opiekunem. Przyszedł przed czasem (podobno to wielka rzadkość, bo nagminnie się spóźniają i Monika zawsze umawia ich wcześniej) toteż teraz musi poczekać, aż skończymy. Oczywiście według laotańskiej zasady nie musimy się spieszyć. Słoń nie zając nie uciekanie. Niesamowite jedzenie śniadania a obok w OGRÓDKU stoi i czeka na ciebie słoń!!! Rewelacja.

Po śniadaniu mogliśmy nakarmić słonia bananami. Właściwie to słonica o imieniu Me-Dok czyli matka kwiatów. W ogródku jest specjalne rusztowanie, z którego można po głowie słonia wejść na jego grzbiet. Potem ruszyliśmy na 2 godzinna przejażdżkę słoniem do dżungli. Super sprawa!!! Prawdziwy las deszczowy na prawdziwym słoniu z dżungli, który dzisiaj zamiast pracować ciężko w lesie i zwozić drewno obwiozł nas po lesie. Las deszczowy jest niesamowity. Podzielony na kilka pięter, z najwyższymi wielometrowymi drzewami, których korony drzew kończą się gdzieś daleko. Wszędzie dookoła zielono, nawet pnie drzew porośnięte są innymi drobniejszymi roślinami. Zewsząd słychać odgłosy lasu – głównie cykanie owadów, co jakiś czas krzyk ptaka. Słoń po drodze swoją trąbą zrywał gałęzie i je zjadał. Najbardziej smakowały mu drzewa akacjowe i głównie te wybierał. Przechodziliśmy też przez rzeczkę i tutaj słoń na monet zatrzymał się aby się napić. Szkoda, że nie zdążył nabrać więcej wody, to może oblałby się nią, a przy okazji i nas. Jego opiekun pogonił go niestety i słoń wydał z siebie tylko małe trąbnięcie, które zapewne oznaczało niezadowolenie.

Jest taki żart o słoniu, co boi się myszy, nie wiedziałam, że rzeczywiście w tym żarcie jest tyle prawdy. Słoń boi się wszystkiego. Jak tylko widzi coś czego się boi omija przeszkodę wielkim łukiem, a jak coś nie dać Boże jest większe niż on, to wpada w panikę i najlepszym ratunkiem jest odwrócenie się tyłem do tego czegoś. Jestem malutki, nie ma mnie tutaj! Nasz też co chwilę czegoś się bał jak nie ciężarówka, to motoru, a nawet małej krowy. Psa też omijał z daleka. Takie wielkie strachajło. W drodze powrotnej tak się przestraszył ciężarówka, że o mało nie staranował płotu jednego z domostw bo chciał uciekać. I co najlepsze, skóra słonia jest dość ostra, można przy okazji mieć zrobiony peeling. A jakie śmieszne włosy ma słoń. Nie dość, że jest ich niewiele to mają ze 4 cm długości i są dość twarde i ostre.

No i oczywiście muszę napisać że jazda na słoniu jest milion kroć przyjemniejsza niż na wielbłądzie. Nie dość, że wygodniejsza to można zobaczyć jak słoń zrywa pożywienie, je, a nawet trąbi:). Mieliśmy super, bo na grzbiecie słonia był zamontowany bambusowy kosz z daszkiem, więc nie smażyło nas słońce. Z każdym krokiem słonia kosz przechylał się na boki. Tuż za głową siedział opiekun słonia i go poganiał drapiąc go swoimi stopami za uchem oraz pokrzykując coś w stylu „łi, łi, łi”. I słoń szedł. Mieliśmy okazję z Pawłem również sięść na miejscu opiekuna słonia, ale trzeba było uważać, żeby nie zsunąć się z szyi słonia przy jego ruchach na boki. No i po dwóch godzinach wróciliśmy z powrotem do Jumbo.

Po powrocie już zgłodnieliśmy toteż Monika zabrała nas na targ, abyśmy spróbowali lokalnych przekąsek. Jedliśmy naleśniczki z ciasta ryżowego z warzywami, które maczane było w czymś ala rosółek z orzeszkami. Bardzo smaczne, choć lekko ostre.

Dzisiaj po południu poszliśmy na wycieczkę dookoła osady i do innych wiosek. Zobaczyliśmy ludzi sadzących ryż na polach i mogliśmy podglądać ich codzienne życie. Niesamowite było to, że na ów około 3 godzinny spacer od Moniki dostaliśmy mapkę zrobioną przez nią ręcznie (zero odniesienia do skali) oraz za przewodnika... PSA- Dilo. Rewelacja. Pies szedł przed nami cały czas i zachowywał się jak prawdziwy przewodnik, jak tylko my byliśmy przed nim, cwałował aby nas wyprzedzić i być pierwszym. Co chwilę zatrzymywał się sprawdzając gdzie jesteśmy. W jednej wiosce nie wiedzieliśmy którą z 3 dróg wybrać i ten pies nas zaprowadził. Oczywiście bezbłędnie. Pomijając fakt, że ganiał po wszystkich polach ryżowych i niczym pies wodny się w nich zanurzał, to jeszcze ganiał wszystkie kaczki.

Właśnie rozpoczął się kolejny sezon sadzenia ryżu. Na wielu polach już zostały posadzone pojedyncze źdźbła ryżu, ale na wielu praca wre. Mieszkańcy tutejszych wiosek całymi grupami sadza jedno poletko, po czym przenoszą się na kolejne. Robią to bardzo sprawnie, tak, że pole zamienia się bardzo szybko w zieloną, ale bardzo rzadką łączkę. Każdy z sadzących ludzi ubrany jest od stóp do głów, aby nie zostać spalonym przez mocne słońce. Niestety ryż rośnie w wodzie, więc każdy z tych ludzi godzinami brodzi w błocie, co widać na ich ubraniach. Jednak mimo tej ciężkiej pracy ludziom dopisuje słychać wiele rozmów i dochodzące śmiechy. Nawet nas zachęcają do wzięcia udziału w sadzeniu ryżu. Hmm, z chęcią tylko do tej błotnistej wody raczej nie wejść... Na każdym polu na palach stoi chatynka, gdzie w przerwie można przyrządzić posiłek lub schronić się przed nagle padającym deszczem monsunowym. W wioskach dzieci wymyślają różne zabawy. W jednej z nich dzieci wybrały sobie do zabawy kanał wypełniony wodą. Kilko chłopców w tej wodzie wyczynia cuda. Na dodatek jak my się pojawiliśmy to zaczęły się popisy – skoki do wody, stanie na rękach pod wodą. Dzisiaj słońce grzeje pełną parą. Na niebie z rzadka małe kłębiaste cumulusy pięknej pogody. Wystarczy pół godziny na otwartym terenie i człowiek jest poparzony. Monika odpowiadała nam również, że w porze wilgotnej czasami temperatura nocą spada tutaj nawet do 0-5 stopni i jest naprawdę zimno. A domy nie mają tu czegoś takiego jak ogrzewanie.

Na razie widzę, że tutejsi ludzie są bardzo sympatyczni. Tak, jak parę lat temu mówił mój laotański sąsiad w akademiku. Przed paru laty kiedy opowiadałam mu, że w Wietnamie jest super, to on namawiał mnie aby odwiedzić jego kraj, że są tu jeszcze miłsi ludzie. I myślę że rzeczywiście tak jest. Wszyscy się do siebie uśmiechają i pozdrawiają laotańskim SABADIII przeciągając charakterystycznie ostatnią literę.

Poza tym nie jest tu drogo. Noclegi za 2 osobowy pokój to jakieś 5-7 dolarów, obiad dla 2 osób 4 dolary. Nawet taka przejażdżka na słoniu to koszt za 2 os. ok. 35 dolarów. W miejscu turystycznym byłoby to o wiele droższe i na pewno nie odbywałoby się na terenie lasu deszczowego.

Na koniec naszego 3 godzinnego spaceru wracamy do Hongsy oczywiście prowadzeni przez Dilo. Ostatni fragment to długa prosta czerwona droga, po której od czasu do czasu przejeżdża samochód, czy jadą na rowerach ludzie. Dilo wpada chwilę przed nami do Jumbo, toteż Monika już wie, że za chwilę i my będziemy na miejscu. Taki pies to złoto i po co mieć prawdziwego przewodnika?

Trafiamy prosto na obiad. Monika serwuje wołowinę z ryżem truflami, do tego fasolkę oraz mizerię z ogórków.

Wieczorem pojawia się inny obcokrajowiec, ale nocuje w centrum. Tim – Kanadyjczyk przybył tu z dwoma Włochami na 1 noc. Jutro jedzie dalej, toteż nic nie zobaczy. Monika odradza mu trasę którą sobie wymyślił, gdyż po ostatnich deszczach może być duży problem z jej pokonaniem. Tim jest strasznie gadatliwy i utyka w naszym guest housie na kilka godzin. Okazuje się, że jest nauczycielem angielskiego w Hongkongu od dwóch lat, a wcześniej przez trzy lata uczył w Korei. Śmieszne jest to, że jego rodzina pochodzi z Czech i po kilku piwach zaczyna już z nami mówić po czesku. Opowiada jak to kiedyś odwiedził Czechy i jak mu się podobały bary i czeskie piwo. Czego to on nie opowiadał, to aż trudno tu przytoczyć. Jakież to niestworzone historie przytaczał, to aż włosy na głowie się jeżyły. W tym czasie Monika z niezmaconym spokojem popalała jointy, a z każdym kolejnym humor jej się wyraźnie poprawiał... No tak nie śpiesz się

człowieku... Monika zdecydowanie dobrze wtopiła się w kulturę tutejszej miejscowości. Zresztą opowiadała, że w Hongsie impreza potrafi być już o 11:00 rano i nawet policjant jest pijany, a ludzie drą się w niebogłosy bo kochają karaoke. Wiadomo jak może brzmieć takie karaoke po pijaku.

Światło w lampionach na tarasie się świeci, a w lampionach w najlepsze grasują małe gekoniki. Taki lampion to dla gekona raj na ziemi. Do światła ciągną rzesze owadów, a to świetna stolówka dla tego zwierzątka. Duży gekon pod gzymsem werandy też cały czas na nas spogląda. Monice spodobały się nasze zdjęcia i skopiował na swój komputer, ma podobno dorzucić je do swojej strony reklamującej Jumbo.

Koło północy mam dość i idę spać, Paweł jeszcze trochę siedzi z Kanadyjczykiem, który jednak stwierdza, że pora wracać...

04.07.2009 (sobota)

Całą noc padało za oknem i to dość mocno. Wstajemy o 7 rano. Siadamy na tarasie, aby zjeść śniadanie przed wyjazdem. Nad całą okolica wiszą ciężkie deszczowe chmury, które nic dobrego nie wróżą. Pogoda od wczoraj zmieniła się diametralnie. Dobrze, że to nie dzisiaj jedziemy na słońcu.

O 8:30 zegnamy się z Moniką, bo pod Jumbo podjechał nasz transport – oczywiście minicieżarówka. Wcześniej bilet na ten lokalny transport zakupiła nam gospodyni zatrudniana przez Monikę w kuchni. Toteż ciężarówka przyjechała specjalnie po nas pod same drzwi.

Jedziemy do Tha Suong, gdzie znajduje się przystań dla statków pływających po Mekongu. Przez ponad godzinę jechaliśmy przez góry drogą pozostawiającą wiele do życzenia. Było jeszcze gorzej, bo przez całą noc padało. Dookoła więc błoto. Ciekawe jak tam Tim z Kanady, wybrał się jeszcze gorszą trasą...

Dojeżdżamy do przystani, która mieści się na brzegu małej wioski. Nic tutaj nie ma parę domów, trochę palm i mała elektrownia wodna... a właściwie coś co stwarzać może takie wrażenie. Na strumieniu wpadającym do Mekongu poustawiano schodkowo drewniane rynny, do tego podłączono kable i... chyba płynie prąd. Na samym nabrzeżu stoi kilka straganów z napojami i szybkimi przekąskami, a dookoła przechadza się całkiem spore stadko krów. A właściwie to się leni i leży. Mężczyźni stoją i nie robią nic oprócz dość zażartej dyskusji. Jest też stragan biletera sprzedającego bilety na kolejne statki. No i oczywiście jest sam Mekong.

Nazwa Mekong wywodzi się od wyrażenia Mae Nam Khong, tzn. „matka wszystkich rzek”. Jest to najdłuższa rzeka Półwyspu Indochińskiego, siódma co do długości w Azji i dwunasta na świecie (4350 km). Ze względu na ogromną różnorodność biologiczną organizmów zamieszkujących zarówno samą rzekę, jak i jej brzegi, Mekong często porównywany jest do Amazonki. Źródła swe bierze w południowo-wschodniej prowincji Chin, Qinghai. Płynie głęboko wciętym wąwozem przez wschodnią część Tybetu i płaskowyż Yunnan (1700 km), za którymi tworzy część granicy między Mianmarem a Laosem oraz między Laosem a Tajlandią. Na terenie Laosu (aż do Wientian) dolina rzeki rozszerza się do 300-400 metrów. Mekong poprzecinany jest na tym odcinku licznymi progami i kataraktami. Na Równinie Kambodżańskiej Mekong płynie na południe szeroką, zabagnioną doliną. Wpływa do Wietnamu i uchodzi do Morza Południowochińskiego (na południe od Miasta Ho Chi Minha) kilkoma odnogami: Hau Giang, Song Ma, Song Ba, Song Ca.

Bieg Mekongu i charakter relacji między poszczególnymi krajami, przez które przepływa znacząco wpłynęły na kształt historii i lokalne stosunki międzynarodowe, m.in. były źródłem wielu napięć ekonomicznych i politycznych. Z tego względu Mekong doczekał się miana „Dunaju Azji”. Próby zbudowania trwałego porozumienia rozpoczęły się w 1957 r. powołaniem, pod patronatem ONZ, Komitetu Rzeki Mekong. Po okresie wojen na Półwyspie Indochińskim komitet przekształcony został w Komisję Rzeki Mekong, która rozpoczęła działalność niezależną od ONZ. Współcześnie członkami komisji są: Laos, Tajlandia, Kambodża i Wietnam. Rolę obserwatorów

pełnią Chiny i Myanmar. Obecnie najważniejszą kwestią rozpatrywaną na forum komisji jest zrównoważony rozwój doliny Mekongu.

Największa rzeka Indochin słynna jest też z niezwykle bogatej fauny i flory. Szacuje się, że w Mekongu i jego dopływach żyje ponad 1300 różnych gatunków ryb. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych naukowcy odkryli trzy nowe gatunki, z których każdy mierzył ponad metr długości. Mekong jest też schronieniem dla zwierząt znajdujących się na krawędzi zagłady, takich jak delfin irawadyjski i krokodyl syjamski.

Rzeka stanowi podstawowe źródło utrzymania dla co najmniej 60 milionów ludzi. Dostarcza pożywienia i wody pitnej, jest też głównym szlakiem transportowym. Rytm wylewów Mekongu kształtuje uprawę ryżu i połów ryb. W przeciwieństwie do wielu innych wielkich rzek, Mekong zachował wiele ze swego pierwotnego charakteru, jednakże rozwój gospodarczy w Azji Południowo-Wschodniej wielokrotnie doprowadzał do zakłócenia równowagi biologicznej na obszarze dorzecza Mekongu.

Największa z rzek Indochin doczekała się bogatego zbioru legend na swój temat. Jeden z najpopularniejszych przekazów podaje, że w wodach Mekongu mieszka Phaya Naga, wężopodobny potwór o głowie smoka, potrafiący pluć kulami ognia w niebo. Inne podanie wywodzi genezę od smutnej historii ciężarnej dziewczyny porzuconej przez bogatego kochanka, która, oszalała z rozpaczy, skoczyła do Mekongu. Po śmierci odrodzić się miała właśnie jako delfin. W Kambodży twierdzi się, że ilekroć w rzece tonie mężczyzna, nieszczęsna dziewczyna otrzymuje swoją zemstę

Czekamy na naszą łódź ma być około godziny 11, więc mamy czas około godziny. Inną ciężarówką przyjeżdża jeszcze dwójka turystów, ale oni wsiadają od razu do specjalnej łodzi. Są to tzw. speed boat czyli szybkie łódki. Turyści Ci płyną w przeciwną stronę czyli do Pak Beng w górę rzeki. Przyglądam się jak to wygląda. Łódka jest mała, długa i wąska. Najpierw zostają wpakowane plecaki turystów i przykryte plandekami, potem wsiadają ludzie. Masakra. Po zajęciu miejsca ma się kolana pod sama brodą. Nie wiem jak długo mogłabym płynąć w takiej pozycji. Takie szybkie łodzie skracają czas dojazdu o połowę w porównaniu do zwykłej łodzi. Ale nie wiem czy dałabym rade tak wysiedzieć przez 3-4 godziny. Ani się ruszyć ani nic. Na dodatek pasażerowie zakładają kasaki. Prędkość takiej łodzi jest duża i podobno dochodzi do wypadków. Zwłaszcza, kiedy jest pora sucha i w płytkim w tym czasie Mekongu można bardzo łatwo wywrócić łódź na wystających skałach. Zresztą nawet teraz widać wszędzie wystające z rzeki mniejsze lub większe skały. A jak są tuż pod powierzchnią, to żaden problem przypadkiem na nie najechać. No i kraksa gotowa. Po zapakowaniu się wszystkich i wszystkiego obsługujący łódź naciąga na głowę kominiarkę i gotów do drogi odpala silnik. Łódka rusza niczym strzała. Ciekawy widok. Teraz jeszcze bardziej upewniam się, że nie chciałabym tym płynąć, bo w takich pędzie nie da się zrobić żadnego zdjęcia, huk silnika jest potężny, a poza tym jak zacznie padać nie da się nigdzie schronić. Dziękuję poczekam.

Koło godziny 11:00 na horyzoncie pojawia się statek płynący z Pak Beng do Luang Prabang. Na statku jest około 40 obcokrajowców i wszyscy nam się przyglądają, bo jesteśmy jedynymi turystami, którzy wsiadają w połowie drogi w maleńkiej wiosce. Zanim jednak wsiądziemy na statek musimy oddać plecaki – ładują w luku pod pokładem, a także dostajemy reklamówki, do których musimy włożyć sandały. Po statku chodzi się boso. Świetny pomysł statek nie duży, zapchany ludźmi, byłoby wszędzie nabłocone, a tak można nawet leżeć na pokładzie. Obcokrajowcy wydają się znudzeni. To ich drugi dzień rejsu. Kiedy płynie się całą tą trasą, statek zawija na nocleg i kolejnego dnia rano rusza dalej. My zamiast płynąć dwa dni płyniemy jeden, ale za to mogliśmy odwiedzić takie miejsce jak Hongsa.

Siedzenia na tym drewnianym statku są okropne. Są to po prostu 2 osobowe wąskie ławeczki z oparciem. Trzeba uważać bo co chwilę się przesuwają, ani nawet nie da się porządnie oprzeć. Już teraz wiem dlaczego większość z podróżujących leży po prostu na pokładzie, tym bardziej jak płyną już drugi dzień.

Mekong robi wrażenie. Jest tu dość szeroki. Mimo pory deszczowej i wysokiego stanu wody w rzece widać przez całą drogę masę wystających skał. Na dodatek, co chwilę w tej brązowej od osadów wodzie, przepływają obok nas większe i mniejsze konary oraz pnie drzew, które zostały

wyrwane gdzieś w górze rzeki. Obserwuję wodę w rzece, co chwilę pojawiają się duże wiry wodne. Dookoła las deszczowy schodzący do samego brzegu rzeki. Wydaje się być niedostępny. Gęstwina zieleni, która w porze deszczowej może bez ograniczeń bujnie rosnąć.

Po około 1,5 godziny płynięcia zawijamy do kolejnej osady. Kilka miejscowych kobiet sprzedaje kucharce ze statku dwie dorodne ryby, mające ponad 0,5 metra długości. Reszta ryb, które zostają nie kupione po chwili trafiają z powrotem do wody. Ale uwaga! Nie uciekną, bo są przywiązane na sznurku. Kiedy przyplynie kolejny statek, dalej będą świeże.

Niestety z Pawłem nie jest nam dane spróbować jedzenia na statku, bo... niestety nie mamy laotańskich pieniędzy. Dosłownie wszystko co mieliśmy poszło na kupno biletów na statek. W Hongsi nie dało się nic wymienić, nawet Monice płaciliśmy w dolarach. Na statku musimy polegać na własnym prowiancie, który przygotowała nam gospośia Moniki. Wyciągamy nasze bagietki z omletem. Wyglądają super i widać, obcokrajowcy przyglądają im się z ciekawością bo są zawinięte w liście bananowca!

Płyniemy i płyniemy deszcz cały czas pada. Poza tym jest ciepło, więc dookoła snuje się mgła, a okoliczny las deszczowy paruje, więc wszędzie snują się białe obłoczki. Nudę zabijam czytaniem o religii tego regionu.... czyli Buddyzmie Therravada

Czym jest theravada?

Aby odpowiedzieć na to pytanie trzeba zacząć od samego początku tj. kilka lat przed Parinibbaną Buddy. Mimo, że Mistrz był jeden i Dhamma była jedna, czasami dochodziło do pewnych niesnasek między mnichami. Ba, nawet między mnichami a Nauczycielem, które dotyczyły interpretacji Dhammy. Jeśli wierzyć przekazom tekstów kanonicznych, Mistrz nie zawsze mógł sobie z nimi poradzić (można tu wspomnieć historię szwagra Buddy, Devadatty, który postanowił nawet założyć własną szkołę). Kiedy Buddha umierał nie wyznaczył swego następcy, prosił tylko i pouczał mnichów by pozostali wierni Dhammie (oto Jego słowa: "Kiedy odejdę niechaj Dhamma [Nauka] i Vinaja [Dyscyplina Klasztoru] będą waszym Nauczycielem"). Mimo jednak całego szacunku i czci jaką obdarzali uczniowie swego Mistrza, pamięć o Jego prośbach i pouczeniach okazały się kruchą obroną przed siłami które próbowały rozdrobnić Sanghę, "osieroconą" po śmierci Oświeconego. Szybko pojawiły się spory, najpierw dotyczące praktyki zakonnej a później dotyczące Nauki. Do największego sporu doszło w około sto lat po Parinibbanie Buddy na zgromadzeniu w Vesali w ok. 386 roku p.n.e, pomiędzy ugrupowaniem nazwanym później Starszymi (Sthaviravadinami) a grupą zwaną Członkami Wielkiego Zgromadzenia (Mahasanghikami). Czego dotyczył spór? Źródła podają kilka sprzecznych relacji. Jedną z przyczyn schizmy miała być polemika "doktrynalna", dotycząca porównania statusu Buddy ze statusem Arahanta (mnich Mahadeva wysunął pięć tez o podrzędności Arahantów w stosunku do Buddy). Kolejną jest teza o próbie zmodyfikowania reguły zakonnej przez Sarvastivadinów, poprzez wprowadzenie nowych przepisów. Pojawiło się także pytanie, powstałe kiedy buddyzm wyszedł poza swą kolebkę: czy należy trzymać się tradycji, czy dokonywać w niej zmian pozwalając jej samoczynnie asymilować się z innymi wierzeniami i praktykami. Jakkolwiek by nie było, wszystkie te czynniki razem czy osobno, wpłynęły na tworzenie się nowych szkół. W poniższym diagramie przedstawiony jest przebieg rozwoju szkół.

Śledząc rozwój (lub rozpad) szkoły Sarvastivadinów dochodzimy do szkoły Theravada (ok.350 lat po Parinibbanie Buddy).

Palijskie słowo "theravada" zestawione jest z dwóch członów: "thera" i "vada". "Thera" oznacza "starszego" a szczególnie "starszego buddyjskiego mnicha"; tutaj oznaczające słowo "starszych", pochodzące od archaicznej formy "theranam". Drugi człon "vada" pochodzi od słowa "vad" - "mówić", "mowa", "słowo", "nauka". Całe, więc słowo "theravada" można przetłumaczyć jako "Naukę Starszych", sporadycznie tłumaczy się je jako "Droga Starszych", "Sposób Starszych" czy "Szkoła Mądrości Starszych". Słowo "theravada" po raz pierwszy zostało wymienione jako nazwa szkoły buddyjskiej w Dipavamsie, jednej z najwcześniejszych kronik Sri Lanki, datowanej na czwarty wiek po Chrystusie. Następnie pojawia się w Mahavamsie, późniejszej, ale lepiej znanej i uważanej za najważniejszą kronikę piątego stulecia.

Theravada jako szkoła najprężniej rozwijała się w ok. trzecim stuleciu, za panowania króla

Aśoki, w czasie kiedy zawiązano Trzeci Sobór. Trzeci Sobór odbył się w trzecim stuleciu przed Chrystusem (wg. Kroniki Moggaliputta, w około 250 roku p.n.e., król Aśoka z dynastii Maurjów przewodniczył soborowi. Sobór został zwołany przez króla Aśokę za namowami czcigodnego Tissy Moggaliputty. Miejszem zwołania się rady było cesarskie miasto Pataliputta. Sobór postawił sobie za cel oczyszczenie religii i przywrócenie pokoju w Zgromadzeniu (wielu heretyków wstępowało do Sanghi dla wygodnego życia, co powodowało częste zamieszanie i dochodziło do nieszczęśliwych incydentów). Czcigodny Tissa wygłosił swą pracę: Kathavathu - "Punkty Sporne". Jednym z postanowień soboru było wysyłanie misjonarzy do dziewięciu krajów, włączając Sri Lankę i Suvannabhumi. Syn Aśoki, Mahinda sprowadził grupę mnichów na Sri Lankę a w późniejszym czasie do Birmy, Sony i Uttary.

Uczeni są zdania, że theravada rozwijała się w kraju Magadhy na wschodzie i w mieście Ujjeni na zachodzie. W tamtejszych skałach zachowały się ryty naskalne i filary Aśoki. Z inskrypcji zachowanej w Bhabru wiemy, że szkoła theravady zajmowała specjalne miejsce w sercu Aśoki. Napis poleca by studiować pewne teksty buddyjskie zapisane w języku palijskim. Tylko theravada używała i używa do tej pory języka Pali jako pisma, by zapisywać swe święte kanony. Kolejny dowód przychylności Aśoki utrwalił się w Kathavathu, nie mówiąc już o Abhidhamma Pitace z której dowiadujemy się o posłaniu przez niego, swego syna Mahindy, będącego bhikkhu, na Sri Lankę by tam krzewić buddyzm theravady. Jakkolwiek w tych pismach nazwa theravada zastąpiona jest przez nazwę Vibhajjavada, ("Nauka Analizy" lub "Religia Rozumu") to oznaczają one jedną szkołę.

Po swym szczytowym okresie za czasów panowania Aśoki, znaczenie theravady zaczęło się zmniejszać w północnych Indiach. W roku 428 do władzy dochodzi potężna dynastia Guptów. Być może w tym wydarzeniu leży przyczyna smutnego punktu zwrotnego w historii "indyjskiej" theravady. Guptowie byli hindusami i faworyzowali sanskryt. Był to czas ożywienia literatury sanskryckiej i zabrakło miejsca dla theravady, buddyjskiej szkoły używającej wyłącznie języka Pali. Theravadinowie przenieśli się wtedy na południe Indii i osiedlili się na wschodnim wybrzeżu gdzie narodzili się tacy buddyjscy komentatorzy jak Dhammapala z Kancipury i Buddhadatta z Uragapury.

Jednak największą "twierdzą" theravady jeszcze na długo przed podróżą na południe była Mahavihara - "Wielki Klasztor", nieopodal Anuradhapury na Sri Lance. Tam działał słynny Buddhaghosa, największy z komentatorów tradycji theravada. Miejsce to było ostoją świętego języka Pali i miejscem pracy wielu doskonałych pisarzy Pali. Istnienie tam jakichś antagonistycznych sekt nie jest znane, ale Mahavihara była dość potężna by zwyciężać nad przeciwnikami. W razie niebezpieczeństwa i niepomyślności Sri Lanka miał dobrych przyjaciół w swych buddyjskich braciach z Birmy i Tajlandii, którzy zawsze służyli im pomocą. Dzisiaj Sri Lanka wyróżnia się jako kraj mnichów - misjonarzy, którzy nie tylko mają za sobą intensywną praktykę buddyjską ale także posiadają nowoczesne wykształcenie i tym skuteczniej mogą krzewić Dhammę, zwłaszcza na zachodzie. W dziale "Kraje theravady" znajdziecie informacje o rozwoju szkół theravady w poszczególnych krajach.

Obecny zasięg krajów theravady

Obecnie Sri Lanka, Birma i Tajlandia są trzema krajami theravady powiązane silnymi więzami religijnymi. Są to kraje gdzie tradycja nie uległa zmianie i pozostała w swej nienaruszonej formie. Jedną z teorii mówi, że kiedy Lankę rządili indyjscy Tamilowie (a Birma i Tajlandia były pod jej silnym wpływem), odcięli oni wyspę od buddyzmu indyjskiego i dlatego zachował się tam w "archaicznej" formie. Jednak we współczesnej nauce theravady odkryto wiele wątków zaczerpniętych z innych szkół buddyjskich. Jak pisze A. Verdun:

Laos i Kambodża utraciły dużo ze swego pierwotnego charakteru, ale wciąż tradycja theravady jest tam silna.

Obecnie istnieją tylko dwie szkoły buddyjskie: Theravada i Mahayana. Obie muszą być sobie bardziej przyjazne i zjednoczyć swe działania na rzecz wiecznego pokoju dla Świata. Najczęściej spotyka się opis różnic pomiędzy Theravadą i Mahayaną. Owszem istnieją różnice bardziej wynikające z kolorytu etnicznego w jakim rozwijała się dana szkoła, jednak "rdzeń" nauk

Buddhy pozostał ten sam. Poniżej zamieszczam artykuł Czcigodnego Walpoli Rahuli dotyczący nie różnic, ale właśnie podobieństw.

Międzynarodowa Rada Buddyjskiej Sanghi zwołana po raz pierwszy w 1966 roku na Sri Lance przez therawadinów miała na celu stworzyć "most" ponad różnicami i stworzyć podłoże do współpracy. Pierwszy konwent odbył się z udziałem mnichów z wielu krajów i sekt mahajany i a także therawadinów. Poniższe punkty napisane przez Czcigodnego Walpolę Rahulę zostały zatwierdzone jednogłośnie:

Podstawowe Punkty Jednoczące Theravadę i Mahayanę.

1. Buddha jest naszym jedynym Nauczycielem.
2. Przyjmujemy schronienie w Buddzie, Dhammie i Sandze.
3. Nie wierzymy, że Świat został stworzony i jest rządzony przez Boga.
4. Postępując za przykładem Buddhy, który jest uosobieniem Wielkiego Współczucia (mahakaruna) i Wielkiej Mądrości (mahapañña), pragniemy rozwijać współczucie dla wszystkiego co żyje i pracować dla ich dobra, szczęścia i pokoju; i rozwijać mądrość prowadzącą do Ostatecznej Prawdy.
5. Przyjmujemy Cztery Szlachetne Prawdy: o Dukkha, o Powstawaniu Dukkha, o Zniszczeniu Dukkha i Ścieżki Prowadzącej Do Zniszczenia Dukkha; i uniwersalne prawo przyczyny i skutku jak nauczano w paticcasamupada.
6. Rozumiemy, stosownie do nauk Buddhy, że wszystkie rzeczy (samskara) są nietrwałe (anicca) i dukkha i że wszystkie uwarunkowane i nie uwarunkowane rzeczy (dhamma) są bezosobowe (anatta).
7. Przyjmujemy trzydzieści siedem możliwości prowadzących do Oświecenia (bodhipaksa-dhamma) jako różne aspekty ścieżki nauczanej przez Buddhę, prowadzącej do Oświecenia.
8. Istnieją trzy drogi by osiągnąć Bodhi lub Przebudzenie, stosownie do zdolności i możliwości indywidualnych: jako uczeń (Savakabuddha, Arahant), Paccekabuddha i jako Sammasambuddha (Doskonale i W Pełni Przebudzony). Przyjmujemy jako najbardziej szlachetne, bohaterskie i godne naśladowania kroczenie droga Bodhisattvy lub stać się Sammasambuddhą by ratować innych.
9. Dopuszczamy by w różnych krajach buddyjskich istniały różnice w życiu mnichów, popularnych praktykach buddyjskich, obrządkach i ceremoniach oraz zwyczajach. Te zewnętrzne formy wiary nie powinny być mylone z istotą nauki Buddhy.

Krótko więc mówiąc:

Theravada używa krytycznych metod badawczych w opozycji do ślepej wiary. Dzięki tej metodzie badacz ma odkryć prawdę, po przyjęciu przekonywającej racji popartej własnym doświadczeniem, co poprowadzi na przedsięwzięcie ostatecznego celu. Celem therawadinów jest osiągnięcie stanu wyzwolenia od cierpienia zgodnie z Czterema Szlachetnymi Prawdami. Przechodzi się w ten stan osiagając Nibbanę (sansk. Nirvana) lub "Zdmuchnięcie", kończąc tym samym cykl narodzin, starzenia się i chorób oraz śmierci (pāli. samsara). Theravāda naucza, że obecnie najszybciej można go osiągnąć jako arahanta (pāli. dosł. "Godzien", "Zwycięzca Wrogów"). To stan w którym wszystkie przyszłe narodziny mają się ku końcowi, gdzie "święty żywot się spełnił, gdzie wszystko co było do uczynienia zostało uczynione, gdzie nie ma już powrotu do ziemskiego życia". W poglądzie theravady stan arahanta jest we wszystkim podobny do stanu buddy. Jednak Budda pozostaje wciąż postacią godną szacunku dla arahantów gdyż osiągnął Oświecenie samodzielnie i jest "Samo-w-pełni-Oświecony" a tym samym wskazał drogę innym. Wyznawcy tej tradycji wierzą, że dzięki zaangażowaniu i oddaniu się praktyce można osiągnąć stan arahanta w ciągu jednych narodzin — podobnie jak czynili to uczniowie Buddy w dawnych czasach.

Historia Buddyzmu w Laosie:

Właściwa historia Laosu zaczyna się w czternastym wieku nieobyčajnym zdarzeniem, jakim było uwiedzenie żony pewnego króla przez jego własnego syna i spadkobiercę Phi Fa. Za swój czyn Phi Fa został wygnany. On i jego syn Fa Ngum podróżowali na południe i tam w państwie Khmeru otrzymali godności na królewskim dworze w Angkor. Tam Fa Ngum podjął

studia pod kierunkiem theravadińskiego mnicha a zdobywszy sobie przychylność króla Khmeru poślubił jedną z jego córek. W około 1350 roku król Angkoru wyposażył Fa Ngum'a w armię, aby ten mógł odzyskać utracone dziedzictwo swego ojca.

Do tego momentu Angkor był w stanie upadku a polityczne centrum Tajlandii przesunęło się na południe z Sukkhothai do Ayutthaya. Słabość Angkoru i przesunięcie się centrum władzy w Tajlandii była świetną sposobnością dla Fa Ngum'a, by założyć własne niezależne królestwo, z powiązaniami z Angkorem, wzdłuż górnego Mekongu. Koronacja Fa Ngum w Luang Phrabang w 1353 roku oznaczyła początek historycznego powstania państwa Laosu. To także określiło najdalszy północny zasięg cywilizacji Khmeru, gdyż królestwo Fa Ngum'a wzorowało się na kulturze Angkoru. Chociaż społecznie Laos związał się z Tajami. Fa Ngum poprosił swego dawnego buddyjskiego nauczyciela z khmerskiego dworu by został jego doradcą i przywódcą duchowym narodu laotańskiego. Pod jego wpływem młode królestwo Laosu silnie związało się z buddyzmem theravady, co możemy zaobserwować aż do dzisiejszych czasów. Ten buddyjski nauczyciel przywiózł ze sobą z Angkoru obraz Buddyha znany jako "Phra Bang". Wizerunek ten wkrótce uzyskał wielką popularność i znaczenie, podobnie jak Relikwia Zęba Buddyha na Sri Lance stał się najcenniejszą relikwią królestwa.

W swych wczesnych początkach Laos wydawał się być zbyt słaby by zachować suwerenność wobec tylu potężnych sąsiadów. Można to było osiągnąć tylko dzięki serii przymierzy i ustępstw wobec Tajlandii, Birmy i w końcu Wietnamu. Ponieważ Khmerowie nie liczyli się w tym czasie pozostało kwestią bycie zdominowanym przez zindykowaną kulturalnie Birmę czy Tajlandię lub przez Wietnam, szczególnie nienawidzony z powodu łupieżczych najazdów w 1479 roku. Służalcze przymierze Birmą i Tajlandią był upokarzające i niepożądane dla Laosu, ale przyczynił się do wzmocnienia i rozwoju buddyzmu theravady, który stał się najważniejszym symbolem ciągłości i tożsamości narodowej w obliczu zmieniających się sytuacji politycznych.

Z powodu słabego rządu Laosu, buddyzm theravada stał się swoistym cementem trzymającym razem liczne grupy etniczne i geograficznie odizolowane wsie rozproszone po górskich terenach. Według laotańskiego modelu królestwa, król nie zasiadł na tronie z powodu boskich praw lecz raczej w wyniku dobrej kammy zgromadzonej w poprzednim życiu. Oczekiwano od niego by kontynuował gromadzenie kammy także i w tym życiu, wspierając Sanghę i promując Buddyzm. Król Visun (r. 1501-20) zapisał się w historii dzięki budowie Luang Phrabang'u pierwszej stolicy Laosu. Visun urzeczywistnił ambitny buddyjski program budowy rozpoczęty przez jego dwóch starszych braci, by naprawić szkody wyrządzone przez wietnamski najazd wiek wcześniej. Do budowy używali drewna, więc tylko śladów prac architektonicznych można odnaleźć dzisiaj. Jednym z nich jest Luang Phrabang, miejsce najatrakcyjniejszych pomników buddyjskich i ruin z tego okresu w całej południowo-wschodniej Azji.

Wnuk Visun'a, Setthathirat (r. 1548-71) wstąpił na tron w 1548 roku. Wkrótce birmański ekspansjonizm zmusił Setthathirat'a, by zawrzeć przymierze z Tajami w 1560 roku. Decyzja ta spowodowała w swych następstwach przeniesienie stolicy z Luang Phrabang do Vien Chan, miejsca położonego bliżej tajskiej w Ayutthaya. Sprzyjało to rozwojowi handlu nadzorowanego przez Thaiów. Setthathirat zrobił dla Vien Chan to samo co jego dziad Visun dla Luang Phrabang, przeprowadzając szeroko zakrojony buddyjski program przebudowy miasta.

W łagodnej polityce komunizmu w Laosie możemy odnaleźć wpływ wielkiego znaczenia Buddyzmu w tym kraju. Nawet podczas rewolucji jednym z głównych haseł propagandowych Pathet Lao (rząd Laosu w latach 1945 - 54) było głoszenie zgodności Buddyzmu i komunizmu by zyskać poparcie Sanghy mniszey dla rewolucji. Wielu mnichów pracowało przeciwko komunistom, lecz także wielu popierało komunizm. Kiedy komuniści ostatecznie doszli do władzy zabronili ofiarowywania mnichom jałmużny by uzależnić ich od państwowych dostaw ryżu. Przydział ten miał być jedynie uzupełnieniem pożywienia wyprodukowanego przez samych mnichów. Od tego momentu mnisi zostali zmuszeni by wykonywać "produktywne role" w społeczeństwie. W pierwszym rządzie swe tradycyjne role jako nauczyciele i uzdrowiciele.

Wszystko, czego uczyli lub medycyna, jaką praktykowali było kontrolowane przez Ministerstwo Do Spraw Religii, podporządkowane Ministerstwu Edukacji. Ministerstwo ds. Religii

stworzyło program tak zaprojektowany by usunąć "kontrrewolucyjne" i "ekspansywne" treści z nauk tradycyjnego Buddyzmu laotańskiego. Program ten zakładał także, by mnisi nauczali komunistycznej literatury i komunistycznej wersji historii Laosu. Mnisi tradycyjnie byli sprowadzani do chorego by przynieść mu ulgę w chorobie, lecz dla komunistycznego rządu, mnisi rozdawali błogosławieństwa oraz amulety. Nakazano im by stosowali tradycyjną, ziołową medycynę a tam gdzie to możliwe zachodnią.

Co to jest Tipitaka?

Tipitaka (pali) lub Tripitaka (sanskryt) jest buddyjską świętą księgą kanoniczną (kanon Palijski), zarówno dla theravady jak i mahajany. Różnice między kanonami poszczególnych szkół, leżą w języku w którym je zredagowano: pali, chiński lub tybetański oraz w zawartości większości ksiąg. Obecnie nikt nie podjął się systematycznego porównania treści kanonów, tak więc nie wiadomo ile tekstów jest wspólnych. Samo słowo jest używane do określenia literatury, której autorstwo bezpośrednio lub pośrednio jest przypisywane Buddhadzie.

Powstanie Tipitaki

Buddha nie zostawił po sobie żadnych zapisków, wszystkie nauki były wygłaszane ustnie i nikt ich wtedy nie spisywał. Aż do momentu Jego śmierci. Kanon Palijski zaczął formować się już po kilku dniach po Parinibbanie Buddy. Jego uczniowie pomni słów - "Nauka i Dyscyplina będą Waszymi przewodnikami", podjęli próbę usystematyzowania nauk Buddy. Na pierwszym soborze w Rajagrisze (Rajagaha), zebrali się mnisi, którzy osiągnęli stan arahanta, by w skupieniu wygłosić całą Naukę. Czcigodny Mahakasyapa, za zgodą rady mnichów, zadawał pytania dotyczące Dyscypliny, na które odpowiadał czcigodny Upali, jego odpowiedzi utworzyły Vinaja Pitakę (Kosz Dyscypliny Zakonnej). W podobny sposób odpowiadał przed radą czcigodny Ananda, tworząc Sutta Pitakę (Kosz Kazań). Tak zaczął się powoli rysować, przyszły kształt Tipitaki. W tym momencie jeszcze nie wspomina się o trzecim "koszu" a zaledwie o dwóch, gdyż wtedy trzeci "kosz" Abhidhamma Pitaka połączony był z drugim. Przez lata przekazywano sobie treść Kanonu ustnie. Osatatecznie (wg. kronik pochodzących ze Sri Lanki) Kanon uformował się i spisano go na trzecim soborze w Pataliputrze, za panowania cesarza Aśoki. Wtedy to spisano go na liściach palmowych i podzielono na trzy kosze (dosłownie). Ponownie Kanon Palijski, święte teksty tradycji theravada, został spisany na Sri Lance za panowania króla Wattagamaniego. Spisano go w obawie przed utratą cennych nauk w wyniku głodu i wojny domowej na Sri Lance.

Wizerunki Buddy

Obecnie, trudno jest sobie wyobrazić buddyzm bez wizerunków Buddy. Jednak tradycja ich tworzenia rozpoczęła się dopiero około 500 lat po Parinibbanie Buddy. Od tego czasu wizerunki Buddy stały się obiektem czci na następne 2000 lat. Działa sztuki stały się inspiracją, zogniskowały wdzięczność i cześć wyznawców dla Buddy i Jego Nauki (Dhammy).

Rola wizerunków Buddy:

- są symbolami Doskonałej Mądrości i Współczucia Buddy.
- przywołują wielkość Buddy i Jego Nauki, mają inspirować do rozwijania w sobie cnót
- symbolizują uniwersalność Nauki - każdy może osiągnąć Przebudzenie
- pomagają w przekazywaniu nauk, zwłaszcza w społeczeństwach o wysokim stopniu analfabetyzmu
- tworzenie sztuki religijnej wiąże się z otrzymywaniem zasług, gdyż pomaga ona w upowszechnianiu buddyzmu
- harmonia wizerunków ma sprowadzać spokój i wyciszenie

Początki powstawania wizerunków Buddy

Buddha nigdy nie pragnął czci. Pragnienie tworzenia wizerunków mogło istnieć już na początku buddyzmu, jednak Buddha uważał je za niepotrzebne. Mówił: "kto widzi Dhammę, widzi mnie, kto widzi mnie, widzi Dhammę" - Nauka miała wystarczyć.

- Jednym z pierwszych symboli była stupa, jako, że wiązała się bezpośrednio z Buddhą. W stupie złożono doczesne szczątki Sakyamuniego. Stupa sama w sobie posiadała bardzo

bogatą symbolikę. Pierwotnie było osiem stup ze szczątkami Buddy, jednak król Aśoka podzielił szczątki jeszcze raz i wybudował ich setki. Być może w owym czasie wizerunek stupy upowszechnił się w płaskorzeźbie.

- Koło to Koło Dhammy, również musiało być wczesnym symbolem. Oznaczało naukę oraz moment jej pierwszego ogłoszenia (patrz: Symbole > Koło Dhammy)
- Pusty tron symbolizował Buddhę, określał Tathagatę i Przebudzenie władcą duchowego świata. Tron tradycyjnie zwany jest Vajrasana (Lwi Tron) na którym siedział pod Drzewem Bodhi. Mogły to być zwykłe kawałki kamienia przykryte płótnem lub niezwykle bogato zdobione. W późniejszym okresie Buddhę obrazowano na tronie z kwiatu lotosu.
- Kwiat lotosu symbolizował czystość Przebudzenia oraz drogę od ciemności (dno stawu - błoto) do światła (Przebudzenie) (patrz: Symbole > Lotos).
- Drzewo Bodhi wiązało się bezpośrednio z Przebudzeniem. Symbolizowało wysiłek i ostateczne zwycięstwo (patrz: Symbole > Drzewo Bodhi).
- Parasol jako symbol królewski również oznaczał Buddhę, nie tylko ze względu na pochodzenie Tathagaty, ale również ze względu na Jego władzę nad światem duchowym.
- Ślady stóp Buddy symbolizowały Tathagatę oraz ścieżkę do Przebudzenia (patrz: Symbole > Stopy Buddy).
- Stojąca kobieta symbolizowała narodziny Buddy.
- Ognisty filar lub krąg.

Wizerunek Buddy ma emanować spokojem, harmonia Jego fizycznych proporcji ma wyrażać wielkie piękno. Wymiary określone zostały w kanonie buddyjskiej sztuki, wypracowanym na przestrzeni wieków, które odpowiadają idealnym fizycznym proporcjom. Podstawową jednostką ich miary jest piędź - odległość od końca kciuka do końca palca środkowego, rozpostartej dłoni. Odległość ta odpowiada odległości pomiędzy dołkiem brody a linią włosów.

Tradycyjnie Buddhę przedstawia się w czterech pozach: stojącego, idącego, siedzącego i leżącego. Niezależnie jednak od postawy, pojawiają się następujące, wcześniej wspomniane, cechy symboliczne.

- Włosy - wczesne wizerunki posiadają bardzo naturalistyczny wygląd włosów, jednak z czasem uległy one przeobrażeniu w liczne, prawoskrętne kosmyki, zwinięte "niczym muszla ślimaka". Strona prawa uważana była za dobrowróbną. Obecnie nie ma przekonujących wyjaśnień dla tego symbolu. Legendy podają, że kiedy Sidhattha obciął swe włosy nad rzeką Anoma, kosmyki włosów skręciły się i nie trzeba było ich więcej ścinać.
- Ushinisha - Wzniesienie Przebudzenia ponad ciemnością. Czasami uznaje się je za zgrubienie kostne symbolizujące mądrość. Jednak prawdopodobnie związane jest ze ówczesnym sposobem uczesania. Mężczyźni w owym czasie wiązali włosy w kok, zwijali je by założyć turban lub, jak w przypadku Buddy i ascetów, węzeł na szczycie głowy. Identyfikuje ją się z 32 cechą Wielkiej Istoty. Czasami wzniesienie może przybrać formę płomienia wydostający się z Sahashrara Chakry - to symbol Przebudzenia.
- Uzna - kosmyk włosów, między brwiami. To 31 cecha Wielkiej Istoty. Posągi mają w tym miejscu kropkę, spiralę lub klejnot. Prawdopodobnie oznacza szósty punkt energetyczny: Ajna Chakrę. Może również oznaczać "trzecie oko" - "Oko Buddy", dzięki któremu Przebudzony może poznawać przeszłość.
- Wydłużone małżowiny - mogły symbolizować szlachetne, królewskie pochodzenie. Jako książę nosił ciężkie, złote kolczyki, które rozciągnęły małżowiny uszne. Duże uszy mogły być oznaką współczucia, wyczulenie na "głos" świata.
- Aureola - pojawiła się w ikonografii buddyjskiej stosunkowo niedawno. Przedstawiana jest jako okrągły dysk lub nimb, wokół głowy. Z czasem stał się coraz bardziej zdobny. Może symbolizować prawdę, mądrość, i czystość serca. Posiada pełną symbolikę światła, rozpraszającego ciemności. To energia promieniująca z Sahashrara Chakry (zobacz: Symbole > Flaga buddyjska).
- Szaty - jedno-, dwu- lub trzyczęściowe mnisie szaty.

- Gesty dłoni - mudry,

Postać Buddyja często jest umiejscowiona na tronie z lotosu. Lotus może składać się z ośmiu płatków, symbolizując w ten sposób Szlachetną Ośmiostopniową Ścieżkę. Kwiat lotosu są kojarzone z czystością i duchową doskonałością, są bardzo często używane w buddyjskiej sztuce (zobacz dział "Święty Lotos"). Jelenie (gazele) które czasami można znaleźć po bokach podstawy lotosowego tronu symbolizują Pierwsze Kazanie o Czterech Szlachetnych Prawdach w Parku Gazeli.

Ofiary

Jaki jest cel składania ofiar Buddhadzie?

- Ofiary składa się nie dla tego, że Buddha potrzebuje ich - Buddha jest ostatecznie Oświeconą Istotą, nie potrzebuje kadzidełek by być szczęśliwym!
- Ani nie po to by uzyskać względy Buddyja. Buddha okazał uniwersalne współczucie dawno temu i nie poruszy Go pochlebstwo czy przekupstwo.
- Ofiary składa się by stworzyć pozytywną energię i okazać dobrą cechę charakteru jaką jest dawanie (pali. dana), nie oczekiwawszy szacunku czy wdzięczności. Jest to podstawowa praktyka w buddyzmie.
- Ofiary przypominają o niektórych kazaniach/Naukach Buddyja.

Temat religii jeszcze się nie wyczerpał i wróć do tego przy zwiedzaniu buddyjskich świątyń.

Po pewnym czasie mijamy rozwidlenie Mekongu. Tu wpada chyba jakiś większy dopływ, po czym po chwili w skalnej ścianie ukazuje się Pak Ou – czyli świątynia znana z kilku tysięcy posągów Buddy. Domyślam się, że zostało przed nami jakieś półtorej godziny płynięcia. Do Luang Prabang przybijamy po 8 godzinach. Dochodzi już 17:00. W strugach deszczu (trzeba będzie kupić parasolki!!!) idziemy na poszukiwania noclegu. Mamy mały guest house polecony przez Monikę. Teraz tylko trzeba go odnaleźć. Pierwszy rzut oka na miasteczko i nie da się nie zauważyć, że jest to miejsce bardzo turystyczne. Restauracja za restauracją, agencja turystyczna za agencją. W deszczu sennie snują się turyści.

Po odnalezieniu naszego noclegu mamy chwilę na odsapnięcie i idziemy zobaczyć miasto. W centrum tuż pod wzgórzem Phu Si rozkłada się pod namiotami wieczorny kolorowy market, który jest czynny do 23:00. Większość miejsc jednak świeci pustkami. Nie jest to ten sezon kiedy do Indochin tłumy turystów walą drzwiami i oknami. W jednej z agencji kupujemy sobie wycieczkę do świątyni Pak Ou oraz na kolejny dzień do wodospadu Kuang Si.

Siadamy w jednej z restauracyjek gdzie jest Internet, aby zjeść wołowinę z warzywami na słodko-kwaśno i delektować się tutejszym piwem oraz podłączamy się do Internetu, aby dać znać, że żyjemy. Potem jeszcze mały spacer po markecie, aby rozejrzeć się co ciekawego jest i warto zakupić.

Mało miejsc na świecie jest tak przesiąkniętych religijną atmosferą jak laotański Luang Prabang. Na każdym kroku można tu spotkać leciwe buddyjskie świątynie, a liczba mnichów w przeliczeniu na jednego mieszkańca jest bodajże największa na świecie.

Buddyjskie świątynie Luang Prabang należą do jednych z najstarszych w Laosie. Położone w niedostępnej dżungli miasto przez wieki było praktycznie odcięte od świata. Przed skolonizowaniem Laosu przez Francuzów podróż z odległej o niecałe 400 kilometrów stolicy trwała blisko tydzień. Do wyboru było albo przedzieranie się łądem przez gęsty las tropikalny, albo wyprawa łodzią w górę wzburzonego i gwałtownego Mekongu - głównej rzeki Azji Południowo-Wschodniej. Obecnie - choć od tego czasu upłynęło sporo wody w Mekongu - podróż drogą lądową zajmuje prawie cały dzień.

Obszar, na którym znajduje się dzisiejsze miasto i prowincja Luang Prabang bardzo wcześniej został zasiedlony przez ludzi. W początkowych wiekach naszej ery przenikały tu wpływy sąsiadujących ze sobą ludów - Tajów, Khmerów, Birmańczyków oraz rdzennej ludności z grupy laotańskiej. Przez setki lat poszczególne plemiona toczyły ze sobą wojny, zawierając czasami strategiczne sojusze, żadnemu jednak z nich nie udało się osiągnąć zdecydowanej przewagi militarnej i ekonomicznej, która pozwoliłaby na zdominowanie sąsiadów.

Sytuację zmieniał dopiero władca Khoun La, który w 757 roku zjednoczył kilkanaście

plemion Laotońskich z okręgu Xieng Dong - Xieng Thong (dzisiejszy rejon Luang Prabang) w jeden, duży organizm państwowy, który przez kolejnych kilka wieków skutecznie balansował pomiędzy sąsiednim Angkorem, a państwami Tajskimi.

W połowie XIV wieku książę Pha Ngum - władca pobliskiego państwa Muong Xoa (obszar dzisiejszego Vientiane), wykorzystując konflikt pomiędzy królestwem Khmerów i państwem Ajuttaja, ruszył na czele 10-tysięcznej armii w kierunku Xieng Dong - Xieng Thong. Po krótkiej, acz bardzo krwawej wojnie udaje mu się podbić całą prowincję i w 1354 roku ogłosił się władcą królestwa Lan Xang (Milion Słoni) - oficjalnie uważanego za pierwsze Laotańskie państwo. W ciągu kilku kolejnych wieków królestwo bardzo prężnie się rozwija, jednak w 1707 roku, na skutek walk dynastycznych, podzielone zostaje na dwa państwa - Luang Prabang na północy i Vientian na południu. Oba kraje w niedługim okresie czasu popadają w polityczne uzależnienie najpierw od Syjamu, później od Wietnamu, by w końcu dostać się pod protektorat Francji, która w drugiej połowie XIX wieku przejmuje kontrolę nad większością Półwyspu Indochińskiego.

Kłęska Francuzów pod Dien Bien Phu w Wietnamie i ich wycofaniu się z Indochin powoduje nasilenie ruchów narodowowyzwoleńczych. Na drodze do pokoju staje jednak konflikt Wietnamski, który pogrąża też sąsiedni Laos i Kambodżę w długotrwałą, krwawą wojnę, zakończoną dopiero w połowie lat 70-tych ub. wieku. W Laosie dochodzi wtedy do władzy radykalna partyzantka Pathet Lao, która detronizuje rezydującego w Luang Prabang króla, pełniącego w czasach Francuzów marionetkową rolę.

Luang Prabang przez setki lat było głównym ośrodkiem skupiającym Laotańczyków. Tu mieścił się królewski tron, tu też znajdowała się najcenniejsza relikwia wyznawców buddyjskiej Therravady (religia dominująca w Laosie) - złoty wizerunek Buddy, który prawdopodobnie około I wieku wykonany został na Sri Lance. I właśnie z nim związana jest nazwa miasta. Phrabnah lub Pha Bang - to złoty wizerunek Buddy, natomiast Luang można przetłumaczyć jako wielkie miasto lub królewskie miasto. W wolnym tłumaczeniu więc nazwa znaczy Stolica Złotego Buddy.

Spośród 66 świątyń wybudowanych tu przed przybyciem Francuzów do dzisiejszych czasów przetrwała blisko połowa. Zdecydowana większość zabytków znajduje się w ścisłym centrum Luang Prabang, tuż nad brzegami Mekongu. Tu m.in. mieszczą się najsłynniejsze świątynie, jak XVI-wieczny Wat Xieng Thong czy Wat Mai, który swojego czasu pełnił siedzibę buddyjskich hierarchów Laosu. W pobliżu znajduje się też Pałac Królewski. Po detronizacji króla urządzono tu doskonałe muzeum, ale niestety tylko część ekspozycji udostępniona jest zwiedzającym.

05.07.2009 (niedziela)

Budzę się rano, a za oknem deszcz pada niemiłosiernie. Dudni o blaszany dach wiaty za oknem. Właściwie leje od wczoraj. Witaj poro deszczowa.

Wstajemy koło 7 rano i idziemy do jednej z restauracyjek na śniadanie, które składa się z crepe czyli francuskiego naleśnika na słodko, do tego podano nam mocną tutejszą kawę.

Po śniadaniu idziemy kupić parasoli, bo bez tego sprzętu długo nie pociągniemy. Po zakupie parasolek, których wybór jest tu bardzo duży i pochodną głównie z Chin (ciekawe jak długo będą sprawnie działać), idziemy pod agencję w której kupiliśmy wycieczkę do jaskini Pau Ou przy Mekongu. Wczoraj w drodze do Luang Pranag płynęliśmy obok niej. Tuk tuk wiezie nas na przystań – odległą tylko 3 minuty piechotą od naszego guest housu. Równie dobrze gdybyśmy wiedzieli to przeszlibyśmy się tam piechotką. Druga sprawa to, że zapłaciliśmy w agencji za wyjazd 65 tys. kipów, a okazuje się, że gdybyśmy podeszli na przystań sami to kupilibyśmy bilety za 50 tys. kipów. Ale to w sumie drobny szczegół. No cóż człowiek uczy się na własnych błędach.

Zaopatrzeni w parasolki i cienkie pelerynki wsiadamy z innymi pięcioma osobami do czegoś co nazwałam popierdółką. Kapoków brak, ścian brak, nie ma nawet plandeki, która zabezpieczałaby nas od zacinającego deszczu. Łódka na dodatek wąska siedzimy w kucki na małych krzeselkach po dwie osoby i to cała szerokość łodzi. Motorniczy zakłada na siebie worek, wycinając w nim dziurę

na głowę i odpływamy. Jakoś cienko to wszystko widzę. Po drodze zatrzymujemy się przy stacji benzynowej na rzece. Nasza łódka tankuje.

Pogoda dzisiaj to jakaś masakra, leje i wiszą strasznie ciężkie chmurzyska. Nawet rzeka dzisiaj jest bardziej ponura niż wczoraj, bo niesie ogromne ilości powyrywanych kłód drewna. Długą wąską łodzią płyniemy po Mekongu. Wzdłuż rzeki ulokowały się wioski z domami na palach. W porze deszczowej poziom rzeki podnosi się o 10-12 metrów, zrozumiała jest więc konstrukcja budowlana. Po godzinie płynięcia i kluczenia między tym śmietniskiem gałęzi i bali docieramy do Ban Xanghai, czyli wioski zwanej potocznie whisky village. Od razu można się domyśleć, co to za miejsce. Tutaj po prostu pędzi się różnego rodzaju biber z ryżu zwany lao – lao. Najpierw w strugach deszczu próbujemy owych specjałów i zakupujemy buteleczkę bliżej nieokreślonego alkoholu owocowego. Nie jesteśmy też w stanie oprzeć się żądzy posiadania skorpiona w buteleczce zatopionego w alkoholu. Mam już kobrę z Wietnamu, toteż nadaje się do mojej kolekcji. Wiem, że tego nie wolno przewozić, ale co tam... Jeszcze przez kwadrans snujemy się błotnistymi uliczkami wioski, patrząc na sennie wyglądające stoiska z pamiątkami. Ponadto za chciało nam się dzisiaj wyjść w klapkach – japonkach, które nie sprawdzają się na błotnistym podłożu, co chwilę przyklejając się do błota. W momencie odrywania stopy od podłoża, klapki chłapią na nas błotem. Wyglądamy jak dwa rachityki idąc w tych klapkach. Wolę już chyba moczyć sandały niż męczyć się w japonkach

Wsiadamy znowu do łódki. Płyniemy jeszcze pół godziny i koło południa docieramy do jaskini Pak Ou. Jaskinie Pak Ou, w ścianach klifu gór zbudowanych z piaskowca, leżą przy połączeniu rzeki Ou i Mekong, około 25 kilometrów od Luang Prabang. Jaskinia ma dwa poziomy (właściwie to są dwie oddzielne jaskinie) - Tham Ting i Tham Phoum. Wejście do niżej położonej jaskini jest widoczne już z rzeki. Wyższy poziom można osiągnąć dzięki stromym kamiennym schodom.

Jaskinie stanowiły dawniej składnicę zniszczonych, świątynnych wizerunków Buddy (każdy z wizerunków Buddy jest święty i nie wolno ich niszczyć). Jaskinie te także wykorzystywali mnisi jako mieszkania. Obecnie obie jaskinie zawierają około 4,000 posągów Buddy, większość z nich została ofiarowana przez pielgrzymów. Mieszkańcy Luang Prabang wierzą, że jaskinię zamieszkuje wiele dobrych duchów.

Tradycyjnie, laotańscy monarchowie, odwiedzali jaskinie raz do roku w Pimai - laotański nowy rok - i zostawiali tam posąg Buddy. Wierni i pielgrzymi mogli także pozostawiać tam ofiarowane wizerunki. Praktyka ta trwa do dzisiaj. Podczas Pimai, mieszkańcy Luang Prabang i pielgrzymi wybierają się do jaskiń, by dokonać ofiary oraz by obmyć stopy posągowi Buddy.

Jest coś niesamowitego w jaskiniach Pak Ou. Delikatna kombinacja wieku, niedostępności i prostoty, której udziela wnętrze świątynia-ziemia. Wnętrze tej świątyni wypełniają całkowicie wizerunki Buddy - przeróżne: wykonane z żywicy, steatyty, piaskowca, odlane w metalu, jednak najczęstsze są wyrzeźbione w drewnie i powleczone lakierem lub płatkami złota.

Wszystkie z nich stoją (lub leżą w zależności od ich stanu) w nieładzie na spągu jaskini lub na półkach skalnych albo po prostu na stosach w małych alkowach. Niektóre noszą szaty wykonane szkarłatem. Niektóre z nich wyglądają tak jakby miały się rozsypać od jednego dotyku. Wszystkie z nich odznaczają się smukłą elegancją Buddy z Luang Prabang ze swym ciemnym połyskiem starożytności.

Po godzinie oglądania wracamy na łódkę. Teraz trzeba tylko wrócić do Luang Prabang i jakoś wytrzymać godzinę na Mekongu w małej łódce podczas pogody pod psem. Nadzieja napawa to, że teraz płyniemy z prądem rzeki więc powinno być szybciej. Deszcz na dodatek się wzmacnia więc dobrze byłoby być już na miejscu. Jednak nam zawsze coś musi pokrzyżować plany. Psuje się silnik i chwilę trwa gmeranie w nim, ale na szczęście ruszamy dalej. Byleby szybciej na miejscu. Teraz marzniemy i wszyscy na łódce zamilkli. Wiatr wieje nam w twarz. Brrr wilgoć jest wstrętna.

O 13:30 docieramy do Luang Prabang. W pokoju naszego guest housu ściągamy całe mokre ubranie, które rozwieszamy gdzie się tylko da, przebieramy się w suche i ciepłe rzeczy, poczym wychodząc zostawiamy włączony wiatrak pod sufitem, żeby szybciej wysuszył nasze rzeczy. Czas coś zjeść, bo normalnie kiszki grają już marsza. Zamawiamy zupę z noodlami, mięsem i

warzywami – 1 litr!!! Do tego kupujemy bagietkę i na końcu zjadamy ananasa, który jest już obrany i pokrojony. Cały kosztuje złotówkę z groszami. Jest WYBORNY. W życiu nie jadłam takiego ananasa. Jest tak soczysty, że po wyjęciu go z siateczki, na dnie znajduje się sporo soku. Tak przygotować ten owoc domowym sposobem, przez trzymanie go w lodówce 3-4 tygodnie jest niemożliwe. A po pobycie w Indonezji myślałam, że moje ananasy są idealne. Niestety już nie będą. Zawsze będę mogła tylko dojść do stanu indonezyjskiego... tutaj nawet drewniany środek ananasa jest miękki!!!

Na markecie przy jednej z głównych ulic miasta można kupić jedzenie dla miejscowych. Mimo padającego deszczu ruch spory. Przy straganach z mięsem można otrzymać głowę świni, pieczone małe ptaszki (małe niczym wróble), no i całe miski wypełnione bliżej nieokreślonymi podrobami. Są też mini dania na czele z wędzonymi na ruszcie rybami, a także kielbasa, prawdę mówiąc nigdy w Azji jeszcze nie widziałam kielbasy. Ciekawe z czego jest zrobiona. Dokoła można również znaleźć stoiska z różnego rodzaju zupkami, sałatkami i owocami. Rankiem ożywa targ spożywczy. Bajecznie kolorowe owoce i warzywa przyprawiają o zawrót głowy. Zapachy upieczonych na ruszcie ryb i kurczaków rozłożonych na bananowych liściach rozchodzą się wszędzie. W wielkich misach sprzedawcy oferują ryż i różne rodzaje makaronów, dalej surowe ryby i mięso.

Kiedy tak spacerujemy wieczorem ulicami trafiamy na stoisko, gdzie z owoców robi się owocowo-mleczne shaki. W Laosie trudniej kupić świeży sok, bo jest on dość drogi. Tanio było rok temu w Indonezji. Tutaj od świeżych soków bardziej preferowane są napoje składające się ze zmielonego owocu, odrobiny mleka oraz rozkruszonego lodu. Ważne są proporcje, aby jednak owoc przeważał. Próbuje dragon fruita czyli smoczego owocu, który znałam do tej pory w wersji z białym mięszem, tutaj jest... fioletowy! Nie wiem czym te dwie odmiany się różnią z zewnątrz, bo kolor skórki ten są, kształt ten sam, wielkość ta sama, tylko środek innego koloru. Ciekawe jak je miejscowi rozróżniają. Kobieta prowadząca stoisko przyrządza nam napój ze smoczego owocu. Rety jeszcze tak fioletowego czegoś nie piłam. A sam smak? Delicje. Chyba zostanie to w tym roku mój ulubiony napój.

W tym samym czasie na ulicy Luang Prabang rozkłada się w najlepsze nocny market. Mimo ciągle padającego deszczu, chroniąc się pod namiotami układają towary na sprzedaż. Pod zadaszeniami towar układany jest na paletach, które przykrywane są matami. Dobry sposób aby cieknąca ulicami woda nie podmywała stoiska. Ruch na tej głównej ulicy miasta zamiera, kiedy ożywa nocny market. Główna ulica wieczorem przemienia się w ogromne targowisko. Można tu kupić tkane ręcznie gobeliny, jedwabne szale, płóciennne szaty, torby, drewniane instrumenty, biżuterię... Dzisiaj jeszcze oglądamy, ale jutro przyjdzie pora zakupić pierwsze pamiątki.

Z małych knajpek roztacza się wabiący zapach laotańskich przysmaków – gęstej potrawy z warzyw z dodatkiem chilli i suszonej bawolej skóry, zupy o gorzko słodkim smaku z kurczakiem, ryb z miejscowych rzek z suszonymi wodorostami i mnóstwem aromatycznych przypraw. Grzechem byłoby nie napić się słynnego na całym świecie lao beer.

Zasypiamy słuchając monotonnego dudnienia kropel deszczu o metalowy daszek za oknem...

06.07.2009 (poniedziałek)

Pobudka o 5:10. Za oknem bez zmian. Dalej leje. I tak bez przerwy od ponad 48 godzin. Pora deszczowa jednak postanowiła pokazać nam co to znaczy monsun.

Wstajemy tak wcześnie aby zobaczyć rytualny przemarsz buddyjskich mnichów przez miasto w celu zebrania wszelkiego rodzaju datków. Codziennie rano o wschodzie słońca dziesiątki, jak nie setki mnichów, których w rejonie Luang Prabang jest bez liku wychodzą, aby w orszaku zbierać jałmużnę np. w postaci jedzenia. Robią to również w porze deszczowej mimo padającego tak jak dzisiaj deszczu.

Kiedy wychodzimy guest housu, tutejsi mieszkańcy rozkładają maty na chodnikach i ustawiają się z koszykami jedzenia wzdłuż drogi. W tym samym czasie do miasta ściągają rzesze

turystów aby zobaczyć ten codzienny rytuał. Wszędzie dookoła rozwieszone są ogłoszenia jak zachować się podczas tego laotańskiego zwyczaju. Jednak turyści wiele sobie z tego nie robią. Jedną z podstawowych zasad jest to, aby nie biegać z aparatem przed mnichem. Mnie jest kimś ważnym, więc każdy inny człowiek powinien być niżej mnicha. Miejscowi stosują się do tego w 100%. Kiedy mnisi idą obok nich klęczą lub kucają. Ogłoszenia informują również, aby nie kupować ryżu niewiadomego pochodzenia w celu złożenia jałmużny mnichom. Setki ludzi oczekują z darami na przemarsz mnichów chowając się pod parasolkami. Autokarami przyjeżdżają całe pielgrzymki Azjatów, głównie z sąsiedniej Tajlandii.

W końcu koło 5:30 mnisi się pojawiają. Cała ceremonia wygląda tak, że bardzo wcześnie rano, wszyscy mnisi z miejscowego klasztoru i świątyń, idą w szeregu (czasem bardzo długim), jeden za drugim w szatach o różnym odcieniu pomarańcza, w odpowiedniej kolejności, w milczeniu, i ustaloną trasą obchodzą dużą część miasta i okolicznych wiosek. Wierni już na nich czekają w różnych miejscach na trasie przemarszu, z przygotowanymi darami i jedzeniem, na przykład ugotowanym ryżem. Każdy mnich z parasolką, ale na boso trzyma mnisia miskę i gdy przechodzi obok wiernego, zostaje obdarowany małą porcją jedzenia, tak, aby każdy mnich otrzymał choć mały datek.

Mnisi noszą szaty barwy szafranowej. Najjaśniejszy kolor pomarańczowy mają mnisi o najkrótszym stażu, najwyżsi kapłani z kolei mają szaty w barwie brązowo-czerwonej. Mogą posiadać tylko kilka rzeczy: miskę żebraczą, szaty i drobną siateczkę służącą do filtrowania wody by nie spożywać małych wodnych istotek.

A oto jak wygląda codzienny harmonogram dnia buddyjskiego mnicha:

Codziennie mnisi troszczą się o teren świątyni, przycinają trawę, czyszczą wnętrza budynków, modlą się, uczą i studiują Nauki Budhhy, biorą udział w ceremoniach i tym podobne rzeczy...

- 4:00 - mnisi wstają i medytują przez godzinę a następnie przez następną godzinę śpiewają.
- 6:00 - nieobuci mnisi wyruszają w okolice klasztoru gdzie lokalna społeczność ofiarowuje im jałmużnę.
- 8:00 - powróciwszy do świątyni oddają miski z jałmużną ludziom świeckim pomagającym mnichom w klasztorze, którzy przygotowują z zebranej jałmużny śniadanie. Mnisi w tym czasie modlą się w "BOT'cie" (- budynek, który zawiera główny wizerunek Buddy). W sali kazań kobiety przygotowują talerze z jedzeniem dla mnichów. Kiedy pożywienie jest gotowe jedna z kobiet uderza w gong kilka razy, wtedy nadchodzą mnisi. Nowicjusze przynoszą mnichom tacki z jedzeniem. Wszyscy zgromadzeni modlą się i wykonują "KRAP" - dłonie wraz z palcami złączone a ciało lekko przykucnięte, pochylone do podłogi po trzykroć. Dopiero teraz posiłek może się rozpocząć. Mnisi muszą spożyć po małej porcji z każdego talerzyka aby każdy z ludzi, którzy ofiarowali jałmużnę otrzymali "BUN" (zasługa).
W bardzo dużych świątyniach pożywienie jest gotowane przez mnichów i osoby świeckie. Pożywienie może być dostarczane podczas ceremonii zbierania jałmużny (TAKBAT) lub też ludzie mogą przynieść pożywienie do świątyni rano, kiedy mnisi się modlą.
- 11:30 - mnisi przychodzą do "SALA" i spożywają pozostałości jedzenia z pierwszego posiłku. Zanim jednak zasiądą do jedzenia, wspólnie modlą się w języku pali w przed wizerunkami Buddy zamieszczonymi w "SALA". Niektórzy mnisi spożywają wtedy lekkie drugie śniadanie. Jest to ostatni stały posiłek jaki mogą zjeść aż do wschodu słońca dnia następnego. Podczas tej modlitwy przed drugim jedzeniem ludzie świeccy klękają przed mnichami i składają im ukłon kilkakrotnie. Niektórzy z nich wylewają świętą wodę na podłogę. Czynności te wykonuje się ku pamięci osób zmarłych, aby i oni otrzymali swą część zasług. Także kobiety przygotowujące pożywienie dla mnichów otrzymują zasługi. Po modlitwie mnisi spożywają przygotowane jedzenie. Mnisi siedzą na scenie, która jest nieco wyżej niż miejsce w którym siedzą ludzie świeccy. Oznacza to, że mnisi mają wyższy status niż laicy. Kiedy mnisi kończą pożywianie się, nowicjusze zbierają talerze i podają kobietom. Kobiety spożywają pozostałe jedzenie lub zabierają je do domu.
- 13:00 - rozpoczynają się lekcje buddyjskich nauk. Niektórzy mnisi mogą uczęszczać na

zajęcia szkolne poza świątynią. O tej porze nowicjusze i mnisi idą do szkoły lub na uniwersytet by studiować Dhammę do około 15.00/16.00. szkolny autobus zabiera nowicjuszy do szkoły a później przywozi ich z powrotem do świątyni wieczorem. Mnisi, którzy nie studiują medytują w tym samym czasie. Po medytacji około 15.00 przychodzi czas na pranie i sprzątani świątyni.

- 18.00 - rozpoczyna się dwugodzinna sesja medytacji i modlitw.
- 20.00 - mnisi rozchodzą się do swych zajęć

Oprócz tych obowiązków, każdy z mnichów odgrywa specyficzną rolę w codziennym trybie porządkowania i utrzymania w czystości świątyni i jej otoczenia. Niektórzy ludzie pomagają mnichom w ich codziennych zadaniach. Czyszczą pokoje, niosą rankiem miski żebracze mnichów itp. W świątyni mogą przebywać dzieci, które mieszkają w świątyni, nowicjusze, mnisi i ludzie świeccy chcący czynić dobro. Pomagają mnichom i nowicjuszom w większości codziennych prac. Często są to biedne dzieci, które nie mają domu i są utrzymywane z pomocą mnichów. Czasami mogą to być dzieci z bogatych rodzin wysłane do świątyni by otrzymać tam dobre wychowanie dzięki kontaktom z mnichami. Bycie mnichem to zaszczyt. Podobno niektórzy nie chcą wydać za mąż córki, za kogoś kto nigdy nie był mnichem. Można być nim choćby i trzy dni, ale jest to element ważnej tradycji tego regionu. Ponadto jest to bardzo opłacalne. Chłopcy kiedy idą do klasztoru stając się na parę lat mnichami otrzymują darmową naukę i dzięki przynależności do świątyni rodzina nie musi łożyć na ich utrzymanie.

Jałmużna odbywa się codziennie nawet podczas pory deszczowej. Codziennie o świcie, mnisi opuszczają klasztor by zdobyć pożywienie. Wyznawcy buddyzmu napęniają wtedy mnisie miski żebracze ryżem, napojami bezalkoholowymi, ciastkami i temu podobnymi produktami. W ten sposób dokonują dobrych uczynków, zasługi. Aby to działanie było jak najlepsze, ludzie muszą dać najlepsze jedzenie. Nie powinni go skąpić, gdyż mnisi zasługują na najlepsze. Ofiarowując pożywienie mnichom, oferują je swym bliskim którzy już odeszli.

Ceremonia ta może odbywać się w centrum wioski jak i w świątyni. Wczesnym rankiem mieszkańcy idą do świątyni niosąc ze sobą jedzenie dla mnichów. Niektórzy z nich idą posłuchać Dhamm'y w głównej kaplicy gdy inni w tym czasie przygotowują pożywienie. Kiedy kazanie się kończy mnisi wychodzą z głównej kaplicy. Mieszkańcy ustawiają się w kolejce a mnisi idą wzdłuż niej, trzymając miski żebracze. Ludzie napęniają mnisie miski jedzeniem. Kiedy miska jałmużna jest już pełna, asystująca osoba świecka opróżnia ją, do innej większej miski i mnich może kontynuować zbieranie jałmużny.

Kiedy ludzie ofiarowują jałmużnę powinni zdjąć swe obuwie. Zanim włoży się jałmużnę do miski mnichowi, powinno się zmówić krótką modlitwę. Podczas ofiarowywania jałmużny kobiety powinny się strzec. Nie mogą dotknąć mnicha, który jest symbolem czystości. Mnisi nigdy nie mówią podziękowań za ofiarowane pożywienie i nie patrzą na ludzi podczas jego ofiarowywania. To jest część tradycji. Wychodząc wczesnym rankiem po jałmużnę, mnisi wychodzą nie obuci.

Kiedy ceremonia dobiega końca, całe jedzenie gromadzone jest na stołach. Niektórzy laicy kończą wtedy przygotowywanie pożywienia tuż przed jej rozdaniem. Teraz ludzie mogą zacząć jeść. Najpierw mnisi biorą pożywienie. Muszą wziąć po trochu z każdego talerza. Po nich mogą podejść laicy ubrani w białe szaty. Następnie podchodzą mniszki. Dopiero po nich mogą podejść zwykli laicy. Jedzenia wystarczy dla wszystkich. Taki rodzaj bogatego wspólnego posiłku nie zdarza się codziennie.

Poza porą deszczową ceremonia ofiarowania jałmużny nie jest tak bogata. Poranne wyjście z klasztoru mnichów po jałmużnę, jest ich normalnym codziennym zajęciem. Nieobuci przemierzają ulice miasta w poszukiwaniu jałmużny. Często w miastach są miejsca gdzie tradycyjnie ktoś oczekuje z jedzeniem na mnichów by im je ofiarować.

W okresie pory deszczowej czyli około trzech miesięcy (od lipca do września, w zależności od miesiąca księżycowego) mnisi nie mogą sypiać poza ich świątynią ani ściągać mnisich szat. Ta tradycja wywodzi się z zamierzchłych czasów kiedy to Buddha nakazał pozostawać w tym czasie swym uczniom w świątyniach by uniknąć zabijania insektów i kielkujących ziaren. Czas ten

poświęca się na studiowanie, medytację i na naukę nowicjuszy. Mnisi mogą opuszczać świątynię, ale muszą wracać do niej na nocleg.

Ceremonia się ciągnie, bo liczba mnichów przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Myślę, że jest ich w sumie kilkuset. W ich mnisich garnkach ozdobionych równie plecionymi siateczkami (tez w odcieniach pomarańcza) co chwilę ląduje kolejna garstka gotowanego ryżu. Zadziwiające jest to, że lokalna społeczność do tych garnków wpycha również batoniki, ciasteczka itp. Wyjdzie straszna breja z tego. Niektórzy mają świeckich pomocników, którzy do reklamówek zbierają właśnie słodczyce. Kiedy garnek się zapełnia, to mnisi część tego jedzenia przerzucają do koszy ustawionych wzdłuż drogi ich przemarszu. Kosze te zbierają ludzie świeccy, którzy spełniają w ten sposób dobry uczynek. Są też wśród nich i dzieci, czasem bardzo małe i sama wychodzę z podziwu ile to mają siły, aby dźwigać ubity kosz ryżu. Pada, tak, że zaparowała mi kamera. Dobrze, że jeszcze mogę robić zdjęcia.

Po ponad półtorej godzinie wracamy jeszcze zdrzemnąć się na dwie godzinki. Kiedy budzimy się ponownie za oknem prawie nie pada!!! O 8:30 idziemy na śniadanie do tej samej budki, gdzie wczoraj. Zamawiamy dzisiaj crepe z owocami i wanilią, a ja jeszcze wypijam fioletowego shakea ze smoczego owocu.

Po śniadaniu czas na małe zwiedzanie samego miasteczka. Zaczynamy od watów, czyli świątyń, a jest tu ich co niemiara. Swoją drogą muszą gdzieś pomieścić tylu mnichów. Świątyń trudno nie zauważyć, rzucają się w oczy z daleka swymi krzykliwymi kolorami - głównie czerwienią i żółcią - a także nagromadzeniem zdobień i płaskorzeźb. Z daleka dla przyzwyczajonego do europejskiego zdystansowania gustu wygląda to jak jedna wielka, trochę zabawno-infantylna, a trochę kiczowata konstrukcja, gdzie ktoś nawrzucał tyle błyskotek ile się dało, by za wszelką cenę zachwycić. Dopiero jak podejdziesz się bliżej, doceni się swoistą harmonię tkwiącą w tej architekturze, imponujący kunszt rzeźbiarski nieznanymi artystów kujących w złocie tysiące przedstawień Buddy, scen z jego życia, a także krajobrazów z chłopami uprawiającymi pole i kobietami piorącymi ciuchy w Mekongu. Są też i inne, takie jak sceny wojen, w tym potyczki z udziałem słoni, jak również fresk na całej ścianie przedstawiający wizytę chińskich posłów na dwór króla laotańskiego w XVII w.

Najpierw swoje kroki kierujemy do Wat Xieng Thong. Wat Xieng Thong - Klasztor Złotego Miasta z przepiękną mozaiką przedstawiającą drzewo życia - z roku 1560, zbudowany przez króla Setthathirat i do roku 1975 pozostawał pod patronatem dworu królewskiego. Budowla ta jest przykładem klasycznej architektury świątynnej Luang Prabang. Wewnątrz znajdują się liczne rzeźby i płaskorzeźby nawiązujące do religii buddyjskiej. Wejścia do świątyni zdobią święte węże naga wykonane z różnych materiałów. Przy wschodniej bramie znajduje się królewska kaplica pogrzebowa, gdzie eksponowane są m.in.: wozy pogrzebowa, urny królewskie, akcesoria pogrzebowe. W świątynnym kompleksie znajduje się także kaplica pogrzebowa z 12-metrowej wielkości karawanem wraz z urnami, w których są umieszczone prochy królewskiej rodziny.

Sztuka Laosu rozwijała się pod wpływem sztuki indyjskiej i kultur Płw. Indochińskiego (khmerskiej, tajskiej i birmańskiej). Jedne z najstarszych i najbardziej znanych zabytków sztuki Laosu to kamienne amfory; ponad 300 takich amfor różnych kształtów i wielkości znajduje się na płaskowyżu Sieng Khuang, w Dolinie Amfor (wys.: 40 cm–2,5 m, średnica: 30 cm–1,5 m); zostały wykonane z granitu lub piaskowca. W XIII w. zaczęły się wpływy tajskiego państwa Sukhothai. Rozwój narodowej kultury laotańskiej wiązał się z powstaniem państwa Lang Czang (1353). Charakterystyczne dla sztuki Laosu są buddyjskie budowle kultowe — stupy (that) i świątynie (sim) tworzące kompleksy zwane wat. Pałace królewskie i świątynie odznaczające się bogatą dekoracją rzeźb (m.in. drewnianej balustrady w kształcie świętych węży naga, podwoje drzwi pokryte wizerunkami duchów opiekuńczych — phi), a znajdujące się w nich posągi Buddy charakteryzują się miękkimi liniami, różnymi pozami i gestami dłoni (mudra). Tradycyjne malarstwo laotańskie reprezentują w świątyniach malowidła ścienne — sceny z życia Buddy i epizody z Ramajany. Dopiero w poł. XX w. obserwuje się w malarstwie odejście od tematyki religijnej (pojawili się pejzaż i martwa natura) oraz zerwanie z anonimowością autorów. Domy mieszkalne o konstrukcji palowej budowano z miejscowych materiałów (bambus, trawy, drewno).

Tradycja tej architektury przetrwała do czasów współczesnych. Wyroby tradycyjnego rzemiosła artystycznego były i są wykonywane ze srebra, kości słoniowej, brązu i laki.

Wszędzie trwają prace porządkowe. Mnisi miotłami wymiatają kurz z każdego zakamarka świątyni. Pucują kolorowe ornamenty wystroju świątyni, znajdujące się bardzo wysoko, posługując się szczotkami na długich trzonkach. W tej świątyni wymieniają nawet dachówki. Dzieci-mnisi wynoszą koszami połamane dachówki, a starsi układają nowe, chodząc po dachu. W swoich mnisich szatach na dachu wyglądają niczym batman. Musza uważać aby nie spaść. Jutro podobno jest bardzo duże święto buddyjskie, stąd te wszystkie przygotowania. Świąteczną krzątanie widać również na ulicy, a zwłaszcza na targu, gdzie miejscowi ludzie kupują bardzo duże ilości jedzenia. Ponadto pojawiły się stoiska, gdzie można zaopatrzyć się w specjalnie ułożone kwiaty – często w kształt piramidy – które mają być zanesione w formie darów do świątyni.

Stupa Lotosu to kamienna budowla znajdująca się przy innej świątyni – Wat Wisunalat. Tu zgromadzono zbiór drewnianych posągów Buddy modlącego się o Deszcz. Tu rośnie też drzewo rodzące ogromne owoce – duriany. Owoce uważane są w tej części świata za wielki przysmak. I faktycznie są bardzo dobre, mają jednak ogromny feler: zapach, który dla nas, Europejczyków, jest nie do zniesienia. Zresztą o tym, że woń owocu jest przykra, świadczą tabliczki umieszczane w wielu hotelach i na azjatyckich lotniskach zakazujące wnoszenia do obiektów durianów.

Po drodze zatrzymujemy się na drugie śniadanie. Ze straganu przy drodze kupujemy kanapki ze wszystkim. Jest w nich kurczak, pomidor, ogórek, cebula, majonez. Całość bardzo smaczna.

O 11:30 jesteśmy pod agencją, skąd mamy jechać do wodospadu. Po chwili pojawia się busik, który zabiera nas na wycieczkę do Kuang Ssi – wodospadu oddalonego od Luang Prabang jakieś 32 km. Najpierw jedziemy przez rozległe przedmieścia Luang Prabang, gdzie turyści się nie zapuszczają, bo najważniejsze jest centrum z restauracjami, hotelikami, zabytkami i targiem. Na przedmieściach pojawiają się lokalne targi i sklepy. To stąd wszystko przewożone jest dalej do centrum.

W busie są też i inni obcokrajowcy m.in. trzy osobowa rodzina z Bangladeszu. Rozmawiają jak w hinduskich filmach, wtrącając co chwilę słowa lub nawet całe zdania angielskie. Sądziłam, że hindusi mówią tak tylko na potrzeby filmu, a tu proszę nawet na co dzień. Jest też z nimi ich córka, która ma 9 lat chociaż wygląda jakby miała o kilka więcej. W związku z tym matka śmiała się, że wyjdzie szybko za mąż, tylko, że rodzina nie zdarzy nabierać biżuterii na posag. Okazuje się, że od 9 lat mieszkają w Bangkoku, bo mąż tu studiował, a potem zaproponowano mu pracę na uczelni, dlatego też przenieśli się do Tajlandii. Są strasznie sympatyczni i rozmawiają ze wszystkimi w busie.

Jakieś 10 minut za Luang Prabang, bus się zatrzymuje. Dalej nigdzie nie pojedziemy, bo drogę zatarasowało olbrzymie drzewo, które po obfitych deszczach wyrwało się z korzeniami. Obok stoją dwie kopary, robotnicy siedzą na drzewie i... nic nie robią. Za to nad drzewem i w szczelinie pomiędzy drogą, a drzewem, w najlepsze trwa przerzut towarów i ludzi na drugą stronę. Każdy radzi sobie jak może. Sznur tuk-tuków i busów ustawił się po obu stronach leżącego drzewa. W końcu turyści zaczęli przemieszczać się pod drzewem i zmieniać transport. My za bardzo nie możemy, bo zakupiliśmy całą wycieczkę. Trzeba by było zapłacić jeszcze raz. Co chwilę idziemy tam zobaczyć czy jest jakiś postęp prac. Oczywiście nie. Rodzina z Bangladeszu zaczyna się niepokoić, bo jeszcze dzisiaj późnym popołudniem mają samolot do Bangkoku. Godzina mija, a postępu z drzewem brak. Zresztą jest tak wielkie, że czasu sporo musi minąć aby je usunąć z drogi. W końcu nasz kierowca z agencji załatwia nam busa po drugiej stronie. Musimy się przecisnąć pod drzewem i ze sporym opóźnieniem możemy ruszać w dalszą drogę. Humor wszystkim dopisuje, tym bardziej, że w końcu nie pada. Jadąc mijamy wioski z polami ryżowymi i całe mnóstwo pasących się bawołów wodnych.

Docieramy w okolice wodospadu. Trafiamy na duży parking, gdzie wokoło zlokalizowanych jest wiele stosik z pamiątkami. Trzeba stąd szybko zniknąć, bo miejscowi już wołają, aby odwiedzić ich stoisko. Mamy na zwiedzenie około 2,5 godzin. Kupujemy bilet i droga idziemy około 1 km pod wodospad. Już z daleka słychać huk spadającej wody. Kiedy podchodzimy

bliżej ukazuje się nam gigantyczny wodospad. Niby ma główny nurt ale po zboczach góry z której spada, z racji pory deszczowej, woda leje się z wielu miejsc, potęgując jeszcze bardziej efekt. Widok jest imponujący. Część ścieżek i mostków dostępna w porze deszczowej, teraz tonie pod wodą. Drzewa w pobliżu wodospadu uginają się od fali powietrza jaką wyzwala spadająca woda. Przechodzimy przez most na przeciwko wodospadui i po chwili jesteśmy cali mokrzy. Mimo odległości od wodospadu, jego siła niesie krople wody dość daleko. Stąd też, każdy kto stanie na mostku, staje się mokry od mikroskopijnych kropelek wody.

Wodospad Kouang Si to prawdziwa atrakcja turystyczna. Wędrówka drogą w dżungli pełnej kwitnących drzew i krzewów jest ogromną przyjemnością. Gdy w pewnym momencie zza drzew ukazuje się strumień wody spadający z góry, przyjemność jest jeszcze większa. Wodospady opadają kaskadowo do turkusowo – błękitnych jeziorzek zachęcających do kąpieli. Wysoki na 55 metrów wodospad, składa się z szeregu kilkumetrowych kaskad. Znajduje się w rezerwacie przyrody 32 km od Luang Prabang. Poza sezonem deszczowym, spokojny i umożliwiający kąpiel w naturalnych zagłębieniach koryta. Zbiorniki pod kaskadami pełne ryb. Wodospad utworzony jest w wapiennych skałach i tworzy go kilka basenów z kaskadami z turkusowo zieloną wodą. Hmm No właśnie po turkusowej wodzie ani śladu, bo pora deszczowa więc woda raczej brązowa, zbiorniki są teraz gigantyczne, a o kąpaniu nie ma mowy, jeśli życie nam miłe.

Ścieżką po prawej stronie wodospadu można wyjść aż na najwyższe jego piętro. Toteż przechodzimy zmoczeni przez mostek aby udać się na górę i zobaczyć skąd to wypływa wodospad. Wchodzimy na boso, bo jest mokro i ślisko, wolę nie ryzykować gwałtownego zjazdu po błocie. Wczoraj narzekałam na klapki, a dzisiaj nawet w sandałach nie ma co iść. Wchodzimy dość powoli. Sama już nie wiem, czy jestem mokra tylko od wody z wodospadu, czy też dodatkowo spociłam się jak mysz wchodząc pod stromą górę. Z różnych stron po zboczach mniejszymi i większymi strumieniami płynie woda.

Kiedy dochodzimy w końcu na szczyt, ścieżka prowadząca w stronę wodospadu jest zalana, ale wszyscy obcokrajowcy brną w niej, aby zobaczyć skąd spada wodospad. Postanawiamy iść za ich przykładem. Bosymi stopami w końcu trafiamy na właściwą ścieżkę i idzie się lepiej, ale i tak wolno, bo nie wiadomo na co można nadepnąć w tej brudnej od osadów wodzie.

Na szczycie woda spływa wielkimi strumieniami ze wszystkich stron, co tłumaczy gigantyczny rozmiar wodospadu. Na krawędzi góry, gdzie spada wodospad licho trzymające się drewniane żerdzie i napis, aby uważać, bo w tym miejscu jest niebezpiecznie. Robimy sobie zdjęcia i po kwadransie wracamy z powrotem. Teraz jakoś trzeba zejść w dół. Jest gorzej, ale w końcu docieramy do mostka, jeszcze tylko trzeba się przebić przez wodę która zalewa schody i nie widać stopni, potem obowiązkowy prysznic na mostku i możemy robić zdjęcia całemu wodospadowi. Trzeba jednak bardzo uważać, bo woda przyska na wszystkie strony nie oszczędzając ani aparatu ani kamery. Warto było tu przyjechać i zobaczyć ten fantastyczny wodospad.

Potem idziemy do minizoo obok wyjścia z parku. Znajduje się tu schronisko ufundowane i wspierane przez australijską fundację Free The Bears Foundation. mieści się w rezerwacie przyrody Kuang Si. Do schroniska trafiają niedźwiedzie odebrane przemytnikom i handlarzom. Znajduje się tu kilkanaście niedźwiedzi azjatyckich. Niedźwiedzie te zostały wpisane na listę gatunków zagrożonych wyginięciem. Można je oglądać na platformach i wybiegach zlokalizowanych w dżungli. Jeden z niedźwiadek podchodzi do ogrodzenia i staje na dwóch łapach i macha. Ludzie mimo zakazu rzucają mu banany. Niedźwiadek kiedy wstaje, to można zobaczyć jego biały krawat na czarnym futrze. Po chwili przychodzą dwa kolejne i w końcu na łapach stoję wszystkie. Wycieczka Japończyków, albo Koreańczyków jest wniebowzięta. Ja zresztą też. Widok niesamowity. Niedźwiadki pomysłowe, zobaczyły, że sztuczka działa i mogą za to dostać coś smacznego.

Znajduję u siebie przyssaną do nogi pijawkę, ale całe szczęście udaje mi się jej pozbyć bardzo szybko, co oznacza, że chyba parę minut temu przyssała mi się do nogi. Zapewne wtedy kiedy wracając z wodospadu robiłam zdjęcia egzotycznych kwiatków z wąsami lub największych liści „łopianu” jakie w życiu widziałam.

Niestety 2,5 godziny mijają i trzeba wracać do Luang Prabang. Po drodze dojeżdżamy do

miejsca, gdzie leżało drzewo i ku naszemu zdziwieniu po leżącym drzewie ani śladu. Wszystko zniknęło, ale za to pień drzewa o przekroju co najmniej 1,5m z korzeniami został zasadzony z powrotem. Jak to zostało zrobione nie mam zielonego pojęcia, bo uprzątnięcie takiej korony drzew i odpiłowanie większej części pnia musiało zająć bardzo dużo czasu. A tu proszę nikogo już nie ma drzewa zasadzone...

Kiedy dojeżdżamy do Luang Prabang znowu zaczyna padać, ale mimo tego wchodzimy na wzgórze Phu Si ze świątyniami Wat Paa Huak, Wat Pha Phutthabaat, That Chomsi. Wzniesienie góruje nad miastem, na którym znajdują się buddyjskie świątynie pochodzące z XX wieku, liczne grotty z figurami Buddów. Aby dostać się na wzgórze Phu Si, trzeba pokonać 360 stopni, co przy upale i ogromnej wilgotności powietrza staje się prawdziwym wyczynem. Po drodze natykamy się na wiele posągów Buddy – Budda Proszący o Deszcz, Błogosławiący, Kontemplujący, Nauczający. My jednak wybieramy drogę łagodniejszą od innej strony wzgórza, a stopniami wrócimy do centrum miasta. Ze szczytu tego wzniesienia rozpościera się piękny widok na okolicę z wijącym się Mekongiem. Niestety nie dzisiaj. Widok dość marny, bo miasto zasnuwa mgła i nisko wiszące deszczowe chmury. Z góry widać, jak pięknie położone jest Luang Prabang na półwyspie stworzonym przez łączące się tu rzeki: Mekong i Nam Khan, w dolinie otoczonej górami. Z puszystego dywanu zieleni wyłaniają się spadziste dachy świątyń, stupy – budowle sakralne w kształcie dzwonów ze strzelistymi iglicami.

Na szczycie przy jednej ze świątyń znajdują się małe koszyczki przywiązane do barierek. Okazuje się, że w tych koszyczkach wyznawcy buddyzmu (choć nie tylko) przynoszą na szczyt maleńkie ptaszki, które kupują u podnóża góry, a następnie na szczęście wypuszczają je na szczycie.

Kiedy schodzimy ze szczytu, u podnóża góry trafiamy na miejsce gdzie znajduje się drzewo Bodhi, które podobno jest szczepem tego drzewa pod którym Budda doznał oświecenia.

Wracamy na market przy głównej ulicy, aby zjeść dużą rybę z grilla podaną na liściu, a także delektujemy się gigantycznym i wybornym ananase, z którego sok wycieka niczym z gąbki. Poza tym na targu ruch jeszcze większy niż rano, przygotowania do jutrzejszego święta idą pełną parą.

Niedaleko targu i uliczki z nocnym marketem znajduje się Pałac Królewski zbudowany na początku XX wieku dla króla Sisavangvonga. Po śmierci króla na tronie zasiadł jego syn Savang Vattana, którego komuniści podczas rewolucji w 1975 roku skierowali wraz z rodziną do obozu "reedukacyjnego". Potem nikt już o królewskiej rodzinie nie słyszał... Obecnie pałac przekształcony został w muzeum. W pałacu można oglądać pokoje i ich wyposażenie, przedmioty kultu religijnego, unikatowe posągi Buddy, ze złotym posągiem stojącego Buddy Pha Bang.

Wat Mai Suwannapumaram jest największym sanktuarium w mieście. Został zbudowany w 1786 do króla Anura. Przednie drzwi i rama są złoczone. Wewnątrz świątyni Wat Mai Suwannapumaram dominuje duży posąg siedzącego Buddy.

Przed wejściem do świątyń należy pamiętać o stroju zasłaniającym kolana i ramiona, a także o zdjęciu obuwia. Tutaj najlepsze są klapki. Buty ściąga się zasadniczo wszędzie, czy to wchodząc do świątyni, czy do restauracji, czy nawet kawiarenki internetowej. Jest to świetny zwyczaj, bo mieszkańcom nie wnosi się do budynku błota ani wody, co uciążliwe może być w porze deszczowej. Fajnie wyglądają buty często dość bezładnie porzucone przez osoby które znajdują się w środku danego budynku. Po ilości butów można określić czy warto wejść do danej restauracji, czy cieszy się popularnością czy też nie.

Po wizycie w kawiarence internetowej idziemy na nocny targ. Dzisiaj jest rozłożonych wiele stoisk, ale to chyba dlatego, że deszcz tylko od czasu do czasu siąpi. Czas zrobić pierwsze zakupy m.in. lampa stojąca, obrazki, ręcznie robione śliniaczki dla dzieci, szale itp.

Wracamy późno do guest housu, na korytarzu dzieci właściciela rozpakowują batoniki i wyciągają kolorowe nalepki. Setki batoników przygotowane są na jutrzejsze dary dla mnichów. A my pakowanie i spać.

07.07.2009 (wtorek)

Pobudka o 5:20. Idziemy po raz kolejny na poranny przemarsz mnichów ulicami Luang Prabang. Nie pada więc można zrobić lepsze zdjęcia. Dzisiaj jednak przemarsz po jałmużnę wygląda inaczej. Po pierwsze mnisi mają ogolone głowy i chodzą po całym mieście grupkami. Ludzi dookoła mnóstwo, a darów jeszcze więcej niż wczoraj. Zresztą mieszkańcy też ubrani odświętnie. Praktycznie każdy ma przepasaną szarfę przez ramię. Natomiast dary nie są tak jak wczoraj w bambusowych koszykach, a w srebrnych i złotych misach. Dzieci dwoją się i troją z koszami, aby odbierać nadmiar darów z „misiek” mnichów.

Niestety nie możemy długo zostać, bo o 6 łapiemy tuk-tuka na dworzec autobusowy. Musimy złapać jakiś transport w kierunku stolicy. Nasz tuk – tuk musi kluczyć uliczkami miasta, bo w wielu miejscach ruch jest zatrzymany ze względu na święto i przemarsze mnichów. Jednak w końcu docieramy na dworzec, kupujemy bilety do Vientiane bez problemu, autobus już czeka. Na dworze laotańskie najlepiej przyjechać z samego rana i jest duża szansa, że autobus w interesującym nas kierunku będzie jechał pomiędzy 6 a 8 rano.

Kupujemy na drogę bagietki z wołowiną i o 6:30 ruszamy do stolicy Laosu. W autobusie jedzie trochę obcokrajowców. Trasa wiedzie przez góry. Droga powinna mieć nazwę miliona zakrętów. Dla osób z chorobą lokomocyjną może to być największy koszmar życia. Sama nigdy przedtem nie jechałam tak pokręconą trasą. Nasz autobus będący dość starym gratem czasami ledwie daje radę z podjazdem pod górkę. Na dodatek za oknem co chwilę lekko kropi deszcz. Mijamy wioski przycupnięte pomiędzy drogą, a zboczami gór. I to dosłownie. Wąsko, ale zawsze chatka się zmieści, przy takiej drodze, zawsze można sprzedawać jedzenie podróżnym zmierzającym do stolicy. Można kupić zupę, czy coś do picia, ale oczywiście w woreczku. Cały czas podziwiam ich wynalazek. Ciekawe jak często te woreczki im pękają.

Jedziemy sobie i jedziemy, aż w końcu psuje się koło naszego autobusu. Kierowca nie jest w stanie go odkręcić. Jeden z obcokrajowców zauważa, że kierowca odkręca koło nie w tę stronę co trzeba, bo teraz je jeszcze bardziej przykręcił. Taki już urok Azji. Na szczęście w końcu udaje się naprawić koło i możemy mknąć dalej. Mknąć to jednak za dużo powiedziane... czasami mam wrażenie, że szybciej byłoby na piechotę.

Po 7 godzinach męczącej jazdy zakrętami jesteśmy w Van Vieng. Tutaj wysiadają tylko dwie osoby, a reszta jedzie dalej. Nareszcie koniec zakrętów. Okolica podobna do chińskiego Guilin, czyli wapienne mogoty urozmaicające krajobraz. Po kolejnych już tylko 3 godzinach docieramy do Vientiane. Wita nas dworzec północny. Hmm wg opisu miał być nowoczesny, a wcale taki nie jest. To po prostu duży plac, gdzie wszystko dzieje się w chaotyczny sposób. Bierzymy tuk-tuka do centrum. Kiedy tam docieramy w strugach deszczu szukamy noclegu. No i można się przekonać o syndromie „stolicy”. Pokoje wszędzie byle jakie, ale za to cena niczym z kosmosu. Jednak mamy szczęście bo za niewielkie pieniądze, jak na stolicę znajdujemy pokój w guest housie PKK (cokolwiek ta nazwa oznacza). Nie ma wprawdzie żadnego okna, ale pal licha to tylko jedna noc.

Jest już 18 więc zmrok zapada dość szybko, toteż zrzucamy rzeczy w pokoju i ruszamy jeszcze coś zobaczyć. Dosłownie kręcimy się po mieście, bo w zasadzie to stolica nie robi wielkiego wrażenia. Przypomina raczej pipidowę niż stolicę. O statusie stolicy świadczą pojawiające się budynki różnych departamentów rządu, czy też ogromny i kolorowo zdobiony gmach centrum kultury narodowej. W wielu miejscach stolicy budynki są wyburzane i stawiane są nowe. Stolica się zmienia. Jednak na razie miasto jest niczym pobojuwisko po trzęsieniu ziemi. Gdzieś tam za metalowym płotem płynie sobie Mekong. Jedno co jest zastanawiające w tym mieście, to każdy praktycznie jeździ naprawdę odjechanym terenowym pickupem. Trochę się to jakoś gryzie z tym co dookoła. Trafiamy również pod That Dam czyli Czarną Stupę, która jest jedną z największych, laotańskich świętości.

Vientiane jest stolicą Laosu. Miasto leży nad rzeką Mekong w środkowo-zachodniej części kraju, tuż przy granicy z Tajlandią i liczy zaledwie 220 tys. mieszkańców. Wcześniej w granicach obecnego Vientiane leżało starożytne miasto Vang Chang, które od końca XII w. było pod panowaniem Khmerów z Angkoru. Pod koniec XIII w. miasto zostało włączone do syjamskiego

królestwa Sukhothai, od połowy znajdowało się w granicach laotańskiego królestwa Lang Chang. Po upadku Lang Chang, od 1707 miasto było stolicą niewielkiego królestwa Vientiane. W latach 1777-1782 Vientiane okupowane było przez Syjam, a w roku 1827 ponownie zdobyty i spalony przez najeźdźców z Syjamu. W 1893 roku zostało zajęte przez Francuzów, a od 1899 było stolicą francuskiego protektoratu Laosu. Po uzyskaniu niepodległości w 1949 stało się stolicą Laosu.

Vientiane stanowi główny ośrodek handlowy i kulturalno-naukowy kraju. Tam znajdują się główne zakłady przemysłu spożywczego, metalowego, jedwabniczego i rozwija się rzemiosło (przede wszystkim wyroby ze złota i kości słoniowej). Również w stolicy znajduje się jedyny w kraju uniwersytet założony w 1958. Rozwój stolicy Laosu przez kolejne kilkadziesiąt lat był hamowany przez ustawiczne niepokoje i długotrwałą wojnę domową. Kilka kilometrów od Vientiane w dół Mekongu wybudowano w 1994 r. most przyjaźni tajsko-laotańskiej. Jest ono obecnie głównym przejściem granicznym między tymi dwoma krajami.

Turystów dookoła dość sporo, choć nie wiem co oni tu robią. Może tak samo jak i my przyjechali zobaczyć stolicę, bo trochę tak dziwnie odwiedzić kraj bez wizyty w najważniejszym mieście. Próbuje znaleźć coś do jedzenia, ale wszędzie serwują tylko zupę. W końcu na ulicznym straganie znajdujemy smakowite oponki w smaku podobne do pączków, zajadamy się też pierożkami. Najedzeni możemy wrócić na chwilę do pokoju aby w końcu wziąć prysznic, a potem udać się na laotański masaż. To przynajmniej w stolicy jest tanie. W drodze na masaż wchodzimy do świątyni, bo słychać z niej modlitewne śpiewy i odgłos bębna. Trafiamy na procesję wokół świątyni. Na początku procesji idą mnisi ze świecami, a za nimi reszta wiernych. Obok świątyni jest wieżyczka z ogromnym bębnem, gdzie jeden z mnichów wystukuje rytm. Jakiś niesamowity klimat panuje w tym miejscu.

Szukamy miejsca na masaż. I okazuje się to nie być wcale takie proste, bo albo nie ma dwóch osób które mogłyby go zrobić, albo jest problem, że nie ma masażysty faceta, a dziewczyny które są ze wsi wstydzą się obcokrajowców. Trafiamy jednak do miejsca gdzie masaż laotański wykonają bez problemu. Godzina takiego masażu kosztuje 35 tys. kipów, czyli tylko 4 dolary. Na początek Laotanki myją nam stopy, a potem prowadzą do pokoju, gdzie mamy przebrać się w piżamki. Po czym przez całą następną godzinę niewielkie dziewczyny dokonują rzeczy niemożliwych z naszym ciałem. Naciągają, że aż wszystko trzeszczy, tłuką pięściami, gniotą kolanami itp. Ledwie można to przeżyć. Laotanki po cichu między sobą rozmawiają. Język laotański ma świetną melodyjność. Dźwięki wydawane przez te dwie dziewczyny są wręcz relaksujące i odprężające. Nie wiem czy po tej godzinie w ogóle się ruszę. Całe ciało jest wymasowane poczynając od kręgosłupa, barków, nóg rąk, szyi i głowy i nawet palców!!! Choć masaż palców wcale nie należy do przyjemnych, bo aż strzela. Po godzinie wstaję i.. czuję się super. Normalnie jakoś tak lekko. Szkoda, że nie można częściej poddawać się taki zabiegom. To naprawdę fantastyczna sprawa. Gabinet masażu opuszczamy około 22, po czym zjadamy smoczy owoc, który smakuje niczym kiwi i padamy spać ze zmęczenia...

08.07.2009 (środa)

Pobudka o 7 rano. Nie lubię budzić się w pomieszczeniach bez okien. Nie wiadomo czy to dzień czy noc. Wstajemy i od razu wychodzimy aby zjeść śniadanie i zrobić jeszcze kilka zdjęć, kiedy jest widno. Znalezienie śniadania wcale nie jest łatwe. Nawet w stolicy od wczesnych godzin porannych wszędzie serwowana jest tylko zupa. A to potrawa, która mi wcale nie pasuje na śniadanie. Po długich poszukiwaniach docieramy do małej restauracyjki, gdzie mogę zamówić bagietkę z farszem z kurczaka, a Paweł naleśniki. Przychodzi nam trochę poczekać na te jakże skomplikowane zamówienie. Okazuje się, że warto było. Takiej bagietki napchanej kurczakiem i warzywami jeszcze nie jadłam, a Paweł dostaje najgrubszego naleśnika jakiego w życiu widziałam.

Po śniadaniu zabieramy rzeczy z pokoju i tuk –tukiem jedziemy 10 km za miasto na dworzec południowy. Dzięki temu, że dworzec położony jest daleko możemy jeszcze obejrzeć miasto. W oddali mijamy Patuxai - Bramę Zwycięstwa, wzorowaną na paryskim Łuku

Tryumfalnym i jedziemy chyba najdłuższą ulicą świata Kayosanne. Ulica ta praktycznie poprowadzona jest w linii prostej bez żadnych zakrętów. Mijamy też miejsce gdzie kończy się budowa stadionu olimpijskiego a wokół niego terenów na zawody i olimpijską wioskę. Co chwilę można zobaczyć duże tablice, które informują iż w tym roku w Vientiane odbędą się SEA GAMES (Olimpiada Azji Południowo - Wschodniej). Stąd też budowa tych wszystkich dróg i budynków. Igrzyska te odbywają się po raz 25 i pierwszy raz w stolicy Laosu, toteż Vientiane musi się przygotować. W igrzyskach rozgrywanych od 9 do 18 grudnia weźmie udział 11 reprezentacji narodowych wchodzących w skład Azji Południowo-Wschodniej.

Maskotkami igrzysk są dwa słonie, czyli symbole Laosu, który kiedyś była krajem miliona słoni. Oto maskotki Igrzysk:



Czyż nie są śliczne???

Na dworzec autobusowy docieramy o 9:25. mamy szczęście jak zawsze, bo odrazi łapie nas miejscowy naganacz, który wskazuje nam właściwy autobus. Odjeżdża za 5 minut więc tłumaczmy jeszcze, gdzie dokładnie chcemy wysiąść na trasie, kupujemy bilety i pakujemy się do busa. Zostajemy skierowani wraz z plecakami na sam tył pojazdu. W środku okazuje się, że jadzie nim jeszcze jedna para obcokrajowców i szczęśliwie również chcą dotrzeć do jaskini w Konglor. No to świetnie

we czwórkę łatwiej nam będzie złapać dalszy transport.

Autobus mknie sobie w kierunku południowym, ale co chwilę zatrzymuje się, bo albo wsiadają kolejni podróżni, albo sprzedawcy jedzenia i napojów. Przy drodze mijamy ludzi z bagażami czekających na konkretne autobusy. Czasami stoją tylko bagaże, wtedy autobus zatrzymuje się, trąbi i po chwili pojawia się podróżny. Bardzo dobry pomysł. Po co stać i czekać na autobus, który biorąc pod uwagę laotańską maksymę na pewno się nie spieszy i się spóźni. Na jednym z postojów do autobusu zostaje wtuszczony motor. Dzielnie sobie z nim radzi „bileter”, który koordynuje nie tylko przymocowanie motoru, ale również usadza podróżnych, czy sprzedaje bilety. Teraz żeby wysiąść trzeba się nieźle nagimnastykować aby go minąć.

Próbuję śledzić trasę, ale marnie mi idzie. Większość napisów jest w laotańskich krzaczkach. Tym bardziej, że nie do końca wiemy jak nazywa się miejscowość, w której musimy zboczyć do Konglor. Odkrywam, że w Laosie są przy drodze słupki, które wskazują ile kilometrów jest do kolejnej miejscowości. Dzięki temu na przysłowiowe „oko” domyślam się gdzie jesteśmy i, że wkrótce „bileter” powinien nas wysadzić.

Koło godziny 14:00, po ponad 4 godzinach jazdy i przejechaniu 220km, jak na Azję to naprawdę wielki wyczyn docieramy do rozwidlenia dróg w Ban Khoun Kham. Autobus jedzie dalej na południe, a my musimy pojechać na wschód. Wsiadamy nie tylko my, ale również parę innych osób. Teraz już wiem dlaczego nasze plecaki musiały być z tyłu autobusu. Łuki bagażowe były zajęte przez całą masę... kokosów!

Zostajemy posadzeni w drewnianym baraku, który jak zwykle udaje restaurację z jedną zupą. Siadamy sobie z poznaną przez nas parą obcokrajowców, a że wszyscy jesteśmy głodni i nie ma nic innego, zamawiamy zupę. Do zupy oczywiście laotańska sałatka z zielonych warzyw, łącznie z surowym groszkiem, czy czymś co go przypomina. Musimy czekać do 15, wtedy podobno

coś pojedzie.

Mamy czas aby porozmawiać z Rodrigo, który pochodzi z Hiszpanii i Kate z Wielkiej Brytanii. Angielka mówi niczym telewizyjny spiker w BBC. Ale o dziwo można ją zrozumieć.

O godzinie 15 przyjeżdża tuk – tuk do którego się pakujemy, ale zanim opuścimy miejscowość mija jeszcze pół godziny. Tuk – tuk musi jeszcze kilka razy objechać wioskę w poszukiwaniu chętnych na wyjazd, milion razy zatrąbić, aby przypomnieć że naprawdę już jedzie, zatrzymać się ponownie na parę minut pod drewnianą restauracją i... kiedy już myślimy, że jedziemy, to po kilkudziesięciu metrach zatrzymujemy się, bo kierowcy przypomina się o zrobieniu zakupów... W taki momencie tylko spokój może uratować człowieka... PDR....

No ale w końcu ruszamy, znowu zaczyna padać deszcz. Przed nami około 41 kilometrów. Tuk-tuk wręcz pruje z kosmiczną prędkością toteż po godzinie jazdy jesteśmy we wsi Ban Na Hin. Momentami droga prowadząca do tej miejscowości jest tragiczna. Wszędzie błoto, a dookoła góry. We wsi tuk – tuk zatrzymuje się w jej centrum. Jest tu nawet drewniany przystanek autobusowy z nazwą Taxi Station Khoun Kham – Konglor, który tonie w błocie. Na przystanku bawią się dziewczynki, a my postanawiamy zrobić im kilka zdjęć. Uciekają wokół przystanku i nie zostaje nam nic innego jak pobawić się z nimi w chowanego. Zdjęcia będą super.

Dookoła góry, nawet gdzieś wysoko na skalnym zboczu widać spadający wodospad. Na środku placu stoi drewniana toaleta. Hmm wychodek raczej. Za niewielką opłatą możemy z niego skorzystać, idąc po deskach (bo dookoła błoto).

Nie mija kwadrans jak jedziemy kolejnym truckiem do Konglor. Przed nami znowu 40 km. Krajobraz dookoła jest wręcz fantastyczny. Małe wioski ulokowane przy drodze, pola ryżu



zajmujące prawie całą dolinę wśród wysokich gór. Na polach w bajorkach o średnicy metra leżą bawoły wodne. Dolina porośnięta jest pojedynczymi drzewami, wszędzie snuje się lekka mgła, bo znowu popada deszczyk i wszystko paruje. Kiedyś musiał być tutaj las, który został wycięty przez ludzi, a równinne tereny doliny zostały przekształcone w pola uprawy ryżu. Na polach stoją duże drewniane sześciennie chaty, w których suszy się tytoń.

Kierowca wysadza nas przy pierwszych chatkach wioski. Wszystko dookoła jest w błocie. Zostajemy zaprowadzeni do restauracji, oczywiście z jedną zupą, a następnie do tutejszego guest housu. To tak samo jak wszystkie zabudowania wioski, bambusowy dom na palach. W środku znajdują się 3 pokoje z łózkami i wspólna łazienka, w której wodę czerpie się z baniaka. Wszystkie nieczystości lądują pod domkiem...

Jeść się nam nie chce, wcześniejsza zupa nas trzyma. Postanawiamy zatem we czwórkę przejść się około 1 km pod jaskinie. Po wsi biegają nagie dzieci, a kobiety zakutane w kawał materiału kąpią się w rzece. Idziemy przez las deszczowy, zewsząd słychać jego odgłosy. Docieramy nad brzeg rzeki, która wypływa z jaskini. Widać wejście do jaskini i burzliwy nurt wypływającej rzeki. Ciekawe jak to pokonać łódką? Z lekka ciarki mi po plecach przeszły.

Rodrigo i Kate są nauczycielami angielskiego. Niedawno zakończyli naukę tego języka w

Chinach. Opowiadali nam o swoich perypetiach. Rodrigo musiał kłamać, że jest z Londynu, bo taki nauczyciel jest lepiej widziany. Poza tym dopiero po 2 miesiącach dowiedział się, że jest nie w tym regionie do którego pierwotnie dostał skierowanie. Opowiadał jak to zaginął mu bagaż i przez 2 pierwsze tygodnie na zajęcia przychodził w tej samej marynarce. Kate ma 29 lat, a Rodrigo 31. Po zakończeniu tego wyjazdu wracają do Barcelony, gdzie mają zamiar wynająć mieszkanie i uczyć w szkole. Rodrigo dopiero co skończył studia na językoznawstwie. Heh teraz już wiem dlaczego można zrozumieć angielski Kate. Skoro jest nauczycielem to musi umieć tak się wysławiać, aby ją zrozumiano. Oboje planują ślub w maju na jednej z greckich wysp. Są naprawdę sympatyczni. Rzadko kiedy spotyka się ludzi z Europy Zachodniej przy których nie ma się kompleksów. Jak widać nauczyciele też nie zarabiają tam kokosów. Bilety do Indochin też mili za pół darmo, bo ojciec Kate pracuje w British Airways. Jedną z ciekawostek naszego spotkania jest to, że Oboje pamiętają nas ze... statku płynącym do Luang Prabang. Zapamiętali nas, bo byliśmy jedynymi turystami, którzy wsiadali w małej wiosce Tha Suong. Paweł od razu wyciągnął aparat fotograficzny i zaczął przeglądać zrobione na statku zdjęcia. I rzeczywiście Rodrigo i Kate płynęli tym statkiem.

Zapada zmierzch więc wracamy do naszego domku na palach. Po dotarciu do wioski jest już ciemno, ale z większości chat dobiegają odgłosy telewizji. Mimo biedy, duża część mieszkańców posiada tu anteny satelitarne. Ściany bambusowych chat są cienkie więc wszystko widać i słyszać.

Siadamy jeszcze na chwilę w restauracyjce aby wypić piwo i zjeść kabanosy wiezione przez nas z Polski na jakąś szczególną chwilę. Nasi nowi znajomi są zachwyceni kabanosami. My również, bo kiedy długo nie je się wędliny to w takim momencie smakuje wybornie. Obok nas co chwilę biega nagi synek właścicielki. On i jego rodzeństwo mają dobrze, bo rodzina posiada sklepik z restauracją. Chłopiec co chwilę wpada, a to po jakiś batonik, a to po colę w puszcze.

Koło 22 właścicielka ogłasza czas spania. Nie pozostaje nam nic innego jak uczynić to samo. Jeszcze przez jakiś czas dobiega nas z pobliskiej chaty program telewizyjny, a potem już tylko słyszać przyrodę, a przede wszystkim liczne świerszcze...

09.07.2009 (czwartek)

Budzę się o 5 rano, bo już zewsząd dobiegają mnie odgłosy ludzi, potem piejących kogutów, aż wreszcie głośną muzykę. Kiedy wstajemy o 6:30 wieś już dawno nie śpi. Większość jej mieszkańców jeszcze przed wstaniem słońca poszła na pola ryżowe. W wiosce zostały głównie dzieci. Część z nich również pójdzie pracować w polu, albo zajmie się domowymi obowiązkami. Dwie dziewczynki targając ogromne sieci właśnie wybierają się na ryby.

O 7 rano w restauracyjce jem... zupę. Ledwie daję radę. Ale skoro nie ma nic innego trzeba zjeść tę nieszczęsną zupę. Po śniadaniu idziemy do jaskini. Pogoda dzisiaj jak dzwon – przepiękne błękitne niebo, a na nim pojedyncze obłoki chmur. Jeszcze tylko nad polami ryżu snują się mgiełki. Jest tu przepięknie. Las deszczowy teraz jest bardziej przyjazny niż wczoraj o zmroku, ale dalej wydobywają się z niego różne dźwięki. W porównaniu do polskich lasów jest bardzo głośny. Pod zadaszeniem na brzegu rzeki siedzi sporo Laotańczyków. A myśmy wczoraj obawiali się, że nie wiadomo kto z nami popłynie do jaskini. Okazuje się, że są to ludzie, którzy zarabiają przepływaniem na drugą stronę góry. Trasa ta jest jedyną drogą aby dostać się do kilku wiosek po drugiej stronie góry. Niesamowite. Nigdy nie słyszałam, o takim miejscu, gdzie jedyna droga to droga przez rzekę płynącą jaskinią.

Kupujemy bilety... a jest ich sporo, bo najpierw trzeba opłacić wstęp do parku, potem wstęp do jaskini i na końcu trzeba zapłacić za łódkę. Musimy namawiać Rodrigo i Kate, bo okazuje się, że nie mają na tyle pieniędzy, aby płynąć. Obiecujemy im wymienić pieniądze, bo skoro już tu dotarli to koniecznie muszą przepłynąć tę jaskinię. Śmieszni są, ale udaje się nam ich przekonać.

No to czas na jaskinię. O dziwo dostajemy nawet kapoki!!! Ciekawe jak pokonamy ten wartki nurt. Wsiadamy do łódki po dwie osoby plus dwóch Laotańczyków jako sternik i oświetlający. Drewnianą łódeczka z silnikiem przepływamy na drugą stronę rzeki. Uff nie będziemy

pokonywać silnego nurtu i skalnych kaskad przy wejściu do jaskini. Za to Laotańczycy wymontowują silnik, i go zabierają. Teraz musimy kawałek przejść piechota klucząc między skałami. W jaskini czekają już następne drewniane łódki. Chwila na zamontowanie silnika. Usadowienie się w łódce i płyniemy....

Mniej więcej w połowie Laosu, w stronę wietnamskiej granicy, znajduje się jeden z cudów Laosu: oszalamiająca, długa na 7 km, szeroka na 100 metrów i tyleż wysoka jaskinia Tham Kong Lo, przez którą płynie rzeka. Jaskinia jest wciąż w stanie dziewiczym, a swą wielkością i długością wrażenie robi niepowtarzalne. Wycieczka drewnianą łupinką trwa 3 godziny, w czasie których pruje się przez tą ciemnicę ze sporą prędkością. Na początku jest trochę przerażająco. Dwóch przewodników, dwie latarki, dobrze, że z Pawłem zabraliśmy latarki. Po około kwadransie płynięcia, kiedy nasz wzrok przyzwyczaił się w miarę do ciemności wysiadamy aby podziwiać jedyne podświetlone miejsce w jaskini, gdzie jest bardzo dużo stalagmitów, stalaktytów i innych cudów.... Narosły niesamowicie. Tak kalafiorowo. Oczywiście zaliczam ślizg i leżę na skałach. Ręka podrapana, noga podrapana, kolano zbite, ale kamera w jednej ręce, aparat w drugiej pozostały bez uszczerbku.

Po zwiedzeniu wsiadamy do łódek i płyniemy dalej. Jest niesamowicie. Mimo ciemności rozświetlanej latarkami widać snującą się po jaskini mgłę. Huk silnika odbijający się od skalnych ścian potęguje wrażenie grozy. Obaj „motorniczy” manewrują łódką sprawnie aby ominąć wystające skały czy pojawiające się płycizny. W porze suchej płyniecie przez jaskinię musi być dość niebezpieczne. Płyniemy licznymi zakolami, taką jaskinię wydrążyła tutaj rzeka. Co chwilę wpływamy do większych grot, gdzie stropu nie dosięga światło naszych latarek. Są też bardzo małe i wąskie groty. Trochę to klaustrofobiczne. Co jakiś czas spada na nas strumień wody, która gdzieś tam przesiąka ze stropu jaskini i spada z łoskotem na dno, przy okazji nas mocząc. Brr zimna jest. Po drodze mijamy może 2-3 łódki płynące z przeciwnego kierunku, ale to turyści tylko miejscowi. Do tego miejsca turyści rzadko docierają. Tu nie ma nawet za bardzo bazy noclegowej, choć we wsi pokazywano nam miejsce, gdzie jeden z mieszkańców buduje pierwszy guest house z prawdziwego zdarzenia. No to zapewne turyści tu zawitają, tym bardziej że nie tak znowu dawno wybudowano tu drogę asfaltową.

Po ponad godzinie płynięcia, wypływamy po drugiej stronie góry. Teraz nasz wzrok musi się przyzwyczaić do słonecznego światła. Płyniemy jeszcze z 10 minut na przystań, z której ścieżka prowadzi do wioski, chwila odpoczynku i możemy udać się w podróż powrotną. Kiedy wpływamy wzrok przez dłuższą chwilę nie może przyzwyczaić się do czarnej ciemności jaskini. Teraz płynąc z nurtem drogę pokonujemy znacznie szybciej. Dziwiliśmy się jak ten sternik daje radę tak szybko skręcać?? Jasne że pływa tam codziennie i zna ta jaskinię jak własną kieszeń, ale żeby po ciemku umieć tak nawigować....?

Wracamy do wioski. Kate i Rodrigo też są zachwyceni i dziękują nam, że ich przekonaliśmy do tej wycieczki. Kiedy wracamy, po asfalcie coś skacze. Rodrigo po hiszpańsku mówi, że to saltamontes. O rety słyszę jedno z moich tzw. niepotrzebnych słówek, które się nauczyłam. Saltamontes to inaczej szarańcza lub konik polny. Rodrigo śmieje się, że znam takie słówko. Wtedy przypominam sobie inne niepotrzebne słówka, co już całkiem rozwesela nasze towarzystwo. Nie zna ich nawet Kate która od paru lat mieszka w Hiszpanii.

Po powrocie do wsi zostaje nam godzina na zdjęcia. Dokładnie w południe ma przyjechać tuk-tuk, który zabierze nas do Ban Na Hin. Toteż biegamy po wiosce, fotografując i filmując bawiące się dzieci wśród domów na palach. Biedni starsi ludzie, jak oni wchodzą po tych drabinach? A dzieci mają tu proste zabawki zrobione z drewna, bawią się starymi oponami, czy kamyczkami. Nie przejmując się faktem czy są czyste, czy brudne, czy mają jakieś ubranie czy nie mają nic.

Płacimy za nocleg „komuś”, bo w zasadzie nie wiemy komu mamy dać pieniądze i o 12 wsiadamy do tuk - tuka i jedziemy do Na Hin. Przy skrzyżowaniu dróg nasz kierowca zatrzymuje trucka który jedzie do Khoun Kham. Szybko przesiadamy się i mkniemy do głównej drogi łączącej północ z południem Laosu. Jakby tego było mało od razu zatrzymuje się autobus jadący do Pakse. Fart niesamowity. Wsiadamy oczywiście i jedziemy dalej. Tak zgranego transportu w Azji jeszcze

ni trafiłam. U biletera w autobusie kupujemy przejazd do samego Pakse, natomiast Kate i Rodrigo tylko do Tha Khek, bo nie mają już więcej pieniędzy, a nie chcą niestety abyśmy im pomogli. No szkoda. Nasze drogi rozejdą się w Tha Khek. A przed nami 400 km do Pakse.

W Tha Khek, wysiadają Kate i Rodrigo. Jeszcze próbujemy ich przekonać, aby jechali z nami. Bardzo nam dziękują, ale zatrzymują się w tej miejscowości i skorzystają z bankomatu. Jakoś tak siedzą na ławce dworca i nie mogą się chyba do końca zdecydować. Na chwilę przed odjazdem autobusu Paweł idzie ich przekonać po raz ostatni. Ale niestety postanawiają zostać.

Nasz autobus rusza. Ciekawe kiedy dojedziemy na miejsce. Co jakiś czas zatrzymujemy się. Do autobusu od razu podbiega cała chmara sprzedawców owoców, pieczonych kurczaków i... czegoś co ma ogon??? Rety czy to szczury z grilla? A już byłam głodna i chciałam takie pieczone mięsko spróbować, ale ogon mnie zniechęcił...

Po drodze zbaczamy do Savannaketh, gdzie autobus stoi na dworcu przez półtorej godziny. Kurczę nie dotrzemy do Pakse przed północą niestety. Miasto bardzo ruchliwe, na dodatek jest na szlaku handlowym Wietnam – Tajlandia, toteż nawet na dworcu stoją autobusy, które na dachu mają kilkanaście sztuk skuterów. W końcu wyjeżdżamy z tego miasta. Rety w busie cały czas gra głośno muzyka. Jest gorąco. Lepiej się i... czuję że naprawdę śmierdzą na potęgę. Zaczynam mieć dość tej trasy. Udaje mi się w końcu zasnąć. Jednak pół godziny po północy zostajemy obudzeni przez kierowcę busa, który mówi, że jesteśmy w Pakse i mamy wysiadać. Podobno do centrum jest rzut beretem dlatego mamy wysiąść teraz. Musimy szybko się dobudzić, a za oknem ulewa nie z tej ziemi. Szybko zabieramy plecaki z luków bagażowych i pędem pod wiatę, aby nie zmoknąć do suchej nitki. Próbuje się zlokalizować, gdzie jesteśmy i gdzie iść do centrum. Jednak na razie opuszczenie schronienia pod wiatą budzi grozę. Miasto wymarłe, rzadko coś przejeżdża, a my stoimy i czekamy aż ulewa zelżeje.

Po godzinie czekania deszcze zelżał, zbieramy się i szukamy drogi do centrum. Udaje nam się ustalić dobra drogę, ale zostajemy zatrzymani przez policjantów, którzy sprawdzają co tu robimy w środku nocy. Po 15 minutach docieramy do Guest Housu Sabadii², ale bramy zamknięte na trzy spusty. Wszyscy śpią, poza tym stoi dykta z ogłoszeniem, że wolnych miejsc brak. Szukamy w takim razie najbliższego noclegu. Całe szczęście, że jest zaraz za rogiem. Musimy teraz zbudzić obsługę, aby dała nam pokój. Tutaj też wszystko zamknięte. Pukamy stukamy i uff, ktoś jednak wstaje. Hurra, mamy pokój, jest łazienka... mogę się umyć i dosłownie wałnąć spać...

10.07.2009 (piątek)

Wstajemy o 8:30. Jak dobrze czuć się wyspanym, szkoda, tylko, że w pokoju tak strasznie gorąco. Szybki prysznic i możemy wyjść zobaczyć miasto. Pakse jest średniej wielkości, ważnym miastem południowego Laosu przy ujściu rzeki Done do Mekongu, założone w 1905 roku przez Francuzów u podnóża Wyżyny Bolaven. Zamieszkane jest przez około 50 tys. mieszkańców. Poza kolorowym targowiskiem, ma niewiele atrakcji, dlatego większość podróżnych traktuje je jedynie jako stację przesiadkową w drodze pomiędzy Vientiane, a Champasak, czy Si Phan Don (cztery tysiące wysp). Ośrodek handlu regionu rolniczego (uprawa ryżu, tytoniu, herbaty i bawełny). Jako ciekawostkę podaje się, że w mieście znajduje się drugi po stolicy browar piwa BEER LAO.

Swoje pierwsze kroki kierujemy do polecanej w przewodniku kawiarni Delta Coffee, gdzie podają kawę różnych gatunków, pochodzącą z pobliskiej plantacji. Zresztą paloną kawę w paczkach, jak i herbatę można kupić również w tej kawiarni. Zamawiamy smaczne śniadanie, a potem nie spiesząc się wracamy z powrotem do naszego pokoju aby zrobić gigantyczne pranie. Powoli kończą nam się ubrania.

Koło 11 tuk tukiem jedziemy na mały dworzec przy tutejszym markecie. Wsiadamy do busa jadącego do Champasak. Rusza idealnie w samo południe. Oczywiście zatrzymuje się przy każdej

możliwej sposobności. Przejazd 35 km trwa grubo ponad godzinę. Gorąco dzisiaj nie z tej ziemi, na niebie chmur brak. W Busie klimatyzacji brak, jedyne co nas trochę orzeźwia (o ile o orzeźwieniu można mówić) to powiew powietrza przez okno, gorzej jak się tak w kółko musimy zatrzymywać. Przylepiam się już do siedzenia. Dojeżdżamy do promu na Mekongu. Nasz bus zatrzymuje się i... nigdzie nie rusza. Ludzie czekają. W tym czasie pojawiają się krążący sprzedawcy, a to zupkę w woreczku, inny napoje z lodem, albo też przekwitnięte kwiaty lotosu, z których tutejsi mieszkańcy wydłubują ziarenka i je jedzą. Jakies dzieci kąpią się w wodzie Mekongu, nic nie robiąc sobie z panującego tutaj ruchu samochodów i promu.

Czekamy i czekamy prom się zapełnia. Busiki, trucki itp., które przyjechały za nami wjeżdżają na prom, a my nie. Czas ucieka niemiłosiernie, potem będzie późny powrót, co po zmroku może być bardzo trudne. Postanawiamy nie czekać, tylko opuścić autobus i przesiąść się na prom i płynąć z nimi. Przekraczamy Mekong na drewnianym promie, gdzie praktycznie każdy metr powierzchni jest zajęty, jak nie przez trucki z towarami, to tobołki i ludzi. Sprzedawcy płyną razem z nami. Można nawet kupić lody gałkowe... Dopływamy na drugi brzeg i jesteśmy w Champasak. I tu zaczynają się problemy. Niestety do świątyni trzeba wynająć tuk – tuka, ale znalezienie jakiegoś graniczy z cudem, w końcu jest jeden, ale musimy się targować o jego cenę. Przeplacamy ale co zrobić skoro niczym innym nie da się dojechać, no chyba, że rowerem, ale nie wiem czy przy takim skwarze dalibyśmy radę. W między czasie przy pobliskiej świątyni pstrykam zdjęcia pasącym się tam bawółkom. Fajne są. Całe rodзинki wielopokoleniowe tutaj mają właśnie chwilowe pastwisko. Te z wielkimi rogami wyglądają raczej mało przyjaźnie.

Wsiadamy do tuk – tuka i jedziemy. Miejsowość bardzo senna. Ludzie snują się po polach, ale siedzą po domach. Bawoły na polach taplają się w błotnistych dołkach.

Champasak jest bardzo małym, sennym, ale dość przyjemnym miasteczkiem, z wieloma hotelikami nad brzegiem rzeki i laotańsko-kolonialną architekturą. Champasak to nic więcej jak jedna droga, piejące koguty, przechadzające się krowy, 2 - 3 wiejskie sklepiki, bank i kilka hotelików. Nie byłoby powodu aby tu przyjeżdżać gdyby nie oddalone o 8 km ruiny kompleksu świątynnego Wat Phu. Dojeżdżamy do Wat Phu, najpierw zwiedzamy lokalne muzeum z cenniejszymi eksponatami znalezionymi w okolicach świątyni.

Champasak zbudowane zostało przez Khmerów między VIII a XIII wiekiem u podnóża góry Phu Kao. Stylem nawiązuje do oddalonego o zaledwie 130 km na południe Angkor Wat w Kambodży. Królestwo Chenla wraz ze świątynią stało się w IX wieku częścią potężnego imperium Angkor. Bogaci kupcy z miasta Shrestapura nad Mekongiem rozbudowali Wat Phu w XI wieku i do dziś można podziwiać pozostałości tej wspaniałej świątyni poświęconej Sziwie. Niestety niewiele obiektów przetrwało próbę czasu i teraz podziwiać można jedynie liczne ruiny, z kilkoma zaledwie obiektami, przypominającymi budynki. Zdaniem ekspertów z UNSECO obiekt jest na tyle cenny i ważny że wpisano go na Światową Listę Dziedzictwa.

W gruncie rzeczy nie ma tam aż tak wiele do zobaczenia. Idziemy najpierw aleją ze starymi filarami, gdzie po obu stronach znajdują się sztuczne zbiorniki wykopane przez Khmerów ponad 1000 lat temu zachowały się do dziś. Całość kompleksu położona jest na zboczu wzgórza i składa się z trzech wyraźnych poziomów. Na najniższym znajdują się najlepiej zachowane pozostałości dwóch budynków mających niegdyś służyć rytuałom religijnym.

Najokazalsza część świątyni znajduje się na wzniesieniu i jest całkiem nieźle zachowana. Jest niemal mniejszą kopią świątyń z Angkoru z dobrze zachowanymi wizerunkami bóstw, zdobieniami ścian i płaskorzeźbami. Pokonuję powykrzywiane, kamienne schody w promieniach popołudniowego słońca. Skwar i wspinaczka wysysają ze mnie litry potu. Kiedy dochodzę na szczyt mam wrażenie, że zaraz dostanę zawału serca. Ratuje mnie coca cola, która sprzedaje stara kobiecinka. Dzisiejsza temperatura i wilgotność są makabryczne. Widok z górnej partii kompleksu jest nagrodą dla każdego turysty. Co więcej, można stamtąd podziwiać szeroką panoramę, płaskiej jak stół okolicy. Można tutaj również skorzystać ze świętego źródła wypływającego ze skał, czy też podejść kawałek boczą ścieżką pod głaz zwany słoniowym, gdyż kilkaset lat temu ktoś

wyrzeźbił na nim podobiznę słonia. Turystów tutaj jak na lekarstwo.

Mimo wszystko, kompleks jest całkiem interesujący i ma fajny klimat, choć w porównaniu z Angkor Wat wypada raczej blado.

Wracamy do tuk – tuka. Kierowca na nas czekał śpiąc w cieniu drzewa. Po pewnym czasie docieramy do przystani promowej, ale niestety właśnie widzimy jak prom odpłynął. Kurczę spóźniliśmy się, teraz trzeba będzie czekać jak zabierze się po drugiej stronie, wróci i zbierze się po raz kolejny. Miejscowi każą nam iść na małą przystań obok świątyni, że tam można również przepłynąć na drugi brzeg. Jednak jest to przeprawa łódkami i żądają ceny z kosmosu, aż tak nam się jeszcze nie spieszy. Idąc przez teren świątyni trafiamy na małą próbę walki kogutów. Kilku mnichów się przygląda jak koguty ze sobą walczą. Chuderlawe te koguty...

Po niespełna godzinie czekania przy przystani, wypiciu kolejnej butelki napojów, prom odpływa i my wraz z nim. Jakoś tym razem nikt nas nie zaczepia abyśmy płacili za bilet. Hmm, czy zakupienie go w drodze do było równoznaczne z pokonaniem drogi z?

Na drugim brzegu czeka nas niemiła niespodzianka. Transportu brak. I to dosłownie jakiegokolwiek. Jest już godzina 17, czyli za godzinę będzie się zmierzchało. Miejscowi chcą od nas 150 000 kipów za zawieszenie do Pakse. Bez sensu my tu przyjechaliśmy za 40 000. Cóż nie pozostaje nam nic innego jak wracać stopem. I jest to strzał w dziesiątkę. Machnęliśmy raz i zatrzymał się minicieżarówka. Ale ekspresowo!!! Sympatyczny Laotańczyk, który za cenę paliwa czyli 30 000 kipów zabierze nas do Pakse. Cały czas gada do nas po angielsku, ale retę rozumiemy go piąte przez dziesiąte. Co on tam mówi, to tylko wróżka by wiedziała. Ale niech tam jedziemy przecież, a gość najwidoczniej jest strasznie zadowolony, że może sobie poćwiczyć język.

Po drodze zatrzymujemy się na targu, bo Laotańczyk ma jeszcze doz robienia zakupy. Korzystamy, aby również przejść się i zobaczyć taki całkiem lokalny targ. My też jesteśmy obiektem zainteresowania tutejszych mieszkańców. Odnajdujemy tu żaby w miskach. Każdy rozmiar żab jest posortowany do odpowiedniej miski. Oczywiście są żywe. Można też sobie kupić gigantyczną jaszczurkę (czy coś w tym stylu), robię sobie z nią zdjęcie trzymając za ogon, a ona łypie na mnie oczami, kurczę trafi na czyjś talerz. Są tu też inne zwierzątka do kupienia, ale pierwszy raz takie widzę, coś w rodzaju świnki morskiej wielkości kota, z brązowym futerkiem i ogonem. To chyba te stworzonka pieczone na grillu serwują sprzedawcy przy autobusach. Hehe a ja myślałam, że szczury. Chociaż licho to wie...

Koło 18:00 docieramy do guest housu. Kierowca ciężarówki podwozi nas pod samą bramę, bo okazuje się, że dosłownie kawałek dalej mieści się jego biuro, gdzie pracuje w departamencie ochrony środowiska. Szkoda, że tak fatalnie mówi po angielsku można byłoby się dowiedzieć ciekawych rzeczy.

Odwiedzamy też kilka razy guest house Sabadi 2, który był zamknięty jak przyjechaliśmy do Pakse. Tutaj mieści się małe centrum turystyczne i chcielibyśmy wykupić małą wycieczkę na płaskowyż Bolaven. Jednak prowadzący za każdym razem ze szczerym uśmiechem twierdzi, że jesteśmy jedynymi, którzy chcą jechać mikrobusem. Najlepiej podobno wynająć skuter i pojechać, no może i tak, ale jeszcze trzeba umieć na nim jechać...

Na obiad, czy kolację udajemy się ponownie do Delty, gdzie zjadamy pysznego steka w sosie z zielonym pieprzem. Jak dla nas bardzo tani. Heh być może dlatego, że to stek z takiej świnkopodobnego zwierzątka? Chyba lepiej nie wiedzieć.

Wracając mijamy dom w którym trwają przygotowania do uroczystości pogrzebowych. Widać pamiątkowe zdjęcia – portrety zmarłego, stawiane są stoły. Kawałek dalej placyk wciśnięty pomiędzy dwa budynki na którym mężczyźni grają w kule. Petanque to tradycyjna gra francuska, która polega na rzucaniu stalowymi kulami (franc. "boule" - kula) o średnicy od 70,5 do 80 mm i ciężarze od 650 do 800 gram, w kierunku małej kulki o średnicy od 25 do 35 mm nazywanej "prosiaczek" (lub świnka, buszon). Rozgrywka toczy się na utwardzonej ziemi (skwery, alejki w

parku), albo na żwirze, drobnych kamieniach. Teren na którym toczy się pojedynek rangi turniejowej powinien mieć wymiary 15x4 m.

Petanque jest sportem rozgrywanym przez dwie drużyny lub dwie osoby:

- w dwóch zespołach trzyosobowych - "triplet" grający używają po dwie bule,
- w dwóch zespołach dwuosobowych - "dublet" grający używają po trzy bule,
- jeden gracz przeciw jednemu graczowi - "singiel" grający używają po trzy bule.

Podczas rozgrywki każdy gracz stara się umieścić swoją bułę jak najbliżej świnki (dozwolone jest także przepychanie (wybijanie) kul przeciwnika). Po wyrzuceniu wszystkich kul, określa się której drużyny bule są najbliżej celu (świnki) i ile ich jest. Tyle ile kul jednej drużyny jest bliżej celu od najlepszej kuli drużyny przeciwnej, tyle punktów zdobywa drużyna. Wygrywa drużyna, osoba, który pierwsza zgromadzi 13 punktów.

Tu pogrzeb, tam gra w kule... ot i cała Azja.

Wieczorem mam pierwszą małą biegunkę. To chyba daje o sobie znać mleczny shake ze smocznego owocu, który piłam do obiadu....

11.07.2009 (sobota)

O 5 rano budzi mnie ulewa za oknem, no tak przecież wczoraj nie spadła ani kropelka. A tu nasze pranie wisi na sznurkach wokół budynku. No cóż nie chce mi się wstawać i je zbierać bo zapewne zmokło już ile wlezie. Trudno będzie schłó w ciągu dnia. Do 6 rano grzmi, a potem się uspakaja. Na dodatek Paweł wstaje co chwilę, bo teraz on ma biegunkę. Chyba jednak steki nam poszkodziły...

Kiedy wstajemy po deszczu nie ma śladu. Nasze pranie ktoś z obsługi schował przed deszczem pod daszek i teraz jest suche.

Jedziemy na market poranny, który podobno jest tutaj największy. Kupujemy suche bagietki na śniadanie. Stąd mieliśmy jechać na płaskowyż Bolaven miejscowym transportem, ale okazuje się, że stąd nic nie jeździ. Musimy skorzystać z tuk – tuka i udać się na dworzec południowy. Kiedy tam się zjawiamy, od razu jesteśmy zaczepieni przez kierowcę, który z chęcią nas zabierze, ale za przejazd chce aż 70 000 kipów. Zwariował krótko mówiąc, nie jesteśmy Amerykanami, Anglikami czy Niemcami, aby dać się złapać na takie ceny. Po chwili znajdujemy inny truck, sadowimy się na miejsce, a tu zjawia się ten pierwszy i proponuje 30 000, ale teraz to my już mamy go w nosie.

Po dziesięciu minutach ruszamy wraz z kilkoma innymi podróżnymi. Jednak szczęście nam dzisiaj nie dopisuje. Od samego rana jest jak po grudzie. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów z samochodem dzieje się coś niedobrego. Zjeżdża na pobocze, coś pod samochodem pękło. Po 45 minutach grzebania pod samochodem kierowca ma całe ubranie, włosy w oleju. Wygląda makabrycznie. Jak widać awaria poważna i na oko to szybko nie zostanie usunięta. Postanawiamy wręczyć mu 10 000 i złapać inny transport. W międzyczasie nasza ciężarówkę mijają swoim samochodem ten pierwszy gość co chciał nas wieźć i z uśmiechem na twarzy coś tam wyrzaskuje o falangach, czyli o obcokrajowcach. Domyślamy się, że nie jest to nic przyjemnego, zapewne cieszy się, że nas los pokarał. Skoro nie chcieliśmy jechać z nim to dobrze nam tak, że samochód się zepsuł. No ale na szczęście łapiemy stopa i to darmowego. Na pakę ciężarówkę zabiera nas rodziną wracająca z targu i o dziwo nie chcą nic za podwiezienie. No to super. Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło.

Ciężarówka cały czas jedzie lekko pod górę, wspinając się na płaskowyż Bolaven. To żyzny płaskowyż wznoszący się 1500 metrów ponad dolinę Mekongu; ma charakterystyczny łukowaty kształt, a pokrywają go malownicze lasy i pola ryżowe, i przecinają rwące rzeki, miejscami

tworzące urokliwe wodospady. Kiedy jesteśmy coraz wyżej znikają pola ryżowe, a w ich miejsca pojawiają się koleje plantacje kawy. Obszar ten zamieszkują liczne grupy etniczne i plemiona. Ciągące się wokół Paksongu plantacje to jedno z ciekawszych miejsc południa kraju, szczególnie jeśli spacer po nich połączy się z oglądaniem wodospadów Tat Fan. Francuzi wiele lat temu założyli tu plantację kawy, a plemiona Laven, Alak i Katu uprawiają tę wyśmienitą kawę do dziś. Do tego, jako że zbieraniem nasionek zajmują się raczej indywidualni, że tak powiem, producenci, niżli korporacje obszarników, sadza się dla oszczędności miejsca, drzewka kawowe razem z herbacianymi, przez co sprytnie rozwiązany zostaje odwieczny problem pt. kawa czy herbata? Specyficzny klimat tego regionu sprzyja uprawie herbaty i kawy. W tym regionie można pić kawę z ziaren drzewa kawowego z których uzyskuje się ową wyśmienitą, tu podawaną z zagęszczonym mlekiem, ciecz.

Kiedy tak sobie jedziemy mijamy kolejne małe wioski, gdzie ludzie na straganach sprzedają całe góry wybornych ananasów i... durianów. Na te owoce w Laosie jest chyba sezon. Są na każdym targu co widać i... czuć. Jadąc przez wioski widać ich całe masy, swoją drogą ciekawe kto to kupuje. Wszędzie dookoła ciągnie się lekko kanalizacyjna woń tych owoców. Skoro jest ich na straganach dużo, to... muszą gdzieś w pobliżu rosnąć! Zaczynam się rozglądać dookoła i są!!! Są drzewa. Jestem zaskoczona tym, że: po pierwsze rosną przy drodze (ach ten smrodek) obok chat, a po drugie są to drzewa liściaste o wysokości nawet do 50 metrów!!! Jestem zdzwoniona, a ja myślałam, że rośnie na palmie... szkoda słów...

Durian (zybuczkowiec właściwy) to olbrzymie drzewo, o bardzo imponujących owocach. Owoce durianu, owalne, pokryte grubymi kolcami, mogą mieć 30 cm długości i 15 cm średnicy, no i odpowiednią masę - mogą ważyć ponad 2 kg, tak że przebywanie pod drzewem owocującym jest bardzo niebezpieczne. Sam owoc to torebka pięciokomorowa, w każdej komorze znajduje się kilka nasion wielkości kasztanów otoczonych kleistą, budyniową osnówką. I właśnie ta osnówka przyciąga smakoszy. Różne są opisy smaku durianu i rozkoszy związanych z jego jedzeniem. Mówi się: „Smak mięszu jest niezwykle wykwinny. Można w nim doszukać się smaku sera śmietankowego i migdałów, sosu cebulowego i sherry. Mięsz rozpływa się w ustach. Im więcej się je duriana, tym trudniej jest się go wyrzec”. Krajowcy popełniali morderstwa dla zdobycia tych owoców. Ale to opis bardzo stonowany. Spotkać można inne opisy, np. powiada się, że spożywanie duriana to „jak jedzenie różowego, słodkiego budyniu w ustępie”. Innym zapach durianu przypomina ścieki, w najlepszym razie zapach nie wietrzonego schowka na ubrania przy sali gimnastycznej. Inny podróżnik mówi dosadniej - odór onucek i odchodów zwierzęcych. Pewnemu dziennikarzowi zapach durianu przypomina przejrzały ser, zgniłą rybę, brudne skarpetki i miejskie wysypisko śmieci w upalny dzień tropikalny. Wszystko to ma jednak swój biologiczny sens. I to jest właśnie durian – król owoców.

Po przejechaniu w sumie ok. 38 km docieramy do znaku na Tad Fane. Żegnamy się z rodziną Laotańczyków i maszerujemy drogą ok. 1 km w stronę wodospadu. Robi niezłe wrażenie, bo jest podwójny i bardzo wysoki – ma około 120m. Punkt widokowy jest jednak dość oddalony od wodospadu i nie widać gdzie wodospad spada. W tym miejscu mam wrażenie, że jest jakaś ogromna szczelina, gigantyczny kanion, który przecina płaskowyż i wody spływają do jego wnętrza. Mimo oddalenia słychać huk spadającej wody, która rozbija się o skały. Przysiadamy na chwilę w tutejszej restauracji, wypijamy colę i ruszamy z powrotem do drogi. Jednak zahaczmy jeszcze o lokalny market, na którym miejscowa ludność sprzedaje kawę i herbatę. Targujemy się i kupujemy całkiem sporą ilość torebek. Herbata pakowana jest do woreczków w zależności od wielkości listków. Jedna jest z młodych (droższa) inna ze starszych, a więc tańsza. Przyglądam się okolicznym plantacjom. Na tym samym polu są i kawa i herbata. Przy plantacjach stoją domy właścicieli, a na podwórkach wszędzie sadzonki nowych drzewek. Kawę rosnącą widziałam już w Indonezji, ale herbatę, tak z „bliska” widzę po raz pierwszy.

Na drodze do Pakse siedzimy ze 45 minut. Żaden truck nie jedzie w naszą stronę, za to wszystkie jadą w przeciwną. Co tu się dziwić na wielki targ w Pakse jechali rano teraz każdy po dniu sprzedaży wraca do domu. Hehe w końcu nawet mija nas ciężarówka, która jechaliśmy, czyli

ta co się zepsuła. Jak dobrze, że pojechaliśmy dalej sami, bo z tego wynika, że musieli ją jeszcze ze dwie godziny naprawiać...

Uff jest w końcu coś co nas zabiera do Pakse. Na dodatek zawozi nas nie na odległy od miasta dworzec, tylko prosto na postój busów i ciężarówek przy dużym markecie. Paweł wraca do pokoju w guest house, bo dalej źle się czuje, a ja jeszcze z dobrą godzinę busuję sobie pomiędzy stoiskami targu, gdzie najfajniejsze są żywe żabki powiązane za nogi do sznurka po 10 sztuk. Mimo popołudniowej pory ruch na targu spory. Można tu kupić dosłownie wszystko, od ubrań, przez wiaderka z całym zestawem czyszczącym jako komplet, po owoce i warzywa, a także mięso: ryby, ślimaki, są też gigantyczne ropuchy, oraz dziwne breje rybne. Ryby leżą w najlepsze na workach na ziemi... Na stoiskach są też wywieszone kielbaski... ciekawe z czego. Wszędzie tam gdzie jedzenie, a głównie mięso, roi się od much. Maja tutaj na to patent. Każdy sprzedający na patyczku ma związany woreczek i cały czas tym macha odganiając owady. Jest tu również część „barowa”, gdzie można coś przekąsić na kilkunastu stoiskach. Wszystko na wynos pakowane jest do woreczków, włącznie z napojami, które pije się przez słomki. W Indochinach słomki mają różnej długości, natomiast w Indonezji miały rozmiar uniwersalny i nie dało się nigdy tam pić coli z butelki przez słomkę, bo miała ona dokładnie taką samą długość, co wysokość butelki. Podobają mi się też stoiska z pieczywem. Sprzedawcy mają tu w zwyczaju sprzedawać krótkie bagietki. W sumie widać że już pora popołudniowa, bo gdzieś tam właściciele zaszyli się gdzieś w swoim towarze i śpią. Kiedy już się zbieram do powrotu widzę dwie kobiety niosące kosz fasolki szparagowej, która ma po dobre 50 cm długości!!!!

Kiedy mam już dość plątania się po bazarze łapię 1-osobową rykszę i bez targowania, zostaje odwieziona pod guest house.

Wieczorem Paweł wstaje i idziemy na kolację do Delta Coffee. Jem ryżowy makaron z mięsem i zielonymi warzywami, a Paweł niestety tylko ryż. Potem wracamy do pokoju. Jest już dość późno, a ja siedzę i na schodkach do naszego parterowego domku uzupełniam moje zapiski. Zaczyna grzmieć i błyskać się, potem pada. Oczywiście najpierw dwie krople a potem zaraz ulewa. Po co ostrzegać i tak jest przecież ciepło. Na szczęście tym razem bardziej postraszyło grzmotami i błyskawicami niż popadało na serio. A szkoda, oczyściłoby choć trochę te duchotę powietrza, tym bardziej, że w pokoju mamy niczym w saunie. Nie będę mogła zasnąć...

12.07.2009 (niedziela)

Wstajemy o 7 rano, w budce przy drodze zakupujemy bagietki faszerowane kurczakiem, serkami, sałatą, marchewką i licho wie czym tam jeszcze i idziemy do Sabadi 2, gdzie wykupiliśmy wczoraj transport minibusem na południe Laosu. Przed nami Si Phan Don, co oznacza cztery tysiące wysp. Zapakowaliśmy się do minibusa wraz z czterema innymi obcokrajowcami. Busik przejechał... 300 metrów i wszystkich wysadził przed agencją turystyczną i kazał czekać. Po kilkunastu minutach przyjechał drugi minibus, do którego wsiedliśmy w 9 osób i ruszyliśmy (oczywiście obowiązkowo przejeżdżając obok Sabadi 2...)

Przed nami jakieś 150 km i około 2,5 godziny jazdy. Towarzystwo dość sennie. Intrygującą rzeczą w samochodzie jest to, że w miejscu lusterka nad przednią szybą znajduje się... mały telewizorek! Kierowca włączył nam teledyski. Hmm ciekawa rzecz, ale tylko dla pasażerów... bo kierowca to raczej niewskazane aby oglądał kierując... Przez całą drogę obserwuję to co za oknem, a tam niezmiennie pola ryżowe i małe wioski. Jednak pojawiają się na pola dziwne kopce. Przypominają trochę terminitiery. W końcu dojeżdżamy na brzeg Mekongu, gdzie najbliżej jest do największej wyspy Don Khong. Don Khong jest największą i najbardziej zurbanizowaną wyspą, ma elektryczność 24 godziny na dobę i jeżdżą po niej nawet samochody. Tutejsze hotele mają

najwyższy standard z całego Si Phan Don. Tutaj wysiada parę osób, a my śmigamy dalej. Droga z Pakse na południe jest zadziwiająco dobra i jadąc minivanem możemy dotrzeć bardzo szybko. Lokalny transport, zatrzymałby się sto razy i co najmniej raz zepsuł.

Po 2,5 godzinach jazdy i pokonaniu odcinka specjalnego – ostatni kilometr to wertepy - wysiadamy w Nakasang, skąd odpływają łódki na Don Det i Don Khon.

Kiedy przyjeżdżamy na przystanie właśnie trwa wyładunek ogromnych ryb z Mekongu. Większość z nich ma co najmniej pół metra długości. Wsiadamy do drewnianej łódki, bagaże jakoś są też dopchane i płyniemy po Mekongu. Gdziekolwiek nie spojrzeć na rzece znajdują się mniejsze lub większe kępy czegoś co przypomina wysepki. Po 15 minutach przybijamy do wyspy Dom Det, gdzie wysiada większość osób, a tylko my z Pawłem i jeszcze jedna para płyniemy na mniejsza i mniej turystyczną Don Khon. Kolejny dobry kwadrans i przybijamy do brzegu.

Najpopularniejsze wśród backpackersów, posiadające prostą infrastrukturę ale bardzo malownicze, są połączone mostem małe wysepki Don Khon oraz Don Det. Można się na nie dostać łodzią z Don Khong albo z Ban Nakasang. W okolicy jest jeszcze mnóstwo wysp i wysepek do odkrycia, na niektórych już pojawiły się jakieś formy infrastruktury turystycznej, a na innych pewnie pojawią się wkrótce, bo Si Phan Don zasłuzenie zyskuje na popularności. Chcąc zaszyć się w oryginalnej, dzikiej i głuchej ciszy, z roku na rok turyści poszukują coraz to nowych wysp do odkrycia. Mianem Si Phan Don określa się dość duży obszar obejmujący fragment rzeki Mekong oraz znajdujące się na niej wyspy, których jest podobno aż 4 tysiące. Tylko niewielka część tych wysp jest zamieszkała, ale znajdujące się na nich osady rybackie, wioski, kolonialne budynki, mosty, a także wodospady, oczka wodne, plaże, poletka ryżowe oraz dżungla sprawiają, że jest to jedno z najbardziej malowniczych miejsc w Laosie i w całej Azji Południowo-Wschodniej. W okolicy można spotkać bardzo rzadki okaz delfinów rzecznych Irawadów. Niestety ni będzie mogli ich zobaczyć, bo po pierwsze jest ich mało, a w porze deszczowej przy dużym stanie wody i to na dodatek w odcieniach brązu jest to praktycznie niemożliwe.

Jesteśmy na miejscu, ale sporo czasu tracimy na znalezienie noclegu, bo został nam polecony przez jednego obcokrajowca, jednak niestety nie możemy go odnaleźć. Ostatecznie wybieramy domek na palach z tarasem nad Mekongiem i hamakami. Praktycznie w samym centrum wsi, niedaleko mostu łączącego wyspy Don Khon z Don Det. Nasze noclegowe lokum należy do spartańskich (ale daleko mu jeszcze do spartańskich warunków w Indonezji). W domku na palach znajdują się dwa podobne pokoje. W każdym duże łóżko z moskitiera i jest nawet łazienka dobudowana do pokoju i nawet jakimś cudem jest prysznic, chociaż toaletę trzeba splukiwać zwykłym czerpakiem. Są też żarówki, ale okazuje się, że nie działają, są za to dostępne kaganki..

Jedną z najciekawszych możliwości spędzenia czasu na Don Khon jest leżenie na hamaku, który był jednym z głównych elementów branych pod uwagę przy szukaniu noclegu. Oczywiście Paweł od razu zajmuje jeden hamak i ma wszystko w nosie.

Skoro Paweł postanawia się pobyczyc na hamaku ja ruszam na zwiady po ryżowych polach wyspy. Na każdym poletku pasą się lub też leżą w błotnych kałużach bawoły. Obok domostw tutejszej ludności bardzo często znajdują się ogromnych rozmiarów świnie w łątki. Przywiązane do jakiegoś kołka śpią pod gołym niebem z lekka pochrapując. Nie jest mi niestety dane długo wędrować po polach, bo niestety zaczyna kropić, a chmury na horyzoncie nie zwiastują niczego dobrego. Zapowiada się na sporą ulewę. Wracam więc czym prędzej do Domku na palach. I nagle oberwanie chmury. Cały świat dookoła zrobił się szary... Trwało to około godziny, po czym jak to przy monsunie – wypogodziło się. A my zgłodnieliśmy. Postanowiliśmy poszukać miejsca gdzie można by zjeść obiad. Przez wioskę przechodzi wąska ubita droga, która im dalej od centrum przechodzi w zwykłą ścieżkę. Tu nie ma większego pojazdu niż skuter. W ogóle to wioska z turystami stanowi jakaś dziwną symbiozę. Turyści mają swoje chatki z hamakiem i tarasem wychodzącym nad Mekong, obok nich są chaty mieszkańców, potem idzie droga (ścieżka przez wieś), potem kolejne zabudowania, a za nimi już tylko pola i wnętrza wysepek. Mieszkańcy nic sobie nie robią z turystów i w najlepsze uprawiają pola, pędzą bawoły przez wieś, a turyści się lenią

na hamakach i za to jeszcze płacą.... W wielu miejscach na wyspie można wypożyczyć rower za 1 dolara na cały dzień!!! Mało turystów, to rowery stoją sobie praktycznie bezpańskie. Mieszkańcy nocą śpią w domach na palach, ale dzień spędzają pod swym domem i to dosłownie. Nawet ogródki mają na palach, Niezła rzecz, przynajmniej w czasie wielodniowych deszczy nie zaleje im upraw.

Znajdujemy restauracyjkę w starym budynku z czasów kolonii francuskiej. Zjadam smaczny makaron z kurczakiem w curry. Większość kolonialnych budynków chyli się ku upadkowi, tylko jeden z nich odremontowany jest na hotelik. Obok niego znajduje się klatka z małą o niewiarygodnie długich łapach. Małpka ta robi fenomenalne salta na drążku po czym się puszcza i leci przez całą klatkę łapiąc się wystających belek. I tak w kółko, że też jej w głowie się nie kręci? Po smacznym obiedzie ruszamy z Pawłem na wycieczkę przez wyspę. Chcemy się przejść trasą starej kolei francuskiej. Niesamowite miejsce, gdzieś na wysepkach rozrzuconych po Mekongu znajduje się miejsce, gdzie Francuzi wybudowali most łączący dwie spore wyspy i poprowadzili tędy kolej. Skąd takie cudo w takim miejscu? Prosta sprawa. Mekong nie jest żeglowna rzeką na całej długości. Znajdują się na nim progi skalne uniemożliwiające swobodne płynięcie statków. Stąd też Francuzi kiedy mieli tu kolonię wpadli na pomysł aby statki dopływały w pobliże skalnych progów, tutaj wybudowano port i początek linii kolejowej. Pociągi woziły kilka kilometrów dalej cały towar i po drugiej stronie progów na Mekongu był kolejny port, gdzie znowu przeładowywano towary z pociągu na statek. Do dzisiejszych czasów przetrwał most (obok niego jest budka, bo za jego używanie jest dobową opłatą, obcokrajowcy płacą oczywiście więcej), kilka torów, nasyp ciągnący się pomiędzy portami (a właściwie jego resztki), kilka torów i zardzewiała lokomotywa. Są jeszcze fragmenty nabrzeży portowych.

Idziemy z Pawłem wzdłuż kolei na przeciwny kraniec wyspy. Droga prowadzi nas po licznych kamieniach i jakoś dłuży się niemiłosiernie. Z mapki wynika, że to tylko 3 km a my idziemy już i idziemy. Mijamy najpierw ostatnie osady i pola ryżowe, a potem wchodzimy w obszar lasu, pojawiają się te dziwne kopczyki – termitiery? W końcu pojawia się znak, że do wioski jest 700m super! Jednak idziemy i idziemy i nic! Normalnie jakby jakaś nadprzyrodzona siła rozciągała przed nami drogę w nieskończoność. Znajdują na drodze 10 centymetrowa stonogę, ale nóg ma chyba ze dwieście jak nie więcej. Spotykamy też całą rodzinę bawołów, które wyglądają z zielonej gęstwy liściastych krzaków, jakby miały zapytać, a co was tu przygnało? Od czasu do czasu drogę przelatuje nam ptak z przepięknie kolorowym ogonem.

I nareszcie dochodzimy do wioski, gdzie musi stać mała restauracyjka i możemy napić się zimnej coli w otoczeniu stada pasących się bawołów, z których jeden jest albinosem. Widział ktoś białego bawoła??? I nawet rzęsy ma białe!!! Oglądamy betonowy brzeg, który był kiedyś owym francuskim portem, a po drugiej stronie znajduje się Kambodża. Rozlewiska Mekongu w tych okolicach mają nawet 20 km szerokości! No i to by było na tyle. Trzeba wracać, bo się ściemni, a po tych kamieniach po ciemku nie chciałabym wracać. Dochodzimy do znaku, gdzie było napisane 700m do wsi, a tam ktoś zamazał przed napisalem cyfrę 1, czyli powinno być 1700m... no i wszystko by się zgadzało. Przeszliśmy w jedną stronę dobre 5 km.

Do wsi wracamy około 18 i za chwilę będzie zmierzchało. Czas szybko leci i to czas na kolację. Kierujemy się więc do restauracyjki na ryż z kurczakiem oraz przepyszny sok z limonki i miodu. Kiedy postanawiamy wrócić do naszego domku na palach okazuje się, że jest ciemno, zupełnie ciemno. We wsi panują egipskie ciemności, nie ma tu ani jednej latarni. W niektórych chatkach widać świecące się pojedyncze żarówki. Prąd włączają tu koło godziny 18-19. Wtedy też gekony zaczynają ucztę, bo do światła żarówek lgną wszelkiego rodzaju owady. Ciemno wszędzie, cicho wszędzie więc i my idziemy spać o 21...

13.07.2009 (poniedziałek)

Wyspani do granic możliwości wstajemy o godzinie 8 rano. Za oknem zadziwiająco cicho. W Indonezji już od kilku godzin darłyby się w niebogłosy koguty, ludzie by pracowali, a tu cisza i spokój. Obok naszego domku śpi przywiązana do drzewa świnka. Tuż obok naszego pokoju znajduje się również łazienka sąsiadów, ale nie jest w domku tylko prosto w rzece. Przychodzą tu mieszkańcy pobliskiego domu i myją się czy też robią pranie.

Idziemy na śniadanie. Czekając aż nam je przygotują obserwujemy jak dzieci właścicieli restauracji podjechały wózkiem przywożąc całe w trocinach wielkie bryły lodu. Ciekawe gdzie i jak je produkują... Na dzisiejsze nasze śniadanie składa się pyszna kawa ze skondensowanym mlekiem, bagietka z omletem, a Paweł je naleśnika z bananami.

Po śniadaniu wypożyczamy rowery i jedziemy nad wodospad Lipi, który cały czas słychać w wiosce. Ciekawe w takim razie jak wygląda skoro jego huk niesie się nawet tutaj. Jest to olbrzymia kilkumetrowa skalna kaskada Mekongu jaką wody tej rzeki muszą pokonać. Wystających skał jest sporo, a i wody w porze deszczowej jest dużo, więc rozbija się ona o te skały z potężnym hukiem. W zasadzie nie wiadomo gdzie jest właściwe koryto rzeki, strumienie wody płyną zewsząd. Poślizgniecie się na mokrych skałach, grozi tu utratą życia. Z tej kipieli nikt nie ma prawa wyjść żywy. Dalej jedziemy zobaczyć plażę, ale czy tu ktoś z niej korzysta to szczerze wątpię. Jej brzegi to jeden wielki śmietnik, choć funkcjonują tu dwie knajpki.

Jedziemy dalej, po drodze mijamy dwóch Laotańczyków, którzy ciągną na sznurku gigantycznych rozmiarów świnię, która kwiczy jakby ją obdzierano ze skóry. Ciągną ją z całych sił, bo świnka nie chce przejść przez mostki.

Przejeżdżamy przez most i docieramy na Don Det. Kiedy przypatrujemy się co też ludzie trzymają pod domkami. Okazuje się, że mają tu całkiem niezłe zoo. Można tu znaleźć w klatkach różne kolorowe węże, jaszczurki, czy nawet orłopodobnego ptaka siedzącego na słupku (oczywiście przywiązany).

Don Det jest bardziej turystyczna, chociaż trzeba najpierw pokonać ścieżki na których pasą się bawoły, a ominąć się nie da. Z jednej strony ścieżki chatka, z drugiej już rzeka, a bawoły stoją i się gapią. I jak je minąć? Te ich rogi jakoś mnie odstrasza. Im bliżej przystani na Don Det, tym coraz więcej domków na palach dla turystów, restauracyjek. Jest też nawet kawiarenka internetowa, ale cena jest cztery razy wyższa niż na lądzie. Zjadamy obiad w jednej z knajpek – ryżową zupę z kurczaka. Jako napój piję coś w rodzaju mojito ale bez alkoholu.

Muszę tu napisać o ryżu. W Azji jada się tzw. STICKY RICE, czyli kleisty ryż. Gotując ryż normalnie w gorącej wodzie wygotowuje się z niego wszystko to co w nim najcenniejsze: witaminy, minerały, błonnik, smak i aromat, zamieniając go najczęściej w bezwartościową papkę. Najlepiej ryż gotować na parze. No ale z tym parowaniem ryżu to nie taka prosta sprawa jak się okazuje. Ryż po procesie produkcyjnym pokryty jest pyłem skrobiowym który pozostawiony na nim podczas przygotowywania zamieni się w klej i nada mu lekko “papierowy” aromat. Tak więc pierwszą czynnością jaką trzeba wykonać jest kilkunastominutowe moczenie ryżu w zimnej wodzie i kilkukrotne dokładne płukanie tak aby się pyłu pozbyć. Niektóre rodzaje ryżu namacza się kilka godzin, jaśminowemu najczęściej wystarcza kilkanaście minut. Następną czynnością jest odcedzenie ryżu, przeniesienie do garnka, zalanie go wodą tak aby nad powierzchnią ryżu znajdował się 1 cm wody, przykrycie pokrywką z małą dziurką (lub zostawiając mały lufcik), doprowadzenie do zagotowania, przemieszanie, zmniejszenie płomienia na minimalny i cierpliwe odczekanie około 30 minut aż większość wody wyparuje. Bardzo często używa się do tego małych bambusowych pojemniczków, w których ryż pęcznieje.

Wracamy na Don Khon. I leżymy w hamakach. Ktoś wprowadza się do pokoju obok. A nad wyspami rozpętuje się nieziemska ulewa z grzmotami i błyskawicami, aż musimy schować się w pokoju i przez okno obserwować to zjawisko. Zostając na tarasie bylibyśmy cali mokrzy, tak zaczyna deszcz.

Wychodzimy około 17:30. W restauracji u właściciela kupujemy bilety na jutro do Phnom

Penh. Po czym idziemy jeszcze brzegiem na drugą stronę wioski. Dochodzi 18 więc miejscowa ludność przed zapadnięciem zmroku zaczyna masową kąpiel w wodach Mekongu. Kobiety zamotane w materiały kąpią się w rzece i robią pranie. Powoli zaczyna padać, ale udaje nam się dojść do resztek francuskiego muru pomiędzy wyspami i niestety trzeba zawracać. Cali mokrzy oddajemy rowery i idziemy na kolację. Ostatnia kolacja na wyspach i w Laosie to bananowo – limonkowy shake (będzie sraczka?) oraz ponownie ryż z kurczakiem w curry. Po kolacji pijemy ostatnie laotańskie Beer Lao. Na koniec jeszcze trzeba jakoś wrócić do chatki nie moknąc doszczętnie i nie wpadając we wszystkie błotniste kałuże po drodze. Jutro czeka na Kambodża....

14.07.2009 (wtorek)

Wstajemy o 7 rano i z plecakami idziemy na śniadanie, a potem zostajemy wsadzeni do łódki i płyniemy do Nakasang razem z nami dwóch Kolumbijczyków, którzy są w podróży dookoła świata i Francuzka. W Nakasang na przystani o poranku trwa wyładowywanie ryb. W życiu nie widziałam tak pełnych koszy z tak dużymi rybami. Nasz gość z restauracji u którego kupiliśmy bilety do Kambodży pakuje nas do minibusa. Wraz z innymi dziesięcioma osobami jedziemy na granicę.

Do granicy stąd jest niespełna 20 km. Kiedy dojeżdżamy na miejsce, przejście okazuje się być bardzo skromnym, kilka budek ot i cała granica. Jednak formalności to już wcale nie taka prosta droga. Okazuje się, że aby wyjechać z Laosu trzeba uiścić opłatę 2 dolarów od osoby, ale żeby dostać możliwość wjazdu do Kambodży należy wrzucić do nesesera kambodżańskiego pogranicznika kolejnego dolara. Ciekawe czy to idzie do jego kieszeni? Z każdym obcokrajowcem w otwartej walizce przybywa dolarów... Jakby tego było mało, z tej budki należy udać się do kontroli zdrowotnej. Przed barakiem w białym kitlu siedzi kambodżański „kontroler” (lekarzem chyba nie jest), który wręcza kartkę do wypełnienia. Na niej trzeba zaznaczyć gdzie się ostatnio przebywało i czy nie było żadnych dolegliwości zdrowotnych. Po czym czyta kartkę, wchodzi do budynku i po chwili przychodzi z żółtymi świstkami, które są informacją, że jesteśmy zdrowi, i... musimy zapłacić 5000 kipów. Jak dobrze, że nie musimy tu wyrabiać wizy... W ogóle to przejście graniczne jak wymarłe, nic tu nie jeździ. Całe szczęście, że kupiliśmy bilety do stolicy a nie do granicy, bo nie mielibyśmy możliwości wydostania się stąd.

Po zakończeniu wszystkich formalności możemy zapakować się do autokaru, który już czeka na wszystkich obcokrajowców. Bagaże podróżnych zostają umieszczone na tyłach pojazdu, cała góra plecaków. Zajmujemy miejsca i możemy jechać do stolicy Kambodży. Autobus mimo dumnej nazwy Ekspres Bus jest zdezelowanym gratem. Wszystko się w nim rozlatuje. Może ekspres to on będzie, bo przecież wiezie obcokrajowców więc nie będzie musiał zatrzymywać się co 100 metrów. Jest 10:45 kiedy opuszczamy przejście graniczne. Autobus pruje dość szybko zważywszy na panuje warunki na drodze, czyli brak asfaltu tylko rozjechana czerwona gleba. Wszystko się w busie telepie. Cud, że sam się nie rozleci na drodze. Jedziemy przez dwie godziny i praktycznie za oknem nic ciekawego nie ma zmienił się krajobraz na wielką nizinę Mekongu, ale osad jest tu bardzo mało, ruch na drodze zerowy...

Kambodża, Królestwo Kambodży w latach 1976-1989 Kampucza – państwo w południowo-wschodniej Azji, na Półwyspie Indochińskim, nad Zatoką Tajlandzką. Graniczy od zachodu i północy z Tajlandią (długość granicy – 803 km), od północy z Laosem (541 km), a od wschodu z Wietnamem (930 km).

75% powierzchni kraju zajmuje równinna, aluwialna Nizina Mekongu, wypełniająca stare zapadlisko tektoniczne osadami czwartorzędowymi. Przez jej wschodnią część przepływa główna rzeka kraju Mekong, a w zachodniej części leży rozległe jezioro Tonle Sap. Na południowy wschód od równiny leży wierzchołek delty Mekongu, rozciągającej się na terytorium Wietnamu w kierunku

M. Południowochińskiego. Centralna równina oraz delta otoczone są pasmami górskimi od południowego zachodu (Góry Kardamonowe i Góry Słonia oraz od północy Góry Dangrek). Góry Kardamonowe (najwyższy szczyt kraju – Aural 1771 m n.p.m.) i Góry Słonia tworzą naturalną barierę fizycznogeograficzną ciągnącą się wzdłuż całego wybrzeża (małe przybrzeżne wyspy, największa w zatoce Kompong Som). Góry Dangrek stanowią naturalną północną granicę kraju. Na wschód od Mekongu teren stopniowo podnosi się w kierunku Gór Annamskich. Pomiędzy obszarami góorskimi a równiną centralną rozciąga się równinny obszar przejściowy o średniej wysokości nieprzekraczającej 200 m n.p.m. Góry Kardamonowe – zrębowe pasmo górskie w Azji Południowo-Wschodniej, na Półwyspie Indochińskim, w południowej Kambodży i południowo-wschodniej Tajlandii.

Góry ciągną się przez 400 km wzdłuż wybrzeża Zatoki Tajlandzkiej, zamykając od zachodu Nizinę Mekongu. Cechują się rzeźbą średniogóorską, ich kulminacja – Aural (1813 m n.p.m.) – stanowi najwyższe wzniesienie Kambodży. Położone są w strefie klimatu zwrotnikowego monsunowego, porośnięte wiecznie zielonym lasem równikowym. Południowo-wschodnim przedłużeniem Gór Kardamonowych są Góry Słoniowe, uważane czasem za ich część. W górach ma miejsce eksploatacja drzewa tekowego, w niższych partiach występują obszary uprawne, kardamonu i pieprzu.

W Kambodży panuje klimat zwrotnikowy monsunowy z wyraźnym podziałem na dwie główne pory roku: suchą i deszczową. Wiejący od połowy maja do połowy października południowo-zachodni monsun przynosi ulewne deszcze. Od początku listopada do połowy marca słabe wiatry północno-wschodnie. W porze tej zachmurzenie jest zmienne, wilgotność powietrza niska, a deszcze padają sporadycznie. Średnia temperatura miesięczna waha się od 21°C w grudniu do 30°C w maju. Średnia temperatura roczna na terenach nizinnych wynosi ok. 25°C. Temperatury są najwyższe tuż przed rozpoczęciem pory deszczowej i mogą przekraczać 38°C. Najwyższe opady atmosferyczne notuje się na eksponowanych w kierunku morza stokach górskich (5000 mm), a najniższe na nizinnych obszarach centralnych (750-1400 mm). Średnia roczna suma opadów wynosi 1000-2000 mm. Ponad 70% przypada na okres wilgotnego letniego południowo-zachodniego monsunu.

Sieć rzeczna Kambodży jest dobrze rozwinięta. Prawie cały obszar kraju znajduje się w dorzeczu Mekongu. Dział wodny I stopnia stanowią pasma Gór Kardamonowych i Gór Słonia. Rzeki na wschodnich zboczach tych gór spływają do jeziora Tonle Sap, a na zachodnich do Zatoki Tajlandzkiej. Ośią hydrograficzną kraju jest Mekong płynący na terenie Kambodży w kierunku południowym na odcinku ok. 500 km. Drugim ważnym elementem hydrograficznym kraju jest Tonle Sap o powierzchni od 2600 km² w porze suchej do 10400 km² w porze deszczowej. Z Tonle Sap wypływa rzeka o tej samej nazwie, która podczas pory suchej płynie na południe w kierunku Mekongu. W czasie pory deszczowej nadmiar wody w Mekongu powoduje cofanie się wód rzeki w kierunku jeziora, które rozlewa się w centralnej części niziny. Jego głębokość wzrasta wówczas z 1-3 m do 12 m. Z tego powodu zbiornik ten posiada jedne z najliczniejszych zasobów ryb słodkowodnych na świecie. Doroczne wylewy wód Mekongu przyczyniają się także do akumulacji żyznych aluwii na terenie równiny centralnej. Inne większe rzeki to: Tonle Srepok, Tonle San, Stung Sen, Stung Sreng, Stung Chinit, Prek Chhlong, Sangke.

Na terenach nizinnych przede wszystkim czerwone gleby ferralitowe (ferralsole, akrisole, luwisole) oraz żyzne gleby aluwialne (fluwisole), występujące m.in. w dolinach Mekongu i Tonle Sap. Na wyżej położonych terenach występują czerwonożółte laterytowe gleby wilgotnych lasów tropikalnych oraz czerwone gleby laterytowe okresowo wilgotnych lasów tropikalnych (czerwonożółte i czerwone gleby ferralitowe).

Lasy zajmują ok. 40% powierzchni kraju. Na południu i w części środkowej występują wilgotne lasy równikowe, przechodzące ku północy w monsunowe, tracące liście w porze suchej, z drzewami sandałowymi, kamforowymi, tekowymi, i damarzynkiem, a następnie w sawanny o trawach dochodzących do 1,5 m. Powyżej 800 m n.p.m. lasy sosnowe. Na wybrzeżu lasy namorzynowe, a na okresowo zalewanych obszarach – bagienne. Symbolem Kambodży są

powszechnie występujące tzw. palmy cukrowe (*Arenga pierzasta*; *Arenga pinnata*), które wykorzystuje się jako surowiec budowlany oraz podstawowy składnik do wyrobu cukru, octu, lekarstw i wina. Drewno stanowi główny surowiec energetyczny kraju, dlatego środowisko naturalne zagrożone jest przez silne wylesianie.

Skład fauny jest typowy dla Regionu Indochińskiego. Z dużych ssaków żyją tu: słoń indyjski, tapir malajski, banteg, nosorożec sumatrzeński i antylopa garna. Największe drapieżniki to: tygrys, lampart, niedźwiedź malajski. Wilgotne lasy zamieszkuje lotokot i kalong. Z ssaków naczelnych występują gibony, makaki i langury. Ponadto: pawie, bażanty, kameleony, gekony, pytony – siatkowy i tygrysi.

Kambodża jest krajem dosyć słabo zaludnionym. W latach 1975-1985 nastąpił spadek liczby ludności spowodowany bombardowaniami wojsk amerykańskich oraz ludobójstwem rządów Czerwonych Khmerów i wojną domową. Po 1986 – szybki przyrost naturalny (ok. 25‰ rocznie) i powrót uchodźców z Tajlandii. Ludność rozmieszczona jest nierównomiernie. Blisko 80% ludności skupia się w dolinie Mekongu i nad jeziorem Tonle Sap. Najmniej ludzi mieszka w odizolowanych porośniętych lasem równikowym prowincjach Ratanakiri i Mondolkiri, w których gęstość zaludnienia wynosi poniżej 5 osób/km². Wysoki poziom urodzeń oraz stopa zgonów jedna z najwyższych w Azji. Pomimo tego szybki wzrost liczby ludności. Średnia długość życia (57 lat): mężczyźni – 55 lat, kobiety – 59. W kraju tym aż 65% ludności nie potrafi czytać ani pisać.

Kambodża to kraj niemal jednolity etnicznie – Khmerzy stanowią 94%. Inne mniejszości narodowe to Chińczycy, mieszkający w większych miastach. Czamowie i Wietnamczycy żyją w oddzielnych osadach rozproszonych po całym kraju. Tajowie i Laotańczycy – na terenach przygranicznych. Gwałtowne migracje ludności nastąpiły w latach 70. – unikanie walk, rządy Czerwonych Khmerów. W obawie przed egzekucjami i represjami wiele osób uciekło do Tajlandii i Wietnamu. W 1992 do Kambodży powróciło wielu uchodźców z całego świata.

Khmerzy – naród mieszkający w Kambodży (12,1 mln), Wietnamie (ok. 1 mln.), Tajlandii (ok. 1,1 mln.)[1], USA, Kanadzie, Australii, Nowej Zelandii. Posługują się językiem z grupy mon-khmer rodziny austroazjatyckiej. Od XV w. wyznają buddyzm theravada. Główne zajęcia: uprawa zbóż na glebach sztucznie nawadnianych, hodowla, rybołówstwo. U Khmerów występuje wysoka pozycja społeczna kobiet i duża rola klasztorów.

Etnolodzy rozróżniają dwie grupy etniczne Khmerów: Khmerów Środkowych i Khmerów Północnych (Khmer Surin), żyjących głównie w Tajlandii. Wśród Khmerów Środkowych wyróżnia się grupę Khmerów Krom, zamieszkującą dolny bieg Mekongu i stanowiącą jedną z większych grup etnicznych Wietnamu. Natomiast określeniem Khmerzy Górscy (Khmer Loeu) nazywa się w Kambodży mniejszości etniczne, również te nie należące do rodziny językowej mon-khmer.

Kambodża należy do najslabiej zurbanizowanych krajów azjatyckich. W miastach mieszka tylko 13% ludności. Stolicą, największym miastem, głównym ośrodkiem handlowym, przemysłowym i edukacyjnym jest Phnom Penh. Pozostałe większe miasta to: Battambang, Kampong Cham, Pursat, Kompong Som i Kampot. Osadnictwo wiejskie rozproszone – centralna i południowa część kraju. Typowa wioska (phum), jednolita etnicznie liczy do 500 mieszkańców. Stanowi ona część większej jednostki osadniczej skupiającej kilka wiosek (khum), w której znajduje się wspólna szkoła, świątynia buddyjska i kilka sklepów.

Po 12 zatrzymujemy się na lunch, poza tym następuje małe misz masz w autobusie, gdyż jedni wysiadają, bo jadą na wschód Kambodży, a parę osób dosiada się. Sumarycznie okazuje się, że dla jednej osoby brakuje miejsca. Jest nim gadatliwy Kolumbijczyk (ten od podróży dookoła świata). Najdłużej czekał na zamówione jedzenie i do autobusu przyszedł jako ostatni. Nie zgadza się na siedzenie na podłodze. Zaczyna się denerwować, że nie ma dla niego miejsca do siedzenia. Zatrzymujemy się na stacji benzynowej, gdzie kierowca przynosi dla niego eleganckie krzesło z wysokim oparciem. Kolumbijczyk, teraz niczym król może siedzieć na przedzie, nawet udaje mu się wydebić poduszkę pod tyłek.

Za oknem dalej praktycznie nic, same nieużytki, osad dalej brak. Od 11:30 leje deszcz. Droga coraz bardziej błotnista. Piękny kolor ma tutejsze błoto- pomarańczowy. Nasz biały autobus

wjeżdża w kałuże, a błoto rozbryzguje się na wszystkie strony. Nieźle musi wyglądać. Trochę mnie to denerwuje bo błoto trafia na moja szybę i po pewnym czasie nie widzę już niczego za oknem i muszę raz na jakiś czas otworzyć okno i przetrzeć szybę. W autobusie z toczących się rozmów okazuje się, że większość podróżnych to są nauczyciele i studenci. Od razu widać kto w tej porze roku ma wakacje. Przed nami siedzi Australijka nauczycielka ze swoją córką studentką, a obok, też nauczycielka ale z Tajwanu i też z córką studentką...

Za oknem zaczynają pojawiać się osady. W końcu są też sady drzew mangowych i pola ryżowe. Jakoś taka straszna bieda. Może to ten deszcz tak potęguje ten widok. Mimo, że domy na palach, to wszystko dookoła pływa. Teren prawie jak po powodzi. Pod każdym z domów na palach mnóstwo wody i błota. Ludzie gdzieś pochowani. Nawet bawołów nigdzie nie ma, tylko takie dziwne jasne bydło z garbem i też takie przeraźliwie chude. Domy znajdujące się blisko tej pomarańczowej błotnistej drogi po każdym naszym przejeździe są bryzgane błotem. Masakra. Mimo tego, że wiosek coraz więcej, to ruch na drodze wcale się nie zwiększył. Samochodów praktycznie nie ma. Są tylko ciężarówki zapakowane do granic możliwości, a na górze siedzą ludzie otuleni workami, chroniąc się w ten sposób przed padającym deszczem. Nam przynajmniej na głowę nic nie pada. W wielu miejscach trwa budowa asfaltowej drogi. W sumie najlepsza droga była przy granicy, ale im dalej jechaliśmy na południe tym było coraz gorzej. Po drodze mijamy nie tylko świątynie buddyjskie, ale i sporo meczetów. W Kambodży mieszka podobno sporo wyznawców Islamu. W miejscowości Stung Treng kilka osób wysiada – raczej straszna dziura, nie wiem po co tu się zatrzymywać. No chyba, że w porze suchej, bo wtedy jest tu możliwość zobaczenia delfinów rzecznych – tych samych co w Si Phan Don. Po paru godzinach jazdy kolejnych kilka osób wysiada, którzy omijają stolice i jadą na wschód od razu do Siem Riep.

Po dłuższej jeździe, zatrzymujemy się na toaletę i jedzenie, ale restauracji brak. Są tylko „pampuszki” – tak je nazwałam. Białe kulki gotowane na parze z „czymś” w środku. Grunt, że smaczne. Inni obcokrajowcy też szukają czegoś do jedzenia.

Do Phnom Penh docieramy około 21, czyli całkiem dobry czas. Myślałam, że będzie to później. Bus wygląda makabrycznie. Obłożony jest po dach. Wokół autobusu natychmiast pojawia się grupa kierowców z mototuktukami, aby zawieźć nas do centrum. Trwają zacięte negocjacje. Nam udaje się zejść do 4 dolarów pod warunkiem, że zatrudnimy go jeszcze jutro na zwiedzanie miasta. Umowa stoi, jutro o 8:30 i jedziemy. Miasto sto razy lepsze niż stolica Laosu. Dużo większe i bardziej reprezentacyjne. Jutro za dani zobaczymy jak wygląda. Po pół godzinnej jeździe przez stolicę docieramy do O'Key Guest House, który polecał nam przed wyjazdem Bartek – zatrzymuje się tu z grupami za każdym razem, kiedy odwiedza Kambodżę. Miejsce okazuje się być pełne od obcokrajowców. Pokoi też mają bez liku. Dostajemy aż na 4 piętrze. Ten guest house to prawdziwy labirynt budynków zlepionych ze sobą. Schody często są wręcz przyklejone do budynków pomiędzy i wąskie tak, że dwie osoby mają trudność się ominąć. Kolejne labirynty to korytarze prowadzące do pokoi. W końcu udaje nam się dotrzeć do tego naszego. Pokój jest świetny – mamy łazienkę z prawdziwego zdarzenia i telewizor, a wszystko to za 8 dolarów. Zostawiamy bagaże i idziemy jeść, bo jesteśmy strasznie głodni.

Restauracja to też główne wejście, tu mieści się również recepcja. Zamówienie składa się u kelnera, a potem wpisuje się to do zeszytu, który posiada każdy pokój. Zeszyty leżą na szafce, a jest ich kilkadziesiąt. Płaci się przy opuszczaniu pokoju. Do zeszytu wpisuje się wszystko czyli jedzenie, pokój, bilety, pralnia itp.

Zjadamy kurczaka słodko-kwaśnego i pijamy shakem ananasowo-mlecznym. Zamawiamy też bilety na pojutrze do Batambang. Rety ale są tanie. Za około 5-6 godzin jazdy jego cena wynosi 4 dolary już z wyjazdem spod guest housu.

Na pewno na duży plus przemawia w Kambodży to, że bardzo dużo ludzi zna język angielski. No i dość śmieszne jest to, że równolegle funkcjonują tu dwie waluty - kambodżański riel i amerykański dolar. Nie ważne która waluta się płaci. Można zapłacić w dolarach a resztę otrzymać w rielach.

Phnom Penh – stolica Kambodży położona w południowo-zachodniej części kraju, przy ujściu rzeki Tonle Sap do Mekongu ma 2,0 mln mieszkańców (2006). Stanowi główny ośrodek przemysłowy i naukowo - kulturowy kraju. Zakłady przemysłu spożywczego (łuszczenie ryżu, browary, cukrownie, olejarnie, przetwórnictwo ryb, przemysł tytoniowy), drzewnego, włókienniczego, metalowego i elektromaszynowego (budowa łodzi, montaż ciągników, przemysł samochodowy). Liczne rzemiosło artystyczne (wyroby ze srebra i kości słoniowej). Znajduje się tu duży port rzeczny dostępny dla małych statków morskich. Międzynarodowy port lotniczy (Pochentong).

Według legendy w 1370 bogata dama imieniem Yu Phen, która miała pałac nad brzegiem Mekongu zauważyła w rzece przepływający ogromny pień koki. Postanowiła go wyłowić i wspólnymi siłami wraz z sąsiadami wyciągnęła ten pień drzewa z rzeki. Okazało się, że w środku znajdują się cztery brązowe statuetki Buddy i jedna kamienna figurka bogini (Prah Noreay). Pani Phen jak i sąsiedzi, którzy pomagali jej w wyciąganiu pnia z wód Mekongu, potraktowali to zjawisko jako zapowiedź pomyślnych wydarzeń. Umieścili statuetki Buddy i bogini w naprędcie zbudowanej kaplicy a kilka lat później zaczęli budować wzgórze, aby w jakiś szczególny sposób uhonorować to znalezisko. Tak powstała góra - nazwana Phnom Daun Penh (Góra Pani Penh). Jest to sztucznie usypane wzgórze górujące nad miastem, które ma 27 metrów wysokości. Również w początkach XVII wieku, kiedy świątynia została rozbudowana, został dobudowany klasztor Wat Phnom. Na wzgórzu tym byli chowani wielcy dostojnicy państwowi i królowie khmerscy.

Wracamy do pokoju czytamy wszelkie ostrzeżenia dla turystów, które mówią, że należy uważać na kradzieże w Kambodży. Koło północy padamy spać...

15.07.2009 (środa)

Pobudka o 7:40, a już o 8 jesteśmy na śniadaniu. Zamawiamy ja oczywiście bagietkę z omletem, a Paweł naleśnika z bananem. No i do tego kawa.

Przed 8:30 pojawia się nasz mototuktuk "Charlie" i możemy ruszać na zwiedzanie miasta. Na początku jedziemy 15 km za Phnom Penh na tzw killing fields, czyli Pola Śmierci. Choeung Ek, to znajdujące się na terenie dawnego sadu i chińskiego cmentarza, 17km na południe od Phnom Penh najbardziej znane z pól śmierci, na którym reżim Czerwonych Khmerów zamordował około 17.000 ludzi w latach 1975-1979. Po upadku reżimu Czerwonych Khmerów odkryto tam masowe groby zawierające 8.895 ciał. Większość ofiar była uprzednio więźniami Tuol Sleng.

Krótką historią Kambodży. Większość Kambodżan uważa się za potomków Khmerów, stworzone przez których imperium Angkor obejmowało znaczny obszar Azji Południowo-Wschodniej, osiągając szczyt potęgi w X-XIII w. Ataki Tajów i Czamów (z terenu obecnego Wietnamu) spowodowały osłabienie imperium i jego stopniowy upadek. W 1863 roku król Kambodży przyjął protektorat Francji, a w 1887 roku Kambodża stała się częścią Indochin Francuskich. Po okupacji japońskiej podczas II wojny światowej, Kambodża uzyskała pełną niepodległość od Francji w 1953 roku. Od 802 do 1970 roku Kambodża była monarchią dziedziczną. 18 marca 1970 roku książę Norodom Sihanouk został obalony w wyniku puczu, który wyniósł do władzy wspieranego przez CIA generała Lon Nola. Nowy przywódca zrezygnował z prowadzonej przez Sihanouka polityki tolerowania oddziałów północno-wietnamskich oraz Czerwonych Khmerów na terytorium Kambodży i wsparł USA w wojnie z komunistycznym Wietnamiem Północnym, jednocześnie prowadząc kampanię wymierzoną w 450 tys. mniejszość wietnamską w Kambodży - ok. 300 000 Wietnamczyków zmuszono do wyjazdu, urządzano pogromy ludności wietnamskiej i podpalono ambasadę Wietnamu Północnego. Lon Nol wezwał przebywające w Kambodży oddziały północno-wietnamskie do opuszczenia kraju, nie uzyskując jednak żadnej reakcji - lotnictwo amerykańskie rozpoczęło bombardowania Kambodży, gdzie ukrywały się oddziały północno-wietnamskie.

1 maja 1970 roku do Kambodży wkroczyły wojska USA i Południowego Wietnamu. Straty ludzkie i materialne w Kambodży w wyniku tej interwencji spotęgowały wrogość do Lon Nola i przyczyniły się w znacznej mierze do późniejszego przejścia władzy przez Czerwonych Khmerów, od 1970 roku wspieranych przez komunistów z Wietnamu Północnego, dostarczających im broni, doradców wojskowych i prowadzących szkolenia Czerwonych Khmerów na terytorium Wietnamu. W maju 1970 roku w ChRL powstał Królewski Rząd Jedności Narodowej, na czele którego stanął Norodom Sihanouk, który nie posiadał jednak kontroli nad krajowym ruchem oporu - komuniści, stanowiący niegdyś jego największych wrogów w Kambodży, zgodnie z sugestiami Pekinu i Hanoi nie dowierzali mu, mimo iż po utworzeniu rządu oficjalnie ich popierał. Rząd ten wezwał naród do walki przeciw najeźdźcom i reżimowi Lon Nola, zwanemu formalnie Republiką Khmerską.

Liczebność partyzantki Czerwonych Khmerów wzrosła z 3 tysięcy żołnierzy w 1969 roku do 60 tysięcy w 1975 roku - w czasie wojny zdominowali oni sprzymierzonych z nimi od maja 1970 roku monarchistów. Armia Czerwonych Khmerów, wspierana politycznie przez Wietnam Północny, ChRL i premiera Norodoma Sihanouka przebywającego na wygnaniu w Pekinie, przystąpiła do działań militarnych, do końca 1973 roku przejmując kontrolę nad 85% terytorium kraju. Ideologia Czerwonych Khmerów była kombinacją ekstremalnych form maoizmu i antykolonialnych idei europejskiej lewicy, które przywódcy organizacji poznali w trakcie studiów na francuskich uniwersytetach w latach 50. Do tego dołączyły się trwająca długo niechęć do podporządkowania partii wietnamskim komunistom i ksenofobia. W efekcie, po przejściu władzy, narzucono siłą społeczeństwu kambodżańskiemu komunizm w specyficznej azjatyckiej wersji.

17 kwietnia 1975 roku armia Czerwonych Khmerów zajęła Phnom Penh i obaliła reżim Lon Nola, zmieniając natychmiast nazwę kraju na Demokratyczna Kampucza. W skład tzw. Stałego Komitetu Centralnego Komitetu Czerwonych Khmerów wchodził wtedy Pol Pot (faktyczny przywódca ruchu), Nuon Chea, Ta Mok, Khieu Samphan, Ke Pauk, Ieng Sary, Son Sen, Yun Yat i Ieng Thirith. Kierownictwo to pozostawało niemal niezmienione od lat 60., aż do połowy lat 80., gdy Czerwoni Khmerzy prowadzili wojnę partyzancką po odsunięciu ich od władzy przez wojska wietnamskie.

Zaraz po przejściu władzy Czerwoni Khmerzy przystąpili do realizacji swoich koncepcji. Zamknięto szkoły, szpitale i fabryki, zlikwidowano banki i pieniądz, zdelegalizowano religię, zlikwidowano własność prywatną, zaś ludność miast wyrzucono siłą na tereny wiejskie do tzw. kolektywnych gospodarstw rolnych, które były de facto obozami pracy przymusowej. Uzasadniono to fałszywymi twierdzeniami, że wskutek amerykańskich bombardowań kraj był na granicy masowego głodu, co wymagało przeniesienia ludności na wieś, gdzie mogła produkować żywność.

Polityka ta, znana jako "Rok Zerowy", doprowadziła do śmierci ogromnej liczby osób, zarówno wskutek zagłodzenia, jak i przepracowania i egzekucji. Czerwoni Khmerzy systematycznie mordowali wszystkie osoby, które miały jakiekolwiek powiązanie z poprzednim reżimem, a także fachowców i intelektualistów – zabijano nawet za sam fakt posiadania okularów lub zbyt delikatnych dłoni. Ofiarą padła również mniejszość wietnamska w tym kraju. Większość źródeł podtrzymuje, że liczba ofiar Czerwonych Khmerów jest w proporcji do liczby ludności wyższa niż w jakimkolwiek kraju na świecie we współczesnej historii. Najniższe szacunki mówią o 10% strat, ale częściej przyjmuje się, że liczba zamordowanych i zmarłych z głodu i chorób osób sięgnęła 20-25% całej populacji. Politykę Czerwonych Khmerów określa się powszechnie mianem ludobójstwa.

Dokładna liczba ofiar jest ciągle przedmiotem sporów. Osadzona przez Wietnamczyków władza mówiła o 3,3 mln zabitych, ale jest to mało prawdopodobny szacunek. CIA szacuje liczbę zabitych w egzekucjach na 50-100 tys., ale jest to niewielka część wszystkich ofiar. Amerykański Departament Stanu, Amnesty International i Yale Cambodian Genocide Project mówią odpowiednio o 1,2, 1,4 i 1,7 mln ofiar. R. J. Rummel podaje liczbę 2 mln. Średnią z przeprowadzonych szacunków jest liczba 1,5 mln zmarłych spośród 7 mln obywateli tego kraju przed 1975 rokiem.

W grudniu 1978 roku, po kilku latach granicznych starć i wskutek masowego napływu uchodźców do Wietnamu, dywizje wietnamskie wsparły rozpoczęte w kwietniu 1978 antypolpotowskie powstanie którym kierował dowódca 4 Dywizji Piechoty Heng Samrin i 7

stycznia 1979 roku współdziałając z oddziałami powstańczymi zajęły Phnom Penh, obalając komunistyczny reżim. Pomimo zakorzenionej niechęci do Wietnamczyków, oddziałom pomagali masowo uciekający aktywiści, którzy stanowili potem rdzeń nowego, prowietnamskiego rządu. Na czele nowych władz państwa stanął Heng Samrin. Czerwoni komuniści wycofali się do dżungli w zachodniej części kraju, gdzie kontrolowali obszary przy granicy z Tajlandią i przez szereg lat w sojuszu z monarchistami prowadzili walkę partyzancką. Nieoficjalnie byli wspierani przez niektórych oficerów armii tajlandzkiej, którzy dorabiali się na przemyśle diamentów, a także (w imię walki z Wietnamem) przez Chiny i rząd Tajlandii oraz CIA. W 1985 roku Khieu Samphan oficjalnie zastąpił Pol Pota na stanowisku przywódcy Czerwonych Khmerów. W 1989 roku z Kambodży wycofała się armia wietnamska, u władzy pozostał jednak rząd, którym kierował premier Hun Sen.

Wszystkie siły polityczne Kambodży podpisały w 1991 roku układ, wzywający do rozbrojenia i wolnych wyborów, ale w 1992 roku Czerwoni Khmerzy podjęli działania zbrojne, odrzucając wyniki wyborów. W 1996 roku nastąpiła jednak masowa dezercja żołnierzy, zaś walki frakcyjne doprowadziły do uwięzienia Pol Pota przez samych Czerwonych Khmerów. Pol Pot zmarł w kwietniu 1998 roku, a w grudniu Khieu Samphan poddał się. 29 grudnia 1998 roku pozostali przywódcy organizacji wyrazili żal z powodu zbrodni w latach 70. W następnym roku większość członków poddała się, a z chwilą schwytania ostatniego przywódcy, Ta Mok, organizacja przestała formalnie istnieć. Wielu liderów organizacji oraz członków ich ochrony osobistej, rodzin i najwierniejszych popleczników mieszka w Pailin, gdzie sprawują władze na mocy nieformalnej umowy z rządem. Oficjalną organizacją Czerwonych Khmerów jest Grupa Studiów nad Teorią Pol Pota mająca swoje komórki zagraniczne m.in. w Nepalu, Indiach, USA, Holandii.

Procesy przywódców Czerwonych Khmerów utknęły jednak w martwym punkcie i wyraża się przekonanie, że nie uda się ich postawić przed sądem, m.in. dlatego, że wielu ludzi u władzy, jak np. premier Hun Sen, było kiedyś aktywistami tej organizacji lub okresowo współdziałało z nią (jak król Norodom Sihanouk) i mogli być zamieszani w zbrodnie lub obawiać się ujawnienia kompromitujących faktów. To samo dotyczy ChRL, SRW, Tajlandii a nawet USA i CIA. Młodzi mieszkańcy Kambodży mają coraz mniejszą świadomość okrucieństw, jakich dopuszczono się ćwierć wieku wcześniej.

W 2009 pod naciskiem ONZ ruszył proces karny Kaing Guek Eav (Khang Khek Ieu). Na przyszły rok zapowiedziano procesy kolejnych czterech członków rządu Pol Pota

Kambodża jest monarchią konstytucyjną. Pierwsze wybory parlamentarne w tym kraju odbyły się w maju 1993 i były nadzorowane przez ONZ (UNTAC). W 1993 i 1998 najsilniejsze okazały się rojalistyczny Zjednoczony Front Narodowy na rzecz Niezależnej, Neutralnej, Pokojowej i Współpracującej Kambodży (oraz demokratyczna Kambodżańska Partia Ludowa (do 1991 Ludowo-Rewolucyjna Partia Kambodży)).

Głową państwa jest monarcha wybierany przez tzw. "Radę Tronu", w której zasiadają potomkowie trzech linii królewskich (choć rada jest zwolenniczką monarchii dziedzicznej). Władza ustawodawcza należy do Zgromadzenia Narodowego, wybieranego co 5 lat w wyborach powszechnych. Władza wykonawcza znajduje się w rękach rządu (Królewski Rząd Kambodży), na czele którego stoi premier który może być odwołany przez króla według uznania. Król może wydać dekret z mocą ustawy jak i dać weto absolutne wobec ustaw parlamentu.

W wyborach w 2003 Kambodżańska Partia Ludowa odniosła zwycięstwo. Jednak nie na tyle, by móc sprawować samodzielne rządy. W rezultacie uformowano koalicję rządową z rojalistyczną partią Funcinpec. Premierem został Hun Sen.

Kolejne wybory odbyły się 27 lipca 2008, wstępne wyniki wskazują na kolejną wygraną Kambodżańskiej Partii Ludowej.

Przejeżdżamy tuk-tukiem przez ruchliwe ulice miasta, a nasz kierowca sprawnie sobie radzi z manewrowaniem między samochodami., choć ruch jest tu bardzo chaotyczny. Tutaj większość korzysta jednak ze skuterów obciążonych powyżej normy, czyli jedzie na nim cała rodzina np 4 osoby, albo zwożone są na targ warzywa, które przymocowane są ze wszystkich stron skutera, że ledwie mieści się na nim sprzedawca.

Wyjeżdżamy ze stolicy, okolica zaczyna się zmieniać od razu w slams. Przedmieścia stolicy to dziesiątki bud mających na celu naśladowanie domostw, zakładów pracy itp. Przed większością z nich piętrzą się śmierdzące śmieci. Za domami znajdują się pola ryżu, albo zieleniny, cokolwiek to jest. Ponadto pasą się stada krów i gęsi. W jednym miejscu śmierdzi strasznie, bo na łąki wylewana jest jakaś pienista ciecz... ktoś wypuszcza dziwne ścieki.

Mijamy też szkoły, gdzie w przeciwieństwie do Laosu dzieci nie mają tu wakacji. Ciekawe jest to, że część szkół jest muzułmańska, więc dzieci chodzą w tradycyjnych strojach z nakryciem głowy.

Docieramy w końcu do pól śmierci. Dzisiaj na miejscu Choeung Ek stoi pomnik, buddyjska stupa. Stupa ma przeszklone ściany i jest wypełniona ponad 5.000 ludzkich czaszek ułożonymi na piętnastu piętrach półek oraz kośćmi i ubraniami wydobytymi z masowych grobów. Niektóre niższe poziomy półek są podczas dnia otwarte tak, że czaszki można bezpośrednio zobaczyć. Wiele z nich jest połamanych i roztrzaskanych.

Oprócz stupy na terenie Choeung Ek znajdują się wgłębienia po grobach, z których ekshumowano ciała oraz gabloty z kośćmi. W sumie jest tam 129 masowych grobów lecz do tej pory zbadano dopiero 86. Zdjęcia z ekshumacji można obejrzeć w muzeum Tuol Sleng. Można tu spotkać wystające ze ścieżek ludzkie kości. Cały teren to doły, w których zakopywano mordowanych ludzi. Jest tu także drzewo, gdzie więźniów wieszano.

Po godzinie wracamy do stolicy. Kierowca wiezie nas teraz do Tuol Sleng, czyli muzeum ludobójstwa. Muzeum Ludobójstwa Tuol Sleng to muzeum w Phnom Penh, stolicy Kambodży. Miejsce to jest dawną szkołą średnią zamienioną w niesławne Więzienie Bezpieczeństwa 21 przez reżim Czerwonych Khmerów od momentu objęcia władzy w 1975r. aż do jego upadku w roku 1979. Tuol Sleng w języku khmerskim oznacza "Wzgórze Zatrutych Drzew" lub "Wzgórze Strychniny".

Pierwotnie Szkoła Średnia Tuol Svay Prey, nazwana na cześć królewskiego przodka króla Norodoma Sihanouka, to kompleks pięciu budynków, który został zamieniony w sierpniu 1975r., cztery miesiące po wygranej przez Czerwonych Khmerów wojnie domowej, w więzienie i centrum przesłuchań. Czerwoni Khmerzy nazwali kompleksem "Więzienie Bezpieczeństwa 21" (S-21) i zaczęły się prace nad dostosowaniem go do przyjęcia więźniów: budynki otoczono drutem kolczastym pod napięciem, klasy zamieniono w małe sale przesłuchań i cele, a wszystkie okna wyposażono w kraty i drut kolczasty, aby zapobiec ucieczkom.

Szacuje się, że od roku 1975 do 1979 siedemnaście tysięcy ludzi było więzionych w Tuol Sleng (niektóre szacunki sięgają 20 000 lecz prawdziwa liczba nie jest znana). Więźniowie byli łapani na terenie całego kraju i zazwyczaj byli oni byłymi członkami Czerwonych Khmerów oraz żołnierzami oskarżonymi o zdradę partii i rewolucji. Pośród aresztowanych byli najwyżsi rangą politycy komunistyczni jak Khoy Thoun, Vorn Vet i Hu Nim. Chociaż oficjalną przyczyną aresztowań było "szpiegostwo", ludzie ci mogli być uznani przez lidera Czerwonych Khmerów Pol Pota jako potencjalni liderzy występków przeciwko niemu. Rodziny więźniów często były zabierane w celu przesłuchania i późniejszego zabójstwa w Choeung Ek.

Chociaż większość ofiar to obywatele Kambodży, więziono również obcokrajowców w tym Wietnamczyków, Laotańczyków, Hindusów, Pakistańczyków, Brytyjczyków, Amerykanów, Nowozelandczyków i Australijczyków.

Większość nie-Kambodżan została wydalona z kraju a ci, którzy pozostali, zostali uznani za zagrożenie. Kilkunastu obywateli świata zachodniego przeszło przez S-21 między kwietniem 1976 a grudniem 1978. Większość z nich była pojmana na morzu przez łodzie patrolowe Czerwonych Khmerów. Pomiędzy nimi znalazło się czterech Amerykanów, trzech Francuzów, dwóch Australijczyków, Brytyjczyk i Nowozelandczyk. Jednym z ostatnich więźniów zmarłych w Tuol Sleng był Amerykanin Michael Scott Deeds, schwytany ze swoim przyjacielem Chrisem De Lance podczas żeglugi z Singapuru na Hawaje.

W roku 1979 więzienie zostało zdobyte przez nacierającą armię wietnamską. W 1980r. więzienie zostało otwarte ponownie jako historyczne muzeum upamiętniające działalność reżimu Czerwonych Khmerów. Muzeum jest teraz otwarte do zwiedzania i dziennie odwiedza je około 500

turystów.

Po dotarciu do więzienia, więźniowie byli fotografowani i podawali swoje szczegółowe biografie, poczynając od dzieciństwa a kończąc na aresztowaniu. Następnie byli zmuszani do rozebrania się do bielizny i konfiskowano ich własność. Potem więźniowie byli zabierani do cel. Ci zabrani do mniejszych cel byli przykuwani do ściany lub betonowej posadzki. Przetrzymywani w większych celach grupowych byli przykuwani do długich sztab żelaznych. Kajdany były przytwierdzone do sztab naprzemiennie; więźniowie leżeli z głowami w przeciwnych kierunkach. Spali na podłodze bez mat, moskitier ani prześcieradeł. Rozmawianie było zakazane.

Dzień w więzieniu zaczynał się o 4:30 rano kiedy więźniowie rozbierali się do inspekcji. Strażnicy sprawdzali czy kajdany się nie poluzowały i czy więźniowie nie ukrywali przedmiotów, które mogłyby służyć do popełnienia samobójstwa. Przez lata kilku więźniów zdołało się zabić więc strażnicy sprawdzali cele i kajdany bardzo dokładnie. Więźniowie otrzymywali niewielkie porcje kleiku ryżowego i wodnistej zupy z liści dwa razy dziennie. Picie wody bez pytania o pozwolenie groziło poważnym pobiciem. Aresztowani byli myci co cztery dni.

Więzienie miało bardzo sztywne regulacje i dotkliwe kary cielesne wymierzane były każdemu, kto ich nie przestrzegał. Prawie każda czynność musiała być zatwierdzona przez strażnika. Czasami więźniowie byli zmuszani do jedzenia ludzkich fekalii i picia moczu. Niehigieniczne warunki życia w więzieniu powodowały choroby skóry, infekcje pcheł i wszy oraz inne dolegliwości. Obsługa medyczna więzienia była niewykwalifikowana i ograniczała się do utrzymania przy życiu więźniów po tym jak zostali okaleczeni podczas przesłuchań. Kiedy więźniowie byli przeprowadzani ich twarze były zakryte. Strażnicy ani więźniowie nie mogli ze sobą rozmawiać.

Większość więźniów była przetrzymywana w S-21 od dwóch do trzech miesięcy. Kilkunastu wysokich rangą oficerów Czerwonych Khmerów trzymano dłużej. W ciągu dwóch, trzech dni po przywiezieniu do S-21 wszyscy byli zabierani na przesłuchanie. System tortur w Tuol Sleng został wymyślony tak, żeby więźniowie przyznawali się do wszystkich przestępstw, o które zostali oskarżeni. Więźniowie byli bici, traktowani elektrowstrząsami, przypalani rozżarzoną metalną rurą. Niektórzy byli kaleczeni nożem lub duszeni plastikową torbą. Inne metody wyciągania zeznań to wrywanie paznokci polewając alkohol na rany, przetrzymywanie głowy pod wodą i waterboarding. Kobiety były czasem gwałcone przez śledczych pomimo to, że wykorzystywanie seksualne było niezgodne z polityką Demokratycznej Kampuczy. Wielu więźniów umierało z powodu tortur ale nie było to zalecane przez reżim, ponieważ Czerwoni Khmerzy potrzebowali ich zeznań.

W swoich zeznaniach więźniowie byli pytani o pochodzenie. Jeśli byli członkami partii, musieli powiedzieć kiedy dołączyli do rewolucji i opisać swoje umiejscowienie w strukturach partii. Następnie mieli relacjonować swoje zdradzieckie działania w porządku chronologicznym. Trzecią częścią zeznań był opis udaremnionych konspiracji i przypuszczalnych zdradzieckich rozmów. Na koniec zeznania była lista zdrajców, którzy byli przyjaciółmi, współpracownikami i znajomymi przesłuchiwanego. Niektóre listy zawierały ponad setkę nazwisk a ludzie, których nazwiska znalazły się na liście byli często wzywani na przesłuchanie.

Typowe zeznanie dochodziło do tysiąca słów, w których przesłuchiwany przeplatał prawdziwe wydarzenia ze swojego życia z wymyślonymi przypadkami szpiegowskich działań dla CIA, KGB lub Wietnamu. Zeznanie Hu Nima kończyło się słowami "Nie jestem istotą ludzką, jestem zwierzęciem". Młody Anglik John Dawson Dewhirst aresztowany w sierpniu 1978 twierdził, że wstąpił do CIA w wieku 12 lat po tym jak jego ojciec otrzymał znaczną łapówkę od swojego kolegi z pracy, również agenta CIA. Tortury fizyczne były łączone z pozbawianiem snu i upokarzaniem więźniów. Narzędzia tortur znajdują się na wystawie w muzeum. Ogromna większość więźniów była niewinna oskarżeń im stawianych, a zeznania wymuszane były torturami.

Przez pierwszy rok działania S-21 zwłoki były grzebane w okolicach więzienia. Jednakże z końcem 1979 zabrakło miejsca, więc więźniowie i ich rodziny zabierani byli do centrum egzekucji Choeung Ek piętnaście kilometrów od Phnom Penh. Tam byli zabijani sztabami żelaza, motykami, maczetami i innymi prowizorycznymi narzędziami. Po egzekucji żołnierze, którzy przywozili

skazańców z S-21 zakopywali zwłoki w masowych grobach mieszczących od 6 do 100 ciał.

Z szacowanych 17 000 ludzi przetrzymywanych w Tuol Sleng znanych jest jedynie dwanaście osób, które je przeżyły. Cztery z nich żyją w dalszym ciągu: Vann Nath, Chum Mey, Bou Meng oraz Chim Math, jedyna kobieta wśród przeżyłych. Wszyscy trzej mężczyźni zostali zachowani przy życiu ponieważ posiadali umiejętności uznane przez oprawców za wartościowe. Vann Nath był artystą i został przydzielony do malowania obrazów Pol Pota. Wiele z jego obrazów przedstawiających wydarzenia, których był świadkiem w Tuol Sleng, znajduje się dziś na wystawie Muzeum Ludobójstwa Tuol Sleng. Bou Meng, którego żona została stracona w więzieniu, również był artystą. Chum Mey przeżył za sprawą swoich umiejętności naprawiania maszyn. Chim Math była przetrzymywana w S-21 dwa tygodnie a następnie została przeniesiona do pobliskiego więzienia Prey Sar. Przypuszczalnie została oszczędzona ponieważ pochodziła z Kampong Thom w dystrykcie Stoeung, w którym urodził się Khang Khek Ieu, szef więzienia. Podczas przesłuchań wyróżniała się również swoim prowincjonalnym akcentem.

W więzieniu zatrudnionych było 1 720 ludzi. Wśród nich około 300 było pracownikami biurowymi, wewnętrzną siłą roboczą i śledczymi. Pozostałych 1 400 osób było ogólnymi pracownikami, m.in. dostarczycielami żywności. Kilkanaście spośród nich to dzieci odebrane pojmanym rodzinom. Naczelnikiem więzienia był Khang Khek Ieu, znany również jako Comrade Duch, były nauczyciel matematyki, bliski współpracownik przywódcy Czerwonych Khmerów, Pol Pota. Inne znaczące figury S-21 to Khim Vat znany jako Hor (zastępca naczelnika), Peng (dowódca strażników), Chan (dowódca jednostki śledczych) i Pon (śledczy). Pon zajmował się przesłuchiwaniami osób ważnych jak Keo Meas, Nay Sarann, Ho Nim, Tiv Ol i Phok Chhay.

Jednostka dokumentacji była odpowiedzialna za przepisywanie zeznań nagranych na taśmy i ręcznych notatek, przygotowywanie podsumowań zeznań i utrzymywanie dokumentacji. W podjednostce fotografii pracownicy robili zdjęcia więźniom nowo przybyłym, zmarłym podczas przesłuchań i zdjęcia ważnych więźniów po egzekucji. Przetrwały tysiące fotografii lecz tysiące zaginęło.

Jednostka ochrony była największą jednostką w S-21. Strażnicy w niej najęci to głównie nastolatki. Wielu strażników uznawało rygorystyczne zasady jednostki za trudne do przestrzegania. Strażnikom nie wolno było rozmawiać z więźniami, poznawać ich imion ani ich bić. Zabronione było podglądanie i podsłuchiwanie przesłuchań a także mieli przestrzegać 30 regulacji zakazujących im m.in. drzemek, siedzenia i opierania się o ściany podczas służby. Mieli spacerować strzegąc i dokładnie wszystko sprawdzając. Strażnicy popełniający poważne błędy byli aresztowani, przesłuchiwani, więzieni i zabijani. Większość ludzi zatrudnionych w S-21 obawiała się popełnienia błędu i bała się tortur oraz śmierci.

Jednostka przesłuchań była podzielona na trzy grupy: Krom Noyobai - jednostka polityczna, Krom Kdao - 'gorąca' jednostka i Krom Angkiem - jednostka 'przezuwająca'. Gorąca jednostka (nazywana czasami okrutną) miała zezwolenie na tortury. W przeciwieństwie do niej jednostka zimna (czasami nazywana łagodną) miała zakazane używanie tortur do wyciągania zeznań. Jeśli nie mogli skłonić więźnia do zeznań, oddawała go do jednostki gorącej. Jednostka przezuwająca zajmowała się ciężkimi i ważnymi przypadkami. Śledczy zazwyczaj byli piśmienni i w okolicach 20 roku życia.

Część obsługi Tuol Sleng również kończyła jako więźniowie. Byli oskarżani o lenistwo podczas przygotowywania dokumentów, o uszkodzenia maszyn i innego ekwipunku lub o bicie więźniów na śmierć bez zezwolenia.

Po przywiezieniu więźnia do Tuol Sleng zostawały mu przedstawiane reguły, których miał przestrzegać podczas osadzenia. Tablica przedstawiająca te reguły jest dziś wystawiona w muzeum. Niedoskonała gramatyka jest wynikiem niewłaściwego tłumaczenia z khmerskiego na angielski:

1. Musisz odpowiadać zgodnie z moimi pytaniami. Nie odwracaj ich.
2. Nie próbuj ukrywać faktów wymówkami to i tamto, masz jasno zabronione sprzeczać się ze mną.
3. Nie bądź głupcem bo jesteś typkiem, który śmiał stać na przeszkodzie rewolucji.
4. Musisz natychmiast odpowiadać na moje pytania bez marnowania czasu na namyślanie się.
5. Nie mów mi ani o swoich niemoralnościach ani o istocie rewolucji.

6. Podczas chłosty lub porażania prądem nie możesz krzyczeć.
7. Nie rób nic, siedź w miejscu i czekaj na moje rozkazy. Jeśli nie ma żadnych rozkazów bądź cicho. Kiedy każe ci coś zrobić masz to zrobić od razu, bez protestów.
8. Nie wymawiaj się Kampuchea Krom w celu ukrycia sekretu lub zdraycy.
9. Jeśli nie przestrzegasz wszystkich powyższych reguł dostaniesz wiele, wiele batów lub wstrząsów elektrycznych.
10. Jeśli sprzeciwiasz się któremukolwiek z punktów moich regulacji dostaniesz dziesięć batów lub pięć porażen prądem.

Ho Van Tay, wietnamski fotograf wojenny, był pierwszą osobą z mediów, która w 1979 roku przedstawiła światu Tuol Sleng. Van Tay i jego współpracownicy podążali za fetorem gnijących ciał do bram Tuol Sleng. Zdjęcia Van Taya dokumentujące to, co zobaczył po wejściu, są wystawione dziś w Tuol Sleng.

Czerwoni Khmerzy wymagali od obsługi więzienia szczegółowych akt wszystkich więźniów. Do dokumentacji dołączane były fotografie. Ponieważ oryginalne negatywy i zdjęcia były rozdzielone z aktami w okresie 1979-1980, większość zdjęć do dziś pozostaje anonimowymi. Budynki Tuol Sleng są zachowane w stanie, w jakim zostały porzucone przez Czerwonych Khmerów w 1979 roku. Reżim trzymał obszerną dokumentację, włączając w to tysiące fotografii. Kilkanaście pomieszczeń muzeum jest teraz pokrytych od podłogi do sufitu czarno-białymi zdjęciami wielu z 20 000 więźniów, którzy przeszli przez S-21. Inne pomieszczenia zawierają jedynie zardzewiałe ramy łóżek poniżej biało-czarnej fotografii przedstawiającej pomieszczenie w stanie, w jakim zostało znalezione przez Wietnamczyków. Na każdym zdjęciu jest przykute do łóżka, powykręcane ciało więźnia, zabitego przez uciekających oprawców na kilka godzin przed oswobodzeniem. W niektórych pomieszczeniach znajdują się sztaby żelaza i inne narzędzia tortur. Znajdują się tam razem z obrazami byłego więźnia Vanna Natha, pokazującymi torturowanych ludzi. Najbardziej znanym eksponatem z muzeum Tuol Sleng jest mapa z czaszek, olbrzymia mapa Kambodży ułożona z 300 czaszek i kości znalezionych przez Wietnamczyków podczas okupacji Kambodży, mająca przypominać okrutne wydarzenia z więzienia. Mapa została rozebrana w 2002 roku, ale czaszki części ofiar w dalszym ciągu znajdują się na wystawie muzeum.

Dzisiaj muzeum jest publicznie dostępne i razem z Choeung Ek (Polami Śmierci) jest jednym z najważniejszych punktów dla turystów odwiedzających Kambodżę. Pomimo drastycznych obrazów przedstawionych w muzeum, jest ono również odwiedzane przez duże grupy uczniów z kambodżańskich szkół.

Miejsce w samym środku stolicy. Przed bramą stoją kalecy żebracy bez rąk i nóg. Miejsce wywiera ogromne wrażenie na zwiedzających, zwłaszcza tych, którzy nie znają obozów koncentracyjnych. Dookoła druty kolczaste, sale tortur, cele o metrowej powierzchni, narzędzia tortur i wiele zdjęć sfotografowanych więźniów. Jedna kondygnacja budynku zawiera zdjęcia więźniów i ich oprawców z czasów wiezienia oraz współcześnie. Można sobie przeczytać, co współcześnie robią kaci tego więzienia i jak nie mają praktycznie żadnych wyrzutów sumienia.

Po tych raczej drastycznych miejscach czas na przyjemniejsze zwiedzanie stolicy. Jedziemy na rosyjski market, gdzie można zakupić przysłowiowe mydło i powidło. tutaj kupujemy t-shirty z Kambodżą oraz tutejsze chusty i pokrowce na poduszki ze słoniami.

Z marketu udajemy się pod Wat Penh, czyli świątynię na wzgórzu, od której pochodzi nazwa miasta. Tutaj żegnamy się z Charlim i dalej zwiedzać będziemy sami. Pod wzgórzem znowu spora grupa ludzi bez rąk i nóg. Taka ilość kalek jest wynikiem tego, że jest to najbardziej zaminowany kraj świata. Kambodża należy do najbardziej zaminowanych krajów na świecie. Liczbę min szacuje się na ok. 4-6 mln. Jest to efekt kilku czynników: uwikłania kraju w wietnamski konflikt, działalności Czerwonych Khmerów, wojny partyzanckiej, jaką przez całe lata 80. prowadzili komuniści, uzbrojeni i finansowani przez Chiny i Tajlandię przeciwko prowietnamskiemu rządowi. W całym kraju, szczególnie na prowincji, billboardy nie reklamują nowych samochodów czy papierosów, ale ostrzegają przed minami. Rozbrojenie tego wszystkiego zajmie jeszcze dziesiątki lat.

A skoro idziemy do świątyni buddyjskiej, jak wygląda ta religia w Kambodży. Pramakramabahu I, król Śri Lanki, ofiarował swą córkę za żonę dla Jayavarmana VII, syna i następcy tronu po Dharanindravarmanie II (1150-1160). Gest ten odnowił zainteresowanie theravadą dzięki silnym kontaktom z silną ostoją tej szkoły. Król Jayavarman VII (1181-1220) był gorliwym buddystą, nadano Mu pośmiertnie tytuł Mahaparamasaugata. Król energicznie angażował się w krzewienie theravady, jego zapiski wyrażają typowy buddyjski pogląd na życie, w szczególności uczucie współczucia i pragnienie czynienia dobra dla całego wszechświata. Inskrypcja tego króla informują nas, że powstało za jego rządów 798 świątyń i 102 szpitali w całym królestwie i wszystkie one zostały stworzone z pełnym poparciem króla. Król zadbał także o buddyjską edukację swego syna Tamalinda Mahathery, którego posłał do jednego z klasztorów w Birmie. Gdy zakończywszy nauki młody książę powrócił z Birmy zastał rozprzężenie w kraju spowodowane "anarchistyczną" naturą sinhalijskiego buddyzmu (cywilizacja sinhalijska = antyczna cywilizacja Śri Lanki). Prestiż władzy tymczasowo podupadł a model boga-imperatora został obalony. Jednak buddyzm theravady utrzymał się jako dominująca religia Angkoru.

Druga połowa dwunastego wieku to złoty wiek Śri Lanki jako źródła buddyzmu theravady. Jej sława promieniowała na całą południowo-wschodnią Azję. Wiedza sinhalskich bhikkhu była bardzo znana i ceniona w całym współczesnym buddyjskim świecie. Kroniki podają, że ówczesny książę Kambodży wyprawił się do Śri Lanki by tam studiować nauki sinhalskich bhikkhu. Na kształtowanie się theravady w Kambodży miała także wpływ niewątpliwie sąsiednia Tajlandia, która także była krajem żarliwych wyznawców theravady. Niewątpliwie dzięki nim i Sinhalijczykom z czasem braminizm zanikał w Kambodży dając miejsce prężnie rozwijającej się theravadzie. Z czasem bramińscy bogowie w Wat Angkor byli zastępowani przez wizerunki Buddhy. W trzynastym wieku w państwie dominowała theravada, braminizm pozostał jedynie w postaci śladowej.

Jinakalamali relacjonuje kulturalne związki między Kambodżą i Śri Lanką w piętnastym wieku. Stwierdza mianowicie, że 1967 lat po Parinibbanie Buddhy, ośmiu mnichów prowadzonych przez Mahananasiddhiego wyruszyło z Kambodży i wraz z 25 mnichami z Nabbisपुरy w Tajlandii dotarło do Śri Lanki by otrzymać święcenia upasampada z rąk sinhalijskich Bhikkhu.

Buddyzm kontynuował swój rozwój Kambodży także w szesnastym wieku. Ang Chan (1516-1566), krewny króla Dhammaraja, także zasłużył się w rozwoju Buddyzmu. Zbudował stupę w swej stolicy i wiele buddyjskich kapliczek w całej Kambodży. W dalszej kolejności w popularyzowaniu Buddyzmu wyróżnił się Satha (1576-1594), syn i następca Barom Reachea, który przywrócił wielkie wieże Watu Angkor. Uprzednio stanowiła świątynię Wisznu, zbudowana przez Sriyavarmana II (1113-1150). Po restauracji dokonanej przez Sathę była jedną z najsłynniejszych buddyjskich świątyń od szesnastego wieku.

W siedemnastym i osiemnastym wieku ingerencja Tajlandii w politykę wewnętrzną Kambodży pomogła dalszemu rozwojowi theravady w tym kraju. Z pomocą Tajskich bhikkhu i Sanghi rozwinęły się studia buddyjskie. I chociaż ingerencja Tajlandii w wewnętrzne sprawy Kambodży nie pozwoliły jej się rozwijać politycznie i przeszkodziła postępowi, to Tajscy królowie bardzo przyczynili się do kształtowania się Buddyzmu. Tego okresu nie można ocenić jednoznacznie, bo niósł jednocześnie postęp w jednej dziedzinie i stagnację w drugiej.

W 1975 kiedy komuniści przejęli władzę w Kambodży próbowali zupełnie zniszczyć Buddyzm i prawie im się to udało. Aż do czasu wietnamskiej ingerencji każdy mnich i intelektualista został albo zamordowany albo skazany na wygnanie. Prawie każda buddyjska świątynia czy biblioteka zostały zniszczone. Wszyscy znamy zbrodnie Pol Pota i jego Czerwonych Khmerów. Echa tej tragedii wciąż brzmią echem nie tylko w tamtejszym regionie, ale i na całym świecie. Była to jedna z największych zbrodni popełnionych na ludzkości i na religii buddyjskiej (porównywalna z dzisiejszą gehenną narodu i Buddystów Tybetańskich pod okupacją chińską). Obecnie Buddyzm w Kambodży jest na etapie restauracji. Ościennie kraje takie jak Tajlandia czy Śri Lanka żarliwie w tym pomagają. Jednak brak kambodżańskich buddyjskich uczonych i liderów oraz niestabilna sytuacja polityczna kraju bardzo utrudniają to zadanie.

W świątyni na gorze stary człowiek uczy młodego gry na wielkich cymbałach. Oczywiście

się przy tym denerwuje, bo młody jakoś kiepsko daje sobie radę. Dalej idziemy pieszo wg trasy z przewodnika. W parku przy Wat Phnom Penh gracją liczne makaki, żebrzące u ludzi smakołyki do jedzenia. Kolejny punkt to dworzec kolejowy. Świeci pustkami. nie ma żywego ducha. Z tego dworca rzadko kiedy odjeżdżają pociągi, gdyż w całej Kambodży jest około 300 km kolei. Na dodatek szybciej pojedzie się autobusem. ze stolicy można pojechać koleją do Batambang, jednak czas przejazdu to 14 godzin, natomiast autobus jedzie tylko 5 godzin. Na pewno przeżycie przejazdu koleją wagonami towarowymi dostarcza niezapomnianych wrażeń, jednak wolę jechać autobusem, gdzie czas przejazdu i wygoda są po stokroć lepsze.

Po drodze mijamy kolejny market, gdzie znajduje się wiele stoik z biżuterią. nie jestem w stanie się oprzeć i wóychodzę biedniejsza o 12 dolarów, ale za to mam kolczyki i wisior z pięknego zielonego jadeitu. tutaj też spotykamy obrzydlistwa, czyli smażone pająki, larwy i karaluchy, ale można też spotkać ogromne ryby, krewetki, czy też kraby,

Dalej idziemy pod monument niepodległości mieszczący się na wielkim rondzie u zbiegu kilku dróg. Pomnik Niepodległości odsłonięto w 1958 roku, aby upamiętnić w ten sposób niezależność Kambodży od państw kolonialnych. Stąd nasza trasa biegnie dalej w kierunku Pałacu Królewskiego. Pałac zbudował król Norodom w 1870 roku. W skład zespołu pałacowego wchodzi m.in. Rezydencja Królewska, Sala Tronowa, Srebrna Pagoda. Srebrna Pagoda (Wat Preah Keo Morokat) należy do największych atrakcji miasta, ze względu na przechowywaną w niej bogatą kolekcję bezcennych przedmiotów, takich jak "Smaragdowy Budda", statuetki z okresu Angkor czy królewska lektyka. Nazwa pagody pochodzi od ponad 5000 srebrnych płytek, które pokrywają jej podłogę. Zewnętrzne ściany ozdabiają obrazy z eposu "Ramajana", które powstały na przełomie XIX i XX wieków.

Jest to bardzo turystyczne miejsce, a więc przed wejściem spore grupy żebrzących kalek i dzieci. Niestety mamy pecha, właśnie zaniknięto Pałac, gdyż przyjechał król i będzie tu urzędował. Spóźniliśmy się z godzinę. W pałacu mieści się szmaragdowy budda, czyli podobnie jak w Bangkoku go nie zobaczymy. idziemy więc nad brzeg Mekongu, gdzie jest spore zbiegowisko ludzi. Tłumie przychodzą do małej świątynki niosąc w darach kwiaty lotosu, które można zakupić na stoiskach obok. Kwiaty są zanurzane w wodzie w srebrnym naczyniu, a potem oddawane ludziom w woreczkach z wodą. Ciekawy zwyczaj. Można tu również kupić jednego z setek ptaszków, które w klatkach mają sprzedający. Kupuje się go, a następnie wypuszcza "na szczęście". W 5takim miejscu, gdzie jest dużo ludzi, pojawiają się od razu kalecy na swoich wózkach i żebrzą o datki. W końcu musimy się zbierać, bo nagle zerwał się wiatr i pojawiła się ogromna czarna chmura. Chwilę po tym jak docieramy do guest haousa następuje oberwanie chmury. leje jak z cebra, a my jemy steki i pijamy tutejsze piwo Angkor.

Po obiadokolacji przestaje padać więc idziemy jeszcze na spacer w pobliże Pałacu Królewskiego, ale wiele nie widać, bo niestety nie jest oświetlony. Przy małej świątynce przy której przed paroma godzinami był tłum ludzi, teraz odbywa się wielkie sprzątanie. Obok kapliczki stoi śmieciara i... wszystkie przyniesione przez ludzi dary w niej lądują.

W drodze powrotnej od ulicznej sprzedawczyni kupujemy pomelo. Jest to coś pomiędzy pomarańczą a grejpfrutem. Dla mnie zdecydowanie bliżej mu do tego drugiego. Jest gorzki.

Wracamy do pokoju i szykujemy się spać. Jutro wczesna pobudka o 5:30.

16.07.2009 (czwartek)

Budzik dzwoni o poranku. O 6 rano jesteśmy już na dole i zamawiamy 2 bagietki z omletem na wynos, a na obudzenie się dwie szybkie kawy. Recepcja podlicza wszystkie nasze koszty w zeszycie naszego pokoju. O 6:30 zostajemy zapakowani do busa. Pan kierowca jest śmieszny. Osób w busie niewiele, ale on liczy nas. Wychodzi mu 5 osób do Bangkoku, 2 do Batambang (czyli my)i jedna do Kratie. I tej ostatniej brak. Wyciąga krótkofalówkę, z kimś się kontaktuje i po chwili zagubiona turystka odnajduje się. Ot i organizacja pracy.

Nasz busik wyjeżdża na ulice stolicy. Kierowca przez cały czas rozmawia z kimś przez

krótkofalówkę, kluczy małymi uliczkami miasta aby wreszcie dotrzeć pod market Thme. Tutaj na jednym z rogów placu zostaje przepakowana turystka do Kratie. My podjeżdżamy kawałek dalej i razem z osobami jadącymi do Bangkoku zostajemy umieszczeni przez kierowcę w odpowiednim autobusie. Tuż przed 7 ano ekspresowy autobus rusza. Jest tu nawet klima!!! Najpierw bardzo sługo wyjeżdżamy ze stolicy, jadąc przez muzułmańskie obrzeża miasta. Wszędzie dookoła kobiety w muzułmańskich chustach, a dzieci w zielonych mundurkach – dziewczynki mają chusty, a chłopcy charakterystyczne białe czapeczki. Co chwilę mijamy też meczety. Całkiem sporo ich tutaj.

Po opuszczeniu stolicy droga prowadzi przez nieliczne osady. Po jej stanie widać, że jest nowa i bardzo dobrze się jedzie. Stąd odległość ok. 300 km można pokonać w niespełna pięć godzin. Koło 8:30 musimy pilnie się zatrzymać. Paweł prosi kierowcę, niestety po porannej kawie na pusty żołądek, a teraz zjedzeniu bagietki z omletem mam ścisk i muszę pędzić na tzw. „stronę”. Kiedy kierowca się zatrzymuje wypadam z autobusu jak z procy i lecę w pierwsze zadrzewione miejsce, które okazuje się być bananowym sadem należącym do mieszkańców pobliskiego domku. Jednak w takiej chwili mnie to nie interesuje. Inni podróżni też korzystają z chwili przerwy. Uff wracam zadowolona. Teraz już spokojnie mogę jechać dalej.

Mijamy pola ryżu i pasące się kremowe bydło z charakterystycznym garbem na grzbiecie. Bawołów wodnych brak. W połowie drogi zatrzymujemy się w przydrożnym barze na ciepły posiłek. Kiedy zajeżdżamy pod budynek, pod nim w rzędzie ustawia się czterech buddyjskich mnichów po datki. Tego jeszcze nie widziałam...

Chwilę po 12 dojeżdżamy do Batambang. Jest to drugie co do wielkości miasto kraju z około 170 tys. mieszkańców. Położone jest nad rzeką Battambang, na Równinie Kambodżańskiej, na zachód od jeziora Tonle Sap, przy linii kolejowej Phnom Penh – Bangkok. Jest dość przyjemne, niebrzydkie, z interesującą architekturą kolonialną, kilkoma świątyniami i dość malowniczymi okolicznymi wioskami. Miasto słynie z efektownych posągów, zdobiących wiele publicznych miejsc. Niewielu turystów tu zagląda, co można potraktować jako dużą zaletę Battambang. W okolicy znajdują się ruiny khmerskich świątyń w Ek Phnom oraz Phnom Banan, a także wzgórze Phnom Sampeau z Killing Caves, pełnymi śladów zbrodniczej działalności Pol Pota.

Kierowca wysadza nas blisko centrum miasta. W Kambodży zauważyłam busy bardzo często wysadzają podróżnych blisko centrum, nie tak jak w Laosie nawet kilkanaście kilometrów za miastem. Znowu zaczyna padać deszcz. Od razu rzucają się na nas tutejsi tuktukarze. Ten który nas dorwał mówi niezłe po angielsku. Za 1 dolara wiezie nas do hotelu, oferując po drodze wycieczki. Wnętrze tuk tuka poklejone jest zdjęciami z różnych ciekawych miejsc wokół Batambang. Za przywiezienie nas do hoteliku dostanie jeszcze prowizję, a w miejscu które aż tak popularne nie jest, tym bardziej w porze deszczowej, każdy turysta jest na wagę złota.

W hotelu ustalamy z kierowcą, gdzie ma nas zabrać. Następnie meldujemy się w hotelu, gdzie dostajemy pokój aż na czwartym piętrze. Kupujemy też od razu bilety na jutrzejszą łódź do Siem Riep. Przy okazji zamawiamy nocleg w guest housie w Siem Riep przez recepcję, która zapewnia nam również, że jutro na docelowym nabrzeżu będzie czekał na nas tuk-tuk do hotelu.

Po załatwieniu najpilniejszych spraw idziemy zjeść zupę – krem z sera i ziemniaków oraz gofry. Po czym o 13:30 z kierowcą ruszamy na wycieczkę poza miasto. Najpierw zafundowaliśmy sobie przejażdżkę bambusową tratwą, która porusza się po torach kolejowych. Super miejsce ze względu na bamboo train! Kilka kilometrów pod miastem można się przejechać drezyną z silnikiem spalinowym, która pędzi 30 km na godz po torach. Kilkukilometrowa trasa to. znakomita zabawa, zwłaszcza kiedy bambusowa tratwa podskakuje na złączeniach krzywych torów. Jak tu może jeździć pociąg to nie mam pojęcia, być może to tłumaczy, że pociąg ze stolicy jedzie tu 14 godzin. Koszt 8 dolarów za pojazd zrobiony w kilka minut przez dzieci. Bamboo train ma hamulec i jest w miarę bezpieczny. Trasa kolejowa na której szaleją młodzi kolejarze podobno jest obecnie zamknięta (Phnom Penh – Battambang). Miejscowi po remoncie też chcą utrzymać swój pociąg, tym bardziej że służy on nie tylko na zarabianiu na turystach, ale przewożeniu miejscowej ludności między wioskami, oczywiście taniej niż turystów. Kiedy dwie tratwy jada z naprzeciwka, to wtedy jedną trzeba zdjąć z torów. Czynność jest niekłopotliwa. Najpierw trzeba zdjąć bambusową tratwę i silnik, a potem dwa metalowe rozrządy z kołami i już. Całość trwa 30 sekund. Na końcu trasy jest

kolejna wioska, gdzie w piecach wypalane są cegły. Można kupić również coś do picia i z powrotem w drogę. Kiedy docieramy do Batambang nie mogę się nadziwić ilości róż chińskich w ogródkach. Głównie są czerwone, ale w Laosie widziałam także różowe i pomarańczowe.

Kolejnym miejscem które odwiedzamy to Wat Phnom Sampeau położone około 18 kilometrów za miastem. Jest to kilka świątyń położonych na samotnym wzniesieniu wznoszącym się na równinie Mekongu. Jedziemy drogą bez asfaltu, tylko ubita pomarańczowa gleba. Tuk - tuk co chwilę podskakuje na nierównościach.

Docieramy na miejsce. Jednak okazuje się, że musimy wynająć dwa skutery z kierowcami, bo sporo czasu zajmie nam chodzenie po tej górze, a tyle czasu nie mamy. Całe szczęście, że wynajęcie skuterów nie jest drogie. Najpierw wjeżdżamy do miejsca gdzie znajduje się jaskinia śmierci. Jest to jaskinia, która w swoim stropie ma otwór. Przez ten otwór Khmerowie zrzucali ludzi do wnętrza jaskini. We wnętrzu jaskini znajduje się kapliczka z czaszkami zamordowanych ludzi. Jaskinią opiekują się buddyjskie mniszki. Jedna właśnie siedzi na dywaniku i zbiera datki. Później wjeżdżamy skuterami w miejsce gdzie znajduje się kilka świątyń. Złote posągi Buddy, kolorowe malowidła i ludzie odpoczywający w cieniu nie mający nic do roboty z braku turystów. Kiedy wpisywaliśmy się do księgi przy kupnie biletów. Strażnik był zdziwiony bo mówił, że nie ma w niej żadnych Polaków. Ze wzniesienia roztacza się widok na niesamowicie równinną, żeby nie powiedzieć płaską równinę, z której wystaje dosłownie kilka pagórków podobnych do tego na którym jesteśmy.

Po 3,5 godzinach wracamy do Batambang. Dochodzi już godzina 17, ale udajemy się na spacer nadbrzeżem rzeki, gdzie znajdują się stare pokolonialne zabudowania. Tutaj na ulicy widzę niesamowity obrazek - na bagażniku motoru jest wieszona gigantycznych rozmiarów świnia, ale naprawdę gigantyczna. Na tym bagażniku leży na plecach(!!!) nogami miota w powietrzu, a ogromniaste uszy powiewają jej od podmuchów jazdy... Kosmiczny widok. Nawet czasu nie było na wyciągnięcie kamery czy aparatu.

Zaczynamy być głodni toteż swoje kroki kierujemy na polecaną w przewodniku restaurację White Rose. Zamawiam z bardzo bogatego menu – kurczaka z anansem i orzechami nerkowca oraz shake'a mango-banan-ananas. Warto było tu przyjść. Jedzenie wyśmienite. Obok restauracji znajduje się chińska szkoła, więc zaglądam tam przez okna, bo nie w nich szyb. Szkoła jak ze starodawnych filmów... Potem chwila w hotelu, aby zrzucić zdjęcia do laptopa i możemy pójść jeszcze do Gecko Coffee, gdzie przewodnim motywem jest gekon. Dodatkowym plusem jest to, iż posiadają tu bezprzewodowy Internet i widok na główną ulicę miasta. Mogę sobie obserwować, jak ludzie korzystają z przygodnego transportu, czyli ciężarówek aby gdziekolwiek się dostać. Podróżują też na czymś w rodzaju traktorków. Na przyczepie jest coś w rodzaju poziomej drabinki, na której ludzie siedzą i jadą w żółwym tempie.

Dochodzi już 21:30miasto jak wymarłe. Wszyscy śpią i na ulicach nie ma praktycznie nikogo. Zapomniałam chyba napisać o jednej ciekawostce. W Kambodży podstawowym „dziennym” ubiorem jest strój który w Polsce uważany jest za piżamę. Chodzą w tym przede wszystkim kobiety. Dziwnie i śmiesznie to wygląda. Oczywiście jak na piżamę przystało na bluzce zawsze jest jakiś miś, albo inny pluszak.

No nic czas spać. Dzisiaj nie dość, że wstaliśmy wcześniej ano, to przejechaliśmy 300 kilometrów i jeszcze zwiedziliśmy Batambang i okolice, a jutro kolejna pobudka o 5:30 i jedziemy dalej...

17.07.2009 (piątek)

W końcu miękkie łóżko, więc mimo wczesnej pory wstaje wypoczęta. W hotelowej restauracyjce wypijamy herbatę, a 4 bagietki z omletem bierzemy na wynos. Busik z hotelu zabiera nas oraz dwóch Norwegów prosto na przystań łodzi.

Łódź niczego sobie. Na łodzi byliśmy jedni z pierwszych więc zajęliśmy dobre miejsca z przodu na drewnianych ławeczkach, na szczęście przytwierdzonych do podłogi. Po pewnym czasie zebrało się trochę „białych”, tak że wolnych siedzących miejsc już praktycznie nie było.

Dodatkowo jeszcze na łódkę załadowała się grupa lokalesów wraz z inwentarzem (na szczęście głównie w postaci worków z ryżem, torby mięsa, owoców i innych dóbr).

Z Batambang popłyniemy łodzią do Siem Riep. To najlepsza droga dojazdu, można autobusem, ale trwałoby to wieczność. Łodzią wynosi "zaledwie" 7 godzin, ale jest warto. Trasa prowadzi rzeką Sangker River, następnie przez jezioro Tonle Sap. W prostej linii z Battambang do Siem Reap jest ok 80 km, droga (szosa to tego czegoś się nie da nazwać) 117 km. Myślę, że rzeka to podobny dystans, bo na mapie rzeka bardzo kluczy. Mamy szczęście, że jesteśmy tu w porze deszczowej, bo w suchej różnie jest ze stanem wody i często tę trasę nie da się pokonać, z powodu niskiego stanu wody.

Początkowo rzeka prowadzi przez zamieszkane okolice Battambang, gdzie brzeg jest wysoki, a domy budowane na palach. Łódź co chwilę musi zwalniać, bo za sobą robi taką falę, że małe domki ulokowane tuż przy brzegu ledwie trzymają się na wodzie. Rzeką szeroka na jakieś 20-25 m. W miarę jak płyniemy brzeg się obniża i naszym oczom okazują się pola ryżowe. Bieda w tych rejonach aż piszczy. Domy, które nawet ciężko nazwać domami, bo to raczej sterty bali bambusowych z dachem ze wszystkiego co się mieszkańcom udało znaleźć.

Za miastem Batambang rzeka zwęża się do kilku metrów i zaczyna płynąć zakolami. Meandry rzeki w niektórych miejscach były tak ostre (zakręty 180 stopni), że łódź nie dawała rady skręcić na raz. Obsługa pomagała wiosłami. Na brzegach rzeki co chwilę pojawiają się domki tutejszych mieszkańców. Bardzo biedne - często unoszące się na wodzie, albo tonące w błocie. Część z nich jest na bardzo wysokich palach, stąd widać, jaki może być wysoki stan wody w środku pory deszczowej. Inne domki znajdują się na tratwach. Też dobry pomysł, bo wtedy domek podnosi się wraz z poziomem wzrastającej wody. Każdy z mieszkańców ma tutaj po kilka łódek, bo to jest transport, innego nie ma. Brak tutaj jakiegokolwiek drogi, jest nią rzeka. Na polach ryżu trwają właśnie zbiory i młócenie. Oczywiście ryż ścinany jest ręcznie za pomocą sierpów. Co chwilę przelatują nad nami niezliczonych gatunków ptaki. Jedne są czarne i mają bardzo długie szyje. Na drzewach u brzegów można zobaczyć przedziwne kokony, które są gniazdami ptaków. Na niektórych drzewach jest ich sporo i wyglądają niczym bombki na choince. Na brzegach można również spotkać chude bydło z garbem.

W jednej z mijanych przez nas wiosek cała osada tonęła w błocie, przez które na boso biegły dwie kobiety z walizeczkami aby wsiąść na naszą łódkę. Masakra.

Około godziny 10 zatrzymujemy się w dużej wsi na wodzie, gdzie łódź cumuje przy sklepie na tratwie, gdzie kierowca chwilę odpoczywa posilając się zupa, a my wypijamy zimne napoje. Kierowca i tak ma stalowe zdrowie huk silnika jest ogromny, na dodatek te manewry na wąskich zakrętach muszą człowieka wyczerpać, a to dopiero połowa drogi. Obok na tarasie sklepu trwa w najlepsze ciecie ogromnej bryły lodu, która trafia do łódki, bo oczywiście prądu tu nie ma. Co chwilę obok sklepu przepływa łódka, a to z dziećmi, a to z mnichami w swoich pomarańczowych szatach. Po pół godzinie opuszczamy wioskę. Jest to miejsce, gdzie rzeka się rozwidla, my płyniemy w kierunku jeziora.

W czasie płynięcia można sobie wejść na dach i stamtąd podziwiać okolicę, ale dzisiaj słońce tak świeci, że trudno tam długo wytrzymać. Najbardziej wytrzymała jest rodzina Belgów, rodzice plus czworo dzieci, które czytają na dachu... Harrego Pottera.

Im dłużej płyniemy tym coraz więcej było pływających wsi na bambusowych tratwach (super sprawa, bo gdy poziom wód się podnosi w porze deszczowej, wioska podnosi się wraz z rzeką). Tutaj ludzie żyją już tylko i wyłącznie w domach-łódkach. Gdzieś tam widzieliśmy wielkie rusztowania z sieciami rybackimi. Od czasu do czasu łódź gdzieś zawija i zabiera kolejnych miejscowych na pokład. W mniejszych wioskach aby kogoś zabrać, łódź zatrzymuje się na środku rzeki i czeka, aż podróżnego inny mieszkaniak wioski podrzuci na łódeczce. Pojawia się też coraz więcej liściastych roślin rosnących przy brzegu rzeki. Najwidoczniej miejscowa ludność do czegoś jej używa. Są też miejsca gdzie mieszkańcy tych wiosek zakładają sieci i sidła uplecione z patyków. Sidła są tak skonstruowane, że ryba wpłynie do środka, ale już z nich nie wypłynie bo nie umie się cofnąć, a zawrócić się nie da, bo sidła są wąskie.

W pływających wioskach sklepy, szkoły, a nawet kościół wszystko znajduje się na tratwach.

Życie toczy się swoim rytmem - ktoś się myje w rzece, albo reperuje sieci, czy też łowi, albo się obija huśtając na hamaku... i wszystko na to można sobie do woli patrzeć.

Aż w końcu rzeka która płynęliśmy dotarła do jeziora Tonle Sap. Wpłynęliśmy na nie jak na morze. Jest gigantycznych rozmiarów - podobno jedno z największych w Azji - to rezerwar ogromnych ilości ryb. Tonle Sap to jezioro w Kambodży, największe na Półwyspie Indochińskim. Bardzo zmienne pod względem stanu wody w zależności od pory roku (pow. 3000 - 30 000 km²). Głębokość od 0,3 m do 14 m. Jezioro jest połączone przez rzekę Tonle Sap z Mekongiem. Znajdują się na nim pływające wsie rybackie i liczne osiedla na palach, szacuje się iż jest ich ok. 170. Jezioro to położone jest na płaskiej równinie. Wkrótce po rozpoczęciu się pory deszczowej rzeka Tonle Sap zmienia kierunek swego biegu i zaczyna płynąć wstecz wtłaczając piętrzące się wody z Mekongu. Poziom wody jeziora gwałtownie się podnosi o jakieś 14 m. Cofająca się rzeka Tonle Sap nanosi do jeziora żyzne osady aluwialne, wpływają również ogromne ilości ryb z Mekongu, które w tym bogatym w składniki odżywcze środowisku składają ikrę. W związku z tym jezioro jest jednym z najbardziej zasobnych w ryby słodkowodne akwenów na świecie. Po zakończeniu pory deszczowej woda błyskawicznie opada, tak iż często rybacy zdejmują ryby uwięzione wśród zalanych wcześniej gałęzi na drzewach.

Tonle Sap to nie tylko cud przyrody, lecz także główne źródło pożywienia dla większości mieszkańców Kambodży. Kiedy jezioro umrze, kilka milionów ludzi może nie mieć co jeść. Każdej wiosny wody Tonle Sap podnoszą się i zatapiają kambodżańską wioskę Chhnok Trou. Drogi, pola - woda zakrywa wszystko. Tylko czubki drzew wystają nad jej powierzchnię. Wieśniakom to nie przeszkadza. Chaty budują na wysokich palach. W listopadzie, kiedy kończy się pora deszczowa i jezioro wraca do brzegów, mnóstwo ryb stanie się łatwym łupem dla rybaków.

Tonle Sap, czyli Wielkie Jezioro, to największy słodkowodny zbiornik Azji Południowo-Wschodniej. Wiosną, gdy w Himalajach nadchodzą roztopy, a na nizinach padają deszcze, podnoszą się wody Mekongu, najdłuższej rzeki tej części Azji. Mekong rośnie w siłę, wijąc się przez Chiny, Birmę, Laos, Tajlandię, znów Laos, potem płynąc granicą Kambodży. Gdy dociera do Phnom Penh, jego nurt jest dość silny, by odwrócić bieg rzeki Tonle Sap i wlać się do Wielkiego Jeziora. Wtedy zbiornik występuje z brzegów i zalewa obszar 16 tys. kilometrów kwadratowych. To pięciokrotnie więcej niż jego pierwotna powierzchnia. Służąc za wielki zbiornik wyrównawczy, jezioro chroni deltę Mekongu przed powodzią, a jesienią powoli oddaje wody do głównego nurtu rzeki. Spełnia istotne zadanie: w porze suchej umożliwia w Kambodży uprawę, a w Wietnamie nawadnianie.

Tonle Sap jest też narażone na niekorzystne skutki ludzkich poczynań w górze rzeki Mekong. Zapory hydroenergetyczne, zbudowane w Laosie i Chinach, zahamowały naturalne wędrówki ryb i zaburzyły sezonowe wahania poziomu wód, mające znaczenie dla tarła i całego cyklu rozrodczego ryb.

Najważniejszym jednak źródłem kłopotów Tonle Sap jest działalność na terenach przybrzeżnych. Nielegalny wyręb огоłocił zbocza gór wokół jeziora, a wskutek erozji gleb zbiornik zamula się. Do wody dostają się też pestycydy z okolicznych gospodarstw rolnych, które zatruwają ryby oraz inne organizmy. Wyręb i rolnictwo osuszają okoliczne mokradła, pozbawiając tarlisk wiele spośród 1300 gatunków ryb Tonle Sap, a także zagrażając uprawom ryżu.

Kiedy tak płynęliśmy przez jezioro-morze zaczęły się nad nim gromadzić ciemne chmury. Łódź zaczyna na sporych falach unosić się dość gwałtownie. Jak ktoś ma chorobę morską może źle skończyć. Siedzę sobie na dachu, skąd podziwiam „morskie” widoki. Jednak gdy zaczyna padać muszę się ewakuować. Zaczyna dość koszmarnie, a my wpływamy z jeziora w rzekę, która prowadzi w kierunku Siem Riep. Ostatni fragment między jeziorem i rzeką to duża pływająca wioska Chong Khneas, do której z oddalonego o 12km Siem Riep za kilkanaście dolarów przyjeżdżają wycieczki turystów. My już widzieliśmy całą ich masę płynąc tutaj przez kilka godzin.

Przypływamy przystani czekają już zarobić na Każdy dzierzył w dollar to town". Na guesthouse-u, który wcześniej. Nie dało plansza z żółtym Smiley) oraz nazwisko;).

następująco: Ms. Man widać na zdjęciu.

Odbieramy plecaki, znajdowały się na plandeka była nie intensywny deszcz. przylepia się do mnie są nasiąknięte niczym

Po 20 naszego guest housu przez dwie godziny

I tak oto miejsca słynnego ze

Reap to miasto w północno-zachodniej Kambodży, na Równinie Kambodżańskiej, nad rzeką Siem Reap, ośrodek administracyjny prowincji Siem Reap. Około 128,5 tys. mieszkańców - czwarte pod względem wielkości miasto kraju. W pobliżu Siem Reap znajdują się pozostałości dawnej stolicy Imperium Khmerskiego, Angkoru. Nazwa miasta oznacza "Klęskę Syjamu", na cześć zwycięskiej bitwy, którą Khmerzy stoczyli z Tajami (d. Syjamczykami). W zawiązku ze stabilizacją sytuacji politycznej w Kambodży, od końca lat 90. burzliwie rośnie liczba turystów odwiedzających Siem Reap, co powoduje szybki rozwój miasta.

Po odpoczynku idziemy do centrum miasta. Droga dookoła z dziurami, a ruch na ulicy dość spory. Na dodatek każdy z pojazdów jeździ jak mu się podoba. W jednym z zaułków znajdujemy sympatyczna knajpkę, gdzie zamawiamy khmerską zupę Amok, dwa piwa oraz koktajle owocowo-alkoholowe. Zupa jest wyborna, ale z czego jest zrobiona, to nie mam zielonego pojęcia. Nasz kolega Bartek, który bywa często w Azji z grupami, raz próbował nauczyć się jej gotowania od mistrzów tutejszej kuchni, ale darował sobie jak zobaczył ile różnorodnych składników potrzeba do tej potrawy. Mój koktajl ma smak... gumy balonowej Donald. Restauracyjka wie jak przyciągać klientów, po obiedzie otrzymujemy darmowy deser owocowy, a jeszcze potem do chrupania popcorn z orzeszkami. Jakby się rozejrzeć, to wszędzie dookoła sami turyści. Tak jakby w Kambodży istniało tylko to miejsce. No cóż to tutaj jest Angkor Wat, który jutro mamy zamiar zobaczyć.

Powoli zapada noc idziemy więc na market znajdujący się w samym centrum miasta, gdzie kupujemy pamiątki. I tak do pokoju docieramy koło północy.

18.07.2009 (sobota)

Wstajemy koło 8 rano. Ostatnie dni kiedy były pobudki o 5:30 należało teraz odespać, tym bardziej, że jutro też spania nie będzie, gdyż pojedziemy na wschód słońca nad Angkor Watem.

Dzień zaczynamy od śniadania w hotelu. Nie ma to jak tradycyjnie naleśnik z bananami – Paweł, a ja bagietkę z jajecznicą. Po śniadaniu wypożyczamy hotelowe rowery i jedziemy 6 km do



do nabrzeża około 13:30. Na rzesze kierowców tuk tuków aby przybywających turystów. dłoni kartkę z tekstem "One nas czekał już tuk tuk z sobie zarezerwowaliśmy dzień się go nie zauważyć... duża uśmiechkiem (bo nazwa GH to zniekształcone nasze imiona i Nazywaliśmy się więc Ezyk i Ms. Anna Pawez... co

które przez całą podróż dachu pod plandeką. No cóż wystarczająca na krótki, ale Kiedy zakładałam swój plecak on i czuje, że niektóre jego części gąbka.

minutach jazdy docieramy do Smiley's. Dostajemy pokój i się objamamy.

dotarliśmy do Siem Reap świątyni Angkor Watu... Siem

świątyni Angkor Watu. Po drodze po raz drugi w Kambodży widzę świnki na bagażniku skutera, tym razem jednak są, aż dwie, ale tak piorunującego wrażenia jak świnka w Batambang nie robią.

Dojeżdżamy do kas biletowych, których jest tu kilka. Aby zwiedzać świątynie kompleksu Angkor, można kupić bilet jednodniowy za 20 dolarów, albo trzydniowy za 40. Wybieramy tę drugą opcję. Bilety sprawdzane są tu w każdym miejscu i przy ich zakupie kamerka robi zdjęcie, które jest nadrukowane na bilet wstępu. Nie ma możliwości wejścia na cudzy bilet.

Jeszcze trochę jedziemy rowerami, po czym zatrzymujemy się na dużym parkingu, gdzie przymocowujemy rowery i idziemy zobaczyć Angkor Wat.

Najlepiej o Angkorze zostało napisane w magazynie National Geographic:

„Z powietrza wygląda to jak halucynacja – wiekowa świątynia pojawia się i znika. Najpierw jest to zaledwie plama umbry na leśnej okrywie północnej Kambodży. Pod nami rozciąga się zaginione miasto Angkor, dziś w ruinie, zaludnione głównie przez wieśniaków uprawiających ryż. Skupiska domów khmerskich, pnące się wysoko w górę na długich cienkich palach – żeby przetrwać monsunowe powodzie – znaczą krajobraz pomiędzy Tonle Sap, „wielkim jeziorem” południowo-wschodniej Azji, i wzgórzami Kulen. Gdy Donald Cooney sprowadza leciutki samolot ku wierzchołkom drzew, moim oczom ukazuje się wspaniała świątynia. Odbudowana w latach 40. ubiegłego stulecia XII-wieczna Bântéay Sâmre, poświęcona hinduistycznemu bogu Wisznu, to wspomnienie średniowiecznego imperium Khmerów. Świątynia jest zamknięta w kwadracie podwójnych murów. Kiedyś wokół mogła biec fosa, symbol oceanów otaczających górę Meru, mityczne domostwo hinduistycznych bogów. Bântéay Sâmre jest tylko jednym z ponad tysiąca przybytków kultu wzniesionych przez Khmerów w mieście Angkor podczas gorączki budowania, którego skala i poziom ambicji dorównują piramidom Egiptu.

Angkor to miejsce upadku, jednego z największych w dziejach. Królestwo Khmerów istniało od IX do XV w. i panowało nad szeroką połacią Azji Południowo-Wschodniej od Birmy (Myanmaru) na zachodzie po Wietnam na wschodzie. W stołecznym Angkorze na obszarze większym od współczesnego Paryża mieszkało aż 750 tysięcy ludzi. Był to najrozleglejszy zurbanizowany kompleks świata przedindustrialnego. Pod koniec XVI w., gdy portugalscy misjonarze dotarli do przypominających kształtem lotos wież Angkor Wat, najwymyślniejszej ze świątyń miasta i zarazem największego na świecie religijnego monumentu, olśniewająca niegdyś stolica imperium dogorywała.

Uczeni sporządzili długą listę domniemanych przyczyn, obejmującą najazdy, zmianę wierzeń religijnych i zwrot ku handlowi morskemu, który okazał się wyrokiem na miasto położone w głębi lądu. To w głównej mierze zgadywanki: na ościeżach świątynnych wrót i na wolno stojących stelach zachowało się ok. 1 300 inskrypcji, ale nie ma tam nic, co wyjaśniałoby powody upadku królestwa.

Niedawne wykopaliska, związane nie ze świątyniami, lecz infrastrukturą, która umożliwiała funkcjonowanie tak ogromnego miasta, podpowiadają nową teorię. Śmiała myśl, która przekształciła zlepek drobnych terytoriów lennych w imperium, przesądziła, jak się wydaje, również o końcu Angkoru. Ta cywilizacja nauczyła się poskramiać sezonowe powodzie, a potem podupadła, gdy przestała panować nad wodą, najważniejszym ze swoich zasobów.

Ciekawa relacja z pierwszej ręki pozwala wyobrazić sobie miasto w zenicie rozwoju. Pod koniec XIII w. chiński dyplomata Zhou Daguan spędził tam blisko rok. Mieszkał skromnie, jako gość rodziny z klasy średniej, w której jadło się ryż łyżkami z kokosowych skorupki i piło wino z miodu, liści lub ryżu. Opisuje makabryczne praktyki (zaniechane na krótko przed jego pobylem) pobierania żółci od żywych dawców, by przyrządzać napój zapewniający odwagę i waleczność. W ramach uroczystości religijnych urządzano pokazy sztucznych ogni i walki odyńców. Największe widowiska odbywały się, gdy król raczył się pokazać poddanym. W monarszych pochodach uczestniczyły słonie i konie ze złotymi ozdobami oraz setki kobiet z pałacu, przystrojonych w kwiaty.

Rytm codziennego życia jest też utrwalony w rzeźbach, które przetrwały stulecia powolnego niszczenia i, w mniej odległych czasach, wojnę. Płaskorzeźby na fasadach świątyń pokazują codzienne sceny, na przykład dwóch mężczyzn pochylonych nad grą planszową, kobietę rodzącą w

cienistym pawilonie. Oddają też hołd światu ducha zamieszkanemu przez takie istoty jak apsary – ponętne niebiańskie tancerki służące jako posłańcy pomiędzy ludźmi i bogami.

Plaskorzeźby odsłaniają wszakże i problemy tego raju. Wśród wizji ziemskiej harmonii i najwyższego oświecenia przewijają się sceny wojenne. Na jednym z reliefów wojownicy sąsiedniego królestwa Czampy wypełniają okręt na jeziorze Tonle Sap od dziobu po rufę. Scena została uwieczniona w kamieniu oczywiście dlatego, że Khmerzy tę bitwę wygrali.

Chociaż w tym starciu zwycięstwo było po stronie Angkoru, miasto rozdzierały konflikty, czyniące je mniej odpornym na ataki Czampy ze wschodu i potężnego królestwa Ajutthajaa z zachodu. Królowie khmerscy mieli po kilka żon, co gmatwało linię sukcesji i niosło nieustanne intrygi, ponieważ książęta rywalizowali o władzę. – Przez wieki to było jak wojna dwóch róz o angielski tron. Państwo Khmerów często było niestabilne – mówi Roland Fletcher, archeolog z uniwersytetu w Sydney, współkierujący przedsięwzięciem naukowym pod nazwą Projekt Wielkiego Angkoru.

Niektórzy naukowcy sądzą, że Angkor padł tak jak żył: od miecza. Annały Ajutthajaa stwierdzają, że wojownicy królestwa „wzięli” Angkor w roku 1431. Prosperujące miasto Khmerów byłoby niewątpliwie cennym łupem. W inskrypcjach szczyciło się, że wieże świątyni ma pokryte złotem, co potwierdza pełna zachwytów relacja Zhou. Żeby pogodzić opowieści o bogactwie Angkoru z opłakanymi ruinami napotkanymi przez zachodnich podróżników, historycy francuscy sto lat temu na podstawie zwodniczych aluzji wyciągnęli wniosek, że królestwo Ajutthajaa podbiło Angkor.

Fletcher, który mówi, że jego obsesją jest „odgadywanie, dlaczego osady ludzkie rosną i giną”, ma wątpliwości. Niektórzy z dawniejszych uczonych, zauważa, patrzyli na Angkor z perspektywy historii europejskiej – ciągu oblężeń i podbojów. – Władca Ajutthajaa rzeczywiście „wziął” Angkor i może nawet zabrał do siebie jakieś obrzędowe regalia – mówi Fletcher. Gdy jednak Angkor został „wzięty”, władca Ajutthajaa osadził na tronie zdobytego miasta własnego syna. – Nie jest prawdopodobne, by wszystko zniszczył i dał synowi ruinę – powątpiewa archeolog.

Dworskie intrygi nie musiały niepokoić większości poddanych w królestwie Angkoru, ale religia była bardzo ważna w codziennym życiu. Antropolodzy nazywają takie miasta regal-ritual city. Tamtejsi królowie mieli się za hinduistycznych władców świata i wznosili świątynie dla samych siebie. Gdy jednak w XIII i XIV w. hinduizm stopniowo oddawał pole buddyzmowi theravada z jego zasadami równości społecznej, elita Angkoru mogła poczuć się zagrożona. – To była religia wywrotowa, tak jak chrześcijaństwo było wywrotowe dla cesarstwa rzymskiego – mówi Fletcher. – I niezmiernie trudno byłoby powstrzymać jej szerzenie się.

Taka religijna zmiana mogła niszczycielsko podkopywać władzę królewską. Regal-ritual city prowadziło gospodarkę bez pieniądza, opierając się na daninach i opodatkowaniu. Rzeczywistą walutą królestwa był ryż, podstawa pożywienia przymusowych robotników budujących świątynie i wielu tysięcy ludzi, którzy je obsługiwali. Inskrypcja w kompleksie Ta Prôhm podaje, że w tej jednej świątyni służyło 12 640 osób. Była tam też adnotacja, że przeszło 66 tys. rolników produkowało prawie trzy tysiące ton ryżu rocznie, by nakarmić to mrowie kapłanów, tancerek i robotników świątynnych. Jeśli dodać do tego tylko trzy wielkie świątynie – Preăh Khăh i jeszcze większe kompleksy Angkor Wat oraz Bayoăh, to rzesza niezbędnych do pracy chłopów rozrasta się do 300 tys. To według szacunków niemal połowa ludności Wielkiego Angkoru. Nowa, egalitarna religia, taka jak buddyzm theravada, mogła prowadzić do buntu. Lub też, być może, dwór królewski po prostu odwrócił się od Angkoru. Kolejni władcy zazwyczaj wznosili nowe kompleksy świątynne, pozwalając, by starsze chyliły się ku upadkowi. To upodobanie do budowania od nowa za każdym razem, gdy zmieniała się władza, mogło okazać się zgubne dla miasta, gdy zaczął rozkwitać handel morski pomiędzy Azją Południowo-Wschodnią i Chinami. Być może zwykły ekonomiczny interes sprawił, że przed wiekiem XVI ośrodek władzy Khmerów przeniósł się w miejsce bliższe rzeki Mekong, niedaleko dzisiejszej stolicy Kambodży Phnom Penh, skąd łatwiejszy był dostęp do Morza Południowochińskiego.

Ekonomiczne i religijne zamieszanie mogły przyspieszyć upadek Angkoru, ale jego władcy zostali zaskoczeni przez inne jeszcze przeciwieństwo losu. Angkor stało się średniowieczną potęgą

dzięki rozbudowanemu systemowi kanałów i zbiorników, który pozwalał gromadzić cenną wodę w miesiącach posuchy i pozbywać się jej nadmiaru w sezonie deszczowym. Moce, na które miasto nie miało wpływu, sprawiły, że ta doskonale wyregulowana machina zacięła się.

Jedno z najświętszych miejsc Angkoru leży wysoko na wzgórzach Kulen w strefie górnego biegu rzek Puok i Siem Réab. W cieniu poskręcanych figowców, w przejrzystej wodzie leniwego strumienia widać rzędy, jeden obok drugiego, guzów o średnicy ok. 15 centymetrów, wyciętych w piaskowcu koryta. To splukane i zwietrzałe już lingamy, cylindryczne rzeźby kamienne przedstawiające istotę hinduistycznego boga Sziwy. Lingamy wiodą jak droga do innej rzeźby w korycie rzecznym – kwadratu o boku metra, z grubą obwódką i wąskim wlotem. To joni, symbol hinduistycznego źródła życia.

Wyżsi kapłani z Angkoru przychodzili tu dziękować bogom za zapewnianie królestwu jego sił vitalnych. Po krótkim spacerze w górę potoku dociera się do naturalnego mostu z piaskowca, który użyczył temu świętemu miejscu nazwy – Kbal Spean w języku Khmerów znaczy „przyczółek”. Woda wpada przez szczelinę, rozpryskując się na przyległej ścianie skalnej, gdzie Wisznu ze skrzyżowanymi nogami medytuje ponad wzburzonym oceanem. Z jego pępka wyrasta kwiat lotosu, z którego rodzi się Brahma. Na wzgórzach Kulen bogowie czerpią nieustanną przyjemność z zażywania płynącej wody.

Umiejąc wykorzystać monsunowe wody spływające ze wzgórz Kulen, Angkor i jego władcy mieli się świetnie. Od epoki Dżajawarmana II, który położył podwaliny królestwa na początku IX w., rozrost imperium opierał się na rekordowych zbiorach ryżu. W południowej Azji prawdopodobnie tylko stare, sławne ze swoich zbiorników miasta Anuradhapura i Polonnaruwa na Sri Lance mogły się równać z Angorem zdolnością gwarantowania stałego dopływu wody.

Tę niezawodność zapewniała wielka liczba dzieł sztuki inżynierskiej, wśród których był rezerwuuar zwany Barajem Zachodnim, długości 8 km i szerokości 2,5 km. Aby tysiąc lat temu zbudować ten trzeci, najbardziej skomplikowany zbiornik w Angkorze, potrzeba było nie mniej niż 200 tys. khmerskich robotników do przerzucenia 11 mln m³ ziemi. Uformowano z niej wały niemal stumetrowej szerokości wysokie na trzy piętra. Do dziś prostokątny rezerwuuar, czyli baraj, jest zasilany wodą skierowaną do niego z rzeki Siem Réab.

System ten przejmował wodę z rzek Puok, Rôluos oraz Siem Réab i kierował ją do barajów. W letnie miesiące monsunowe kanały przelewowe odprowadzały nadmiar wody. Po ustaniu opadów w październiku lub listopadzie kanały rozprowadzały wodę zmagazynowaną. Baraje stabilizowały wody gruntowe. Na polach otaczających zbiorniki parowanie powierzchniowe powodowało podciąganie wód gruntowych, z czego korzystały uprawy. – To nieprawdopodobnie przemysłny system – mówi Fletcher.

Większą część ryżu uprawiano w królestwie w polderach, które w innym przypadku byłyby zależne od deszczów monsunowych oraz okresowych wezbrań i „stanów niskich” na równinie zalewowej jeziora Tonle Sap. Irygacja pomagała powiększać zbiory. Jak mówi Fletcher, system pozwalał też uniknąć głodu, gdy w porze deszczowej było za mało wody. Oprócz tego możliwość kierowania przepływem wody i stawiania jej tamy oznaczała ochronę przed powodzią. Gdy inne królestwa Azji Południowo-Wschodniej zmagaly się z okresowymi nadmiarami lub niedostatkami wody, dodaje Fletcher, melioracje Angkoru musiały stanowić „niezmiernie cenny atut strategiczny”.

Toteż Fletcher zdumiał się, gdy jego ekipa wykopała znaczny fragment infrastruktury wodnej Angkoru, jedno z niezwykłych świadectw fachowości, i stwierdziła, że to dzieło zostało najwyraźniej zniszczone przez jego twórców.

Jest prawie południe czerwcowego dnia i nawet tu, jakieś 15 km na północ od Angkor Wat, na dnie błotnistego rowu (około 5 m długości) słońce praży niemiłosiernie. Fletcher zdejmuje granatową czapkę bejsbolową i wyciera czoło. Zdaje się, że ten zwykle opanowany naukowiec zamierza zacząć precyzyjnie objaśniać znaczenie szaroczerwonych bloków kamiennych, które znaleźli jego zespół i Chhay Rachna z Apsara. Zamiast wykładu jest jednak tylko westchnienie i okrzyk: – To po prostu fantastyczne!

Idealnie spasowane kamienne bloki uformowane zostały z laterytu – gąbczastej, czerwonej, bo żelazistej ziemi, która pod działaniem powietrza twardnieje. Gdy Fletcher i Pottier

kilka lat temu po raz pierwszy natknęli się na fragment tej konstrukcji, myśleli, że to szczątek małych wrót wodnych.

Okazało się, że mamy do czynienia z prawdziwym monstrem – mówi. Bloki to pozostałość progu przepływowego w zboczu tamy, która mogła mieć długość boiska piłkarskiego. Pod koniec IX w., w czasie rozkwitu Angkoru, budowniczowie wykopali długi kanał, który zmienił bieg rzeki Siem Réab, kierując ją na południe, do nowo stworzonego zbiornika Baraj Wschodni, prawie tak wielkiego, jak powstały później Baraj Zachodni. Tama na rzece zmieniła kierunek nurtu, by woda zasilala kanał. Część tej potężnej struktury mogła też jednak funkcjonować jako kanał odprowadzający wodę w okresach monsunowych wezbrań. Wysoka woda przez obniżenie w tamie spływała wtedy do starego koryta.

Ruiny progu przepływowego są najważniejszym świadectwem heroicznej walki toczonej przez pokolenia khmerskich inżynierów, zmagających się z coraz bardziej skomplikowanym i coraz mniej sterowalnym systemem wodnym. – Życie trawili pewnie na naprawach – mówi Fletcher. Część z bloków tamy leży bezładnie. Brakuje dużych partii wymurowań. – Najlogiczniejsze jest wyjaśnienie, że tama puściła – twierdzi Fletcher. Być może zmyła ją nadzwyczaj potężna powódź, z gatunku tych zdarzających się raz na 100 albo nawet i 500 lat. A potem Khmerzy rozebrali większość murów, które pozostały, żeby odzyskać bloki do innych celów.

Inne dowody szwankowania systemu pochodzą ze stawu przy Mebonie Zachodnim, świątyni wybudowanej pośrodku Baraja Zachodniego. Pyłki kwiatowe zachowane w mule świadczą o tym, że rośliny wodne rozwijały się w baraju do początków XIII w. Potem pojawiły się gatunki takie jak paprocie, które od wody wolą bagno lub suchy ląd. Gdy Angkor był w szczytowym rozkwicie, jeden z jego rezerwuarów najwyraźniej wyschł. – Coś poszło źle dużo wcześniej, niż przypuszczaliśmy – mówi Daniel Penny, jeden z dyrektorów Projektu Wielkiego Angkoru.

Jakakolwiek niesprawność systemu wodnego czyniła Angkor nieodpornym na zjawiska naturalne, których żaden inżynier tamtego czasu nie mógł przewidzieć. Od XIV w. Europa przechodziła przez kilka stuleci nieprzewidywalnej pogody z ostrymi zimami i chłodem w lato. Informacje o tym, co działo się w innych częściach świata w tym czasie zwanym małą epoką lodową, były skąpe. Obecnie pojawiają się dane mówiące, iż południowo-wschodnia Azja też doświadczyła wtedy klimatycznych zaburzeń.

W rejonie Angkoru letnia pora monsunowa trwa mniej więcej od maja po październik i przynosi 90 proc. rocznych opadów. Niezawodny monsun jest najważniejszy dla wszystkich form życia. Aby zbadać, jakie były monsuny dawno temu, Brendan Buckley z Obserwatorium Ziemi Lamont-Dohert w Palisades w stanie Nowy Jork powędrował do lasów Azji Południowo-Wschodniej w poszukiwaniu drzew ze słojami wzrostu rocznego. Wiedział, że nie będzie to łatwe, bo większość tutejszych gatunków ma niewyraźne słoje lub nie odkładają im się one co roku. Podczas kilku wypadów natrafili jednak na okazy długowiecznych gatunków, m.in. drzewa tekowego oraz po mu, rzadkiego cyprysa. Kilka po mu, które skatalogowali, miało 900 lat, a więc przeżyły zarówno rozkwit Angkoru, jak i jego upadek. Zbitka ich cieniutkich słoików pokazała, że przetrwały okresy następujących rok po roku susz od 1362 do 1392 i od 1415 do 1440 roku. W tych latach monsun był słaby, opóźniony lub zawiódł całkowicie. Kiedy indziej w region uderzały monsuny o niezwyklej sile.

Dla chwiejącego się królestwa pogodowe ekstrema mogły być ciosem ostatecznym. Już kilkadziesiąt lat wcześniej infrastruktura wodna nie była w pełni sprawna, sądząc z tego, że Baraj Zachodni nie był używany. – Nie wiemy, dlaczego system pracował poniżej przepustowości. Ale oznacza to, że Angkor nie miał nic w odwodzie. Miasto było zagrożone suszą bardziej niż kiedykolwiek w swojej historii – mówi Penny. Przedłużające się i dotkliwe susze, przerywane gwałtownymi ulewami, zdaniem Fletchera „mogły zrujnować system wodny”.

Jednak miejsce to nie stało się pustynią – zaznacza Penny. Ludzie na równinie zalewowej Tonle Sap, na południe od głównych świątyń, byli chronieni przed najgorszym. Tonle Sap jest zasilane przez rzekę Mekong, której źródła w polach lodowych Tybetu były raczej odporne na skutki zaburzeń monsunowych. Jednak khmerscy inżynierowie, przy całej swojej biegłości, nie mogli złagodzić spiekoty na północy, kierując wody Tonle Sap wbrew ukształtowaniu terenu,

gravitacja była ich jedyną pompą.

Jeżeli mieszkańcy północnego Angkoru głodowali, a w innych częściach miasta wciąż robiono zapasy ryżu, scena do zamieszek była już gotowa. – Gdy populacja krajów tropikalnych przekracza możliwości ziemi karmicielki, zaczynają się poważne problemy. To nieuchronnie prowadzi do upadku – mówi Michael Coe, antropolog z uniwersytetu Yale. Niedożywione wojsko, zajęte konfliktami wewnętrznymi, mogło wystawić miasto na atak. Rzeczywiście, najazd Ajutthajaa i usunięcie króla Khmerów zdarzyło się pod koniec drugiej wielkiej suszy.

Do klimatycznego chaosu trzeba dodać wichry politycznych i religijnych przemian. – Świat wokół się zmieniał. Przekształcało się społeczeństwo. Byłoby dziwne, gdyby Angkor się temu oparło – mówi Fletcher.

Imperium Khmerów nie było pierwszą cywilizacją obaloną przez katastrofę klimatyczną. Wieki wcześniej po drugiej stronie globu podobna utrata równowagi środowiskowej ciężko doświadczyła miasta-państwa Majów w Meksyku i Ameryce Środkowej. Wielu naukowców jest obecnie przekonanych, że Majowie przepadli na skutek przeludnienia i degradacji środowiska po serii trzech okresów morderczej suszy w IX stuleciu. – W gruncie rzeczy to samo zdarzyło się w Angkorze – mówi Coe, który w latach 50. jako pierwszy dostrzegł podobieństwa pomiędzy cywilizacjami Khmerów i Majów.

Współczesne społeczeństwa być może powinny przygotować się do podobnych wyzwań. Według Buckleya najbardziej prawdopodobną przyczyną katastrofalnych suszy w Angkorze był silny i niustępliwy prąd El Nino, podgrzewający wody powierzchniowe środkowego i wschodniego, tropikalnego Pacyfiku. Naukowcy spierają się, czy spowodowana przez człowieka zmiana klimatyczna może prowadzić do intensywniejszych El Nino, ale słoje wietnamskich drzew pokazują, że nawet naturalne wahania na Pacyfiku potrafią wywołać katastrofę.

Upadek Angkoru to otrzeźwiająca lekcja na temat granic ludzkiej pomysłowości. Khmerzy przekształcili swój świat. Ich system wodny był zdumiewająco sprawny. Tamtejsi inżynierowie potrafili utrzymać to szczytowe osiągnięcie cywilizacji w działaniu przez sześć wieków. Aż w końcu pokonała ich większa siła”.

W XX wieku, Angkor Wat potrzebował poważnych prac konserwatorskich - głównie usunięcia ziemi i roślinności. Prace konserwatorskie zostały jednak powstrzymane przez wojnę domową a później okres rządów Czerwonych Khmerów (lata 70' i 80'). Na szczęście nie poczyniono większych zniszczeń ponad kradzież i zniszczenie głównie poangkorskich posągów.

Świątynia stała się symbolem Kambodży i jej narodowej dumy. Zarys Angkor Watu znajduje się na niemal każdej fladze narodowej, począwszy od jej wprowadzenia to jest ok. 1863. Jest to jedyna budowla, która pojawia się, na jakiegokolwiek fladze państwowej. W styczniu 2003, w Kambodży wybuchły zamieszki, spowodowane plotką o wypowiedzi tajskiej aktorki oper mydlanych (Suvanana "Kob" Kongying), która miałaby oskarżyć Kambodżę o kradzież Angkor Watu Tajlandii.

"Angkor" w dosłownym tłumaczeniu oznacza "Stolica" lub "Święte Miasto". Tym terminem określana jest nazwa stolicy imperium Khmerów. Ruiny świątyni pochodzą z okresu między IX a XII w., który był jednocześnie czasem największego rozwoju potęgi imperium khmerskiego, czasem największego rozkwitu khmerskiej architektury, sztuki i cywilizacji. Był to czas, kiedy khmerscy królowie budowali potężne systemy irygacyjne, wspaniałe świątynie, a ich wpływy militarne, ekonomiczne i kulturalne obejmowały całą współczesną Kambodżę i znaczne połacie Laosu, Tajlandii i Wietnamu.

Angkor Wat po prostu poraża swoją wielkością. Swoim kształtem przypomina masywną, trzystopniową piramidę, zwieńczoną pięcioma wieżami, z których najwyższa góruje 65 metrów nad ziemią. Angkor Wat jest centralnym punktem w programie zwiedzania świątyni Angkoru.

Angkor Wat zbudował panujący nad potężnym imperium khmerskim, król Suryavarman II. Świątynia była poświęcona hinduskiemu bogu Wishnu. Angkor Wat otoczony jest fosą i zewnętrznymi murami o wymiarach 1300 metrów na 1500 metrów. Sama świątynia zajmuje obszar o powierzchni 1 km kw. i składa się z trzech poziomów zwieńczonych centralną wieżą. Ściany

budowli zostały ozdobione płaskorzeźbami. Szczególne wrażenie wywierają ściany niższego poziomu ozdobione scenami z mitologii hinduskiej oraz scenami ze zwycięskich wojen króla Suryavarmana II. Wrażenia osób odwiedzających Angkor Wat po raz pierwszy są niezapomniane.

Jeden z największych skarbów Angkor Wat to kamienny "arras" ciągnący się na długości ponad 900 metrów, na którym widnieje prawie 20 tysięcy postaci przedstawiających realistyczne sceny z eposów indyjskich Ramajany i Mahabharaty, jak również życie dworu. Godny uwagi jest jeden z najsłynniejszych i najbardziej reprezentacyjnych motywów w sztuce Khmerów: bogowie wraz z demonami ubijają Morze Mleka, aby wydobyć z głębin eliksir nieśmiertelności. Wszystkie reliefy wyróżniają się nad wyraz subtelnym pięknem i wielką precyzją. Płaskorzeźby w całym Angkor malowano początkowo na wiele kolorów. Angkor Wat został zbudowany jako świątynia hinduistyczna. Dżajawarman VII przekształcił budowlę na świątynię buddyjską. Po jego śmierci buddyjskie symbole zostały zniszczone i przywrócony hinduistyczny charakter świątyni. Niektóre elementy zostały zamurowane, jak np. otwarta przez Commaille'a w 1908 r. komora z wielką figurą Buddy na najwyższym piętrze.

I trochę o architekturze świątyni. Dostęp do części świątyni malał wraz ze wzrostem wysokości. Świeccy wyznawcy mogli wstąpić tylko na najniższy poziom.

Podobnie jak większość khmerskich świątyń, Angkor Wat jest zorientowany bardziej na zachód niż na wschód. Glaize i George Coedes, sugerują, że takie usytuowanie może być uzasadnione tym, że król Suryavarman pragnął by kompleks stał się jego świątynią-grobowcem. Potwierdzają to płaskorzeźby, które podążają w stronę przeciwną ruchowi wskazówek zegara - sanskr. prasavya - czyli odwrotnie niż zazwyczaj. Bramińskie obrzędy odbywały się w odwrotnym porządku podczas pochówków. Archeolog Charles Higham, w swych pracach, opisuje pojemnik odkryty w środkowej wieży, który mógł być urną. Jednak Freeman i Jacques, odnotowują, że kilka innych świątyń w Angkorze, odchodzi od powszechnej wschodniej orientacji. Dodają także, że usytuowanie kompleksu może być spowodowane poświęceniem jej Wisznu, który był związany z zachodem.

Inną interpretację Angkor Wat prezentuje Eleanor Mannikka. Opierając się na usytuowaniu, rozmiarach, zawartości i układzie płaskorzeźb, twierdzi, że wskazują na nową erę pokoju pod rządami króla Suryavarmana II: "jako, że wymiary słonecznych i księżycowych cykli zostały wbudowane w świętą przestrzeń Angkor Wat, tak też boskie przyzwolenie na władzę króla zostało przypisane uświęconym komnatom i korytarzom. Uwieczniając tym samym królewską potęgę i sławę i zapewniając sobie przychyłność bogów." Teorie Mannikki zostały przyjęte w kręgach naukowych z mieszaniną sceptyzmu i zainteresowania. Odżegnuje się ona od spekulacji osób takich jak np. Graham Hancock, który twierdzi, że Angkor Wat jest częścią odwzorowania konstelacji gwiazdozbioru Smoka.

Część zewnętrzna

Zewnętrzny mur tworzy prostokąt o bokach 1025 metrów i 802 metry, wysoki na 4,5 metra. Mur otoczony jest przez 30 m pas otwartej przestrzeni i fosę o szerokości 190 metrów. Dojście do świątyni to wał ziemny od strony wschodniej i grobla z piaskowca od strony zachodniej. Główne wejście to prawdopodobnie późniejszy dodatek, który zastąpił drewniane wrota. W każdym kardynalnym punkcie znajduje się gopura (rodzaj wejścia). Zachodnia jest największa i posiada trzy, zniszczone obecnie, wieże. Pod południową wieżę znajduje się wizerunek Wisznu, znany jako Ta Reach, który pierwotnie mógł znajdować się w głównej kaplicy świątyni.

Galeryjki biegną między wieżami aż do dwóch dalszych wejść w gopury, zwanych "słoniowymi bramami", gdyż mogą pomieścić te zwierzęta w swych wierzejach. Owe galeryjki mają kwadratowe filary na zewnętrznej (zachodniej) stronie i zamknięty mur na wewnętrznej (wschodniej). Sufit pomiędzy filarami jest ozdobiony rozetami lotosu, zachodnia płaszczyzna muru tańczącymi postaciami, wschodnia oknami z balustradami, tańczącymi męskimi postaciami na paradujących zwierzętach oraz bóstwami.

Zewnętrzny mur obejmuje 820,000 metrów kwadratowych. Przestrzeń ta, poza świątynią, zajmowana była przez miasto i (odrobina na północ) przez pałac królewski. Podobnie jak wszystkie świeckie budowle Angkoru, były zbudowane z materiału łatwo ulegającemu zniszczeniu, dlatego

też nic po nich nie pozostało, poza zarysami ulic. Większość tej powierzchni jest obecnie pokryta lasem. 350 metrowa grobla łączy zachodnią gopurę z właściwą świątynią, balustradami z postaciami nag z sześcioma poziomami stopni prowadzącymi do miasta po obu stronach. Każda ze stron posiada bibliotekę, z wejściem od strony kardynalnych punktów, na wprost trzeciego poziomu stopni. A także staw pomiędzy biblioteką i świątynią. Stawy są późniejszymi dodatkami, podobnie jak strzeżony przez lwy, krzyżujący się z główną groblą, tarasy, wiodące do głównej świątyni.

Świątynia właściwa stoi na tarasie powyżej poziomu miasta. Składa się z trzech prostokątnych galerii, wznoszących się do głównej wieży. Każda jest wyższa od poprzedniej. Mannikka interpretuje je jako przeznaczone królowi, Brahmie, Księżycowi a także Wisznu. Każda z galerii ma gopurę w kardynalnym punkcie, a także dwie wewnętrzne galerie, posiadające wieże na węgłach. Razem tworzą one kwinkunks z wieżą środkową (wzór przypominający liczbę 5 na kostce do gry). Dlatego, że świątynia jest skierowana na zachód, wszystkie jej elementy skierowane są na wschód, co pozostawia więcej przestrzeni, która może zostać wypełniona ogrodzeniami i galeriami po stronie zachodniej. Z tego samego powodu, stopnie zwrócone na zachód są płytsze niż te po drugiej stronie.

Zewnętrzna galeria tworzy prostokąt o bokach 187 na 215 metrów i posiada pawilony zamiast wierz na każdym z węglów. Galeria jest otwarta w stronę od zewnętrzną i posiada kolumnowe półgalerieki wydłużające i podpierające całą strukturę. Wewnętrzne ściany ozdobione są płaskorzeźbami, przedstawiającymi olbrzymie sceny (głównie z indyjskiej tradycji epicznej - Ramayany i Mahabharaty). Ściana od północno-zachodniego węgła (przeciwnie do ruchu wskazówek zegara) obrazuje bitwę o Lankę (fragment Ramayany w którym Rama pokonuje Ravanę) i bitwę o Kurukshetra (fragment Mahabharaty, opisujący wzajemne zniszczenie klanów Kaurava i Pandava). Na południowej galerii znajdują się sceny historyczne - orszak króla Suryavarmana II, następnie 32 piekła i 37 niebios indyjskiej mitologii. Glaize opisuje je następująco:

"Te nieszczęsne dusze zostały ciśnięte do piekieł by cierpieć niewypowiedziane męki, za swe winy - czasami nieproporcjonalnie srogie. tak też ludzie, którzy zniszczyli czyjaś własność są karani łamaniem kości, nieumiarkowani w jedzeniu są ćwiartowani, złodzieje ryżu są przypiekani rozpalonym żelazem, tym, którzy zrywali kwiaty w ogrodzie poświęconym Sziwie, przybija się dłonie gwoździami, złodziej trawi przeraźliwy mróz."

Na wschodniej galerii znajduje się najbardziej uwielbiana scena - Ubijanie Morza Mleka. Obrazuje ona 92 asury (demony) i 88 dev (bóstwa), wykorzystujących węża Vasuki by ubijać morze mleka pod kierunkiem Wisznu (Mannikka wylicza jedynie 91 asur i wyjaśnia niesymetryczną liczbę jako odnoszącą się do liczby dni od zimowego przesilenia do wiosennej równonocy, oraz równonocy do letniego przesilenia). Następne sceny przedstawiają Wisznu gromiącego asury (dodano ją w XVI wieku). Północna galeria obrazuje zwycięstwo Kriszny nad Baną (Glaize pisze o niej "Najgorsze działo") i bitwę pomiędzy hinduistycznymi bogami a asurami. Północno-zachodni i południowo-zachodni węgiel pawilonu znacznie mniejsze w swej skali płaskorzeźby, część wciąż nie zidentyfikowana, w większości z Ramayany lub żywotu Kriszny.

Łącznikiem pomiędzy zewnętrzną galerią a drugim ogrodzeniem na zachodzie jest krzyżowy krużganek, dzisiaj zwany Preah Poan ("Hol Tysiąca Buddhów"). Wizerunki Buddy zostały pozostawione przez pielgrzymów w ciągu kilku wieków. Większość z nich została jednak usunięta. Tutaj także znajduje się wiele inskrypcji opisujących dobre czyny pielgrzymów. Większość z nich jest po khmersku, lecz są także w birmańskim i po japońsku. Cztery małe dziedzińce, wyznaczone przez krużganek, mogły być pierwotnie wypełnione wodą. Na północ i południe od krużganka znajdują się biblioteki.

Galerie, poza drugą i wewnętrzną, są połączone ze sobą oraz z bibliotekami przez kolejny krzyżowy krużganek, stanowiący późniejszy dodatek. Od drugiego poziomu wzwyż, na murach pojawiają się płaskorzeźby przedstawiające devy, pojedynczo, bądź w grupach do czterech dev. Ogrodzenie na drugi poziomie tworzy prostokąt o bokach 100 na 115 metrów. Wnętrze pierwotnie było zalane co miało przywołać na myśl ocean wokół góry Meru. Trzy zestawy stopni po każdej stronie, prowadzą do wież narożnych i gopur wewnętrznej galerii. Bardzo strome schody

symbolizują trudność wstąpienia do królestwa bogów. Wewnętrzna galeria - zwana Bakan - to 60 metrowy plac z osiowymi galeriami, łączącymi każdą gopurę z główną kaplicą i drugą, umiejscowioną poniżej narożnych wież. The Dach galerii jest ozdobiony motywem ciała węża, które kończy się w dłoniach garud lub łapach lwów. Rzeźbione nadproża zdobią wejście do galerii i kaplicy. Wieża głównej kaplicy mierzy sobie 43 metry wysokości (65 metrów od poziomu ziemi). Odmienne niż w innych świątyniach-górach, środkowa wieża wznosi się wyżej od pozostałych czterech. Kaplica, w której pierwotnie znajdował się posąg Wisznu i była otwarta z czterech stron, została przebudowana (zamurowano dostęp z trzech stron) w czasie przejścia ja przez mnichów theravady. Wybudowane mury ozdobiono postaciami stojącego Buddy. W 1934 roku, konserwator George Trouvé odkrył jamę pod główną kaplicą, wypełnioną piaskiem i wodą. Została ona wcześniej okradziona, jednak znalazł w niej erekcyjny depozyt w postaci listka złota, dwa metry poniżej poziomu ziemi.

Po pierwszym oglądaniu najważniejszej świątyni wracamy do centrum miasta. W przewodniku znalazłam opis restauracji, w której latają różnych gatunków motyle. Nie ociekną bo nad ogródkiem restauracji znajduje się siatka. Jedziemy więc tam na obiad. Znowu postanawiamy zjeść coś khmerskiego, tym razem jemy zupę z kurczaka, warzyw i ananasa oraz danie z kurczaka zapiekanego w pomidorach. W oczekiwaniu na potrawę oglądam latające motyle. Mają tu również małe pomieszczenie, w którym wiszą małe kokony, z których wyklują się motyle. Po kwadransie następuje oberwanie chmury. Jak dobrze, że jesteśmy pod dachem, a nie jedziemy rowerami. Po godzinie ulewa się uspokaja, a my nie spiesząc się mogliśmy na spokojnie zjeść obiad. Teraz idziemy do kawiarenki internetowej, gdzie dzwoniemy do domu. W kafejce podczas naszej rozmowy z sufitu spada dorodny karaluch. Mimo wszystko jakoś insektów jest mało, ale to podobno dlatego, że w porze deszczowej jest ich zwyczajowo mniej, bardziej lubią porę suchą. Natomiast liczne gekony zjadają się komarami i ćmami w pobliżu żarówki.

Wieczorem czas spędzamy na nocnym markecie, który czynny jest do 16 do 24. Jest to czas na zakup kolejnych pamiątek i prezentów – torebek, szali, kap, czy obrusów.

Trafiamy również na tzw. dr Fisha – czyli wykafelkowany basen z wodą i rybkami. Za 3 dolary siada się na murku i wkłada nogi do wody. Rybki rzucają się na martwy naskórek i go zjadają. Napis brzmi: „nakarm głodne rybki, martwą skorą”. Frajda nie z tej ziemi. Zwłaszcza, że rybki strasznie łaskoczą w stopy. Owe rybki rzucają się na moje i Pawła stopy niczym wygłodniałe bestie. Koło naszych stóp kłębią się ich dziesiątki. Siedzimy tam wraz z innymi obcokrajowcami przez pół godziny, ku obopólnej uciechu. Mam nadzieję, że te rybki z przeżarcia nie zdechną.

Po wesołym akcencie z rybkami idziemy coś zjeść. Chcemy coś szybkiego i małego, więc wybieramy mały bar, ale przychodzi nam czekać 45 minut na jednego hamburgera i tosty.

Do hotelu docieramy dopiero o 23:30, szybkie mycie i spać, bo pobudka o 4:50....

19.07.2009 (niedziela)

Pobudka następuje już o 4:10, za oknem przeraźliwie wyją psy. Czterdzieści minut później w egipskich ciemnościach wstajemy. Przed budynkiem czeka na nas tuk-tukarz, który przez większość dzisiejszego dnia będzie woził nas po kompleksie. Przez miasto śmigają inne tuk-tuki z kolejnymi turystami, którzy jadą na wschód słońca nad Angkorem.

Pod świątynią tłumy ludzi czekających na owy wspaniały wschód. Ale aż tak zachwycający nie jest. Może pięknie wygląda w porze suchej. Dzisiaj niebo jest zachmurzone i słońca nie widać w ogóle. Miejscowi właściciele kafejek pod gołym niebem co chwile wołają do siebie na śniadanie. Biegają z kartkami menu i każdemu podtykają, aby do jego kafejki turysta przyszedł.

W pewnej chwili filmując świątynię w kadrze wypatruję Kate i Rodrigo. Paweł leci za nimi i umawiamy się o 20 w Funky Manky.

Jesteśmy głodni, więc idziemy zjeść śniadanie, to co zwykle, a potem na dalsze zwiedzanie kolejnych świątyń, ruszamy w odwrotnym kierunku niż wszyscy turyści (Bartek tak nam polecał), dzięki temu unikamy tłumów zwiedzających. Najistotniejsze jest to, że Tha Phrom, jest najbardziej magicznym miejscem.

Przekroczywszy potężną kamienną bramę, dociera się do najwspanialszego Królestwa Drzew, gdzie natura rządzi niepodzielnie, przygniata swym ciężarem świątynię, rzuca się na nie łapczywie, by połknąć je jednym haustem. Kamienie zielenieją w słońcu całe we mchu. Ta Phrom, buddyjska świątynia poświęcona została matce króla Dżajawarmana VII. Jest dziś w całości połknięta przez dżunglę. Pozostawiono ją w takim stanie, w jakim zastali ją w XIX wieku francuscy badacze. Dziś jest za późno na jakiegokolwiek działania - gdyby teraz usunąć zarastające ją drzewa, doszłoby do zawalenia konstrukcji. Żarłoczne drzewa kapokowe królują tu niezaprzeczalnie, i przenoszą do innego świata. Drzewa oplatają Ta Phrom swymi ramionami jak węże.

Przed nami kamienie i drzewa tworzące jedną całość, nierozdzielne. Świątynię uginają się pod ciężarem gałęzi i konarów. Natura chce pokonać historię. Wszystko tonie w lekkim półmroku. Drzewa giganty zasłaniają przed światem to miejsce. W wielu pomieszczeniach strop się zawalił opleciony korzeniami drzew.

Jak dobrze było tu przyjechać przed wszystkimi turystami. W sumie jest tu może około 5 osób, snujących się labiryntem korytarzy. Cisza w Ta Phrom jest wielka. Pod korzeniami można zauważyć wyłaniające się płaskorzeźby, zawalone gruzem przejścia. Gdzieś na kamieniach siedzi mała dziewczyna w piżamie w oczekiwaniu na datek od turysty. Jest to bardzo tajemnicze i nieziemskie miejsce. Czas jakby się zatrzymał. Niektóre fragmenty świątyni zagrały w filmie Tomb Rider. I wszystko było by super, gdyby nie to, że dopada mnie nagły atak biegunki. No cóż pędem znajduję odosobnionego miejsce...

Kiedy opuszczamy tę świątynię, u wyjścia rozłożył się zespół muzyczny, złożony z muzyków będących kalekami. Jedni nie mają rąk, inni nóg, a jeszcze inni są niewidomi. Wszystko to przez wybuchy min. Grając zarabiają, można też kupić u nich płytę.

Kolejna świątynia do której jedziemy to Pre Rup. Pochodzi z końca X wieku i wybudowana została dla króla Rajendravarman II. Według inskrypcji, na stelli fundacyjnej świątynia zbudowana w 961 r. przez tego samego fundatora, Rajendravarman (944-968), Wg tejże stelli poświęcona 10-ciu bogom, ale głównym patronem jest Sziwa. Na 3 laterytowych tarasach leży platforma z piaskowca, na której stoi 5 wież zbudowanych z cegły. Cegły spojone są roślinnym klejem. Na 2 tarasie stoi 12 małych, bardzo zrujnowanych wież - sanktuariów. Kiedyś każda z nich zawierała lingę. Wejście na tarasy prowadzi przez gopurę - bogato zdobioną bramę. Schody i naroża tarasów strzeżone są przez pary lwów. Wyjątkowo piękny jest kolor laterytu, z którego zbudowane są mury zewnętrzne I tarasu. Wszystkie wieże pokryte były kiedyś sztukaterią. Pre Rup jest już typową świątynią - górą, Piramidą z 5-ma wieżami symbolizującymi szczyty mitycznej góry Meru, z której rządzi bóg władca – Dewaradża. Tutaj pojawia się już więcej turystów. Ponadto przy zabytkach stoją lokalni sprzedawcy, którzy są bardzo nachalni. Chcą sprzedać głównie napoje, książki czy pocztówki. Zauważyłam pewną rzecz... sprzedawcy w wielu miejscach muszą mieć zakaz zbliżania się bezpośrednio pod mury danego zabytku, toteż najczęściej stoją po drugiej stronie drogi i wydzierają się do turystów: Mister (nie ważne czy to do mężczyzny, czy kobiety) water????!!! buy one from me! - czyli Panie wody? Kup jedną ode mnie!!! Kolejną ciekawostką, z którą do tej pory się nie spotkałam, jest to, że w wielu miejscach na odmowę, albo porzucano turystę, albo nagabywano go dalej. Tutaj na odmowę kupna kolejnej butelki wody, Kambodżanin zadaje pytanie WHY NOT? - dlaczego nie? Hmm... bardzo interesujące. Kambodżanie poszli jak widać dalej.

Jedziemy dalej... do Ta Som zbudowanej pod koniec XII wieku dla króla Jayavarman VII. Nietrudno przeoczyć tę małą świątynię, warto tu jednak wstąpić, aby zobaczyć wschodnie wejście, którego kamienne bloki oplatają korzenie drzew i pnączy. Mała świątynia zdaje się być miniaturą Ta Prohm lub Banteay Kdei. Mury zewnętrzne obejmują obszar o wymiarach 200 x 240 m. Wewnętrzny dziedziniec utworzony jest przez galerie o wymiarach 20 x 30 m, zbudowane z laterytu i piaskowca. Na skrzyżowaniach galerii wznoszą się niewysokie wieże, wszystkie ozdobione koroną z kwiatów lotosu. Tutaj spotykamy małą dziewczynkę sprzedającą jak inne dzieci pocztówki. Pyta mnie skąd jestem, kiedy mówię, że z Polski, zaczyna liczyć swoje pocztówki do dziesięciu... po polsku. Nie jestem się w stanie oprzeć i kupuje od niej 10 pocztówek za 1 dolara. Świetny sposób na to, aby turysta kupił pocztówki.

Kolejny punkt dzisiejszego dnia to Preah Khan. Świątynia z końca XII w. zbudowana dla

król Jayavarman VII. Wzniesiona na podobnym planie co Ta Prohm Preah Khan (Święty Miecz) jest w lepszym stanie. Południowy korytarz w kształcie krzyża to płatanina pnączy i kamieni, która stwarza niepowtarzalny nastrój. Przy wschodnim wejściu stoi ciekawa dwupoziomowa budowla, która przypomina zabytki architektury greckiej. Niewykluczone, że podczas budowy Angkor Thom, przestronna Preah Khan służyła Jayavarmanowi VII za tymczasową rezydencję. Tutaj też gra zespół muzyczny, ale za to jest bardzo mało turystów.

Na koniec zostawiliśmy sobie olbrzymi Angkor Thom ze świątynią Bayon, tarasem słoni i milionem innych zabytków.

Miasto Angkor Thom ("Wielki Angkor") założył król Dżajawarman VII na początku XIII w. i od razu stało się miejscem wielkich projektów budowlanych. Potężny władca zapoczątkował prawdziwą gorączkę budowania w całym imperium. Jedną z alegorycznych inskrypcji odnalezionych w ruinach miasta przedstawia króla-założyciela jako woźnicę, zaś miasto jako most po którym przejeżdża.

Wcześniej, stolicą Angkoru była Jaszodharapura, ze świątynią Phnom Bakheng w centrum, położona nieco na południe od Angkor Thom. Rozwijające się miasto wchłonęło jej pozostałości. Wiele znakomitych zbudowanych wcześniej świątyń, takich jak Baphuon czy Phimeanakas weszło w skład kompleksu pałacu królewskiego nowego miasta. Król przebudował kilka istniejących budowli, dookoła nich zbudował miasto, które kazał otoczyć fosą i murem. Angkor Thom ma pięć bram, wśród nich "Bramę Zwycięstwa" prowadzącą do Pałacu Królewskiego. Każdą bramę, jak wiele innych zbudowanych przez króla Jayavarmana VII, ozdabiają cztery potężne twarze. Khmerzy prawdopodobnie uważali Angkor Thom za kontynuację poprzedniej stolicy. Jeszcze w XIV w. powstawały inskrypcje prezentujące nową stolicę pod starą nazwą. Obecna nazwa pojawiła się dopiero w XVI w.

Po przeniesieniu stolicy do Phnom Penh w 1432 r. miasto straciło swój charakter i stopniowo pustoszało w obrębie murów. W roku 1609, gdy przybyli tam pierwsi Europejczycy, zamieszkiwało w nim jedynie kilku samotnie żyjących mnichów buddyjskich.

Angkor Thom powstało w stylu Bajon, będącym ukoronowaniem sztuki architektonicznej imperium khmerskiego. Charakteryzował się on szerokim rozmachem konstrukcyjnym z wykorzystaniem laterytu jako materiału budowlanego używanego zarówno w budowie świątyń, jak i posągów, na przykład nagów czy rzeźbionych wież.

Świątynia Bayon powstała pod koniec XII w. dla króla Jayavarman VII. Bayon należy do najpiękniejszych świątyń kompleksu Angkor. Potężne kamienne twarze Bayonu należą do najbardziej znanych dzieł klasycznej sztuki i architektury khmerskiej. W świątyni jest 37 wież i niemal wszystkie zostały ozdobione wielkimi twarzami spoglądającymi w cztery strony świata. Naukowcy debatują nad tym czyje to są twarze. Niektórzy twierdzą, że jest to twarz Lokswary (współczującego mnicha; buddyzm Mahajana); inni, że jest to połączenie twarzy Buddy i króla Jayavarmana VII. Świątynia Bayon była królewską świątynią Jayavarmana VII i jest szczytowym osiągnięciem architektonicznym okresu jego panowania. Pokryte złotem wieże Bayonu mieniły się w słońcu. W samym sercu świątyni, dominując nad wszystkimi innymi elementami, znajdował się złoty posąg Wisznu jadącego na grzbiecie garudy - świętego ptaka o ludzkim ciele, z dziobem i szponami drapieżnika. Jest to najlepiej zachowany przykład architektury Khmerów. W okolicy świątyni znajduje się Taras Słoni stanowiący potężny mur o wysokości 2.5 metra, biegnący przez środek Angkor Thom, ozdabiają płaskorzeźby przedstawiające słonie i garudy (mitologiczny ptak). Jest też Taras Trędowatego Króla, położony na północnym krańcu Tarasu Słoni, ozdobiony płaskorzeźbami przedstawiającymi węże naga, demony i inne mitologiczne zwierzęta. Nazwa pochodzi od statui, która znajduje się na szczycie tarasu.

Koło 13:30 docieramy do hotelu. Obiad zjadamy w restauracji hotelowej, bo jesteśmy zmęczeni i już nie chce nam się iść do centrum miasta. Zjadam potrawę, której jeszcze nie próbowałam – masalę kurczakową. W restauracji znajduje się klatka z zieloną papuzką, która nie ma nogi, gdyż została odgryziona przez węża, gdy ptaszek był mały. Papuga opanowała sposób życia na jednej nodze, za drugą stanowi jej dziób. Przemieszcza się po klatce skacząc na jednej nodze i łapie się za druty klatki dziobem...

Wieczorem idziemy do centrum. W Siem Riep jest sygnalizacja świetlna na ulicach. Czas trwania danego światła wyświetla się nad ulicą. Człowiek przynajmniej się nie denerwuje czekając nie wiadomo ile na zielone światło.

O 20 stawiamy się w Funky Manky, gdzie czekają na nas Kate i Rodrigo. Śmieją się, że tak ich wypatrzyliśmy o poranku. Dwie godziny spotkania przy piwie mijają niczym parę chwil. Opowiadamy sobie co działo się z nami przez te kilka dni od czasu naszego rozstania w Tha Khaek. Okazuje się, że Kate i Rodrigo mieli przygody. Po pierwsze w Tha Khaek ich sytuacja finansowa się nie poprawiła, bo bankomat nie chciał im dać pieniędzy i czekali do następnego dnia z duszą na ramieniu bo nie wiedzieli czym zapłacić za nocleg i jedzenie, jedli chwilowo na rachunek hotelu, gdzie mieli zapłacić przy wyjeździe. Ostatecznie bankomat w końcu wypłacił im pieniądze. Później dojechali do Pakse, gdzie skorzystali ze skutera i wybrali się na Równinę Bolaven. Zaczęliśmy opowiadać, że i my chcieliśmy się wybrać, ale wycieczek nie organizowano, a skuterem nie umiemy jeździć. Na to Rodrigo zaczął się śmiać, że on też nie, ale wypożyczyli. Najpierw wypróbowali czy dadzą radę i Rodrigo wyjechał na ulice i mało co nie został rozjechany. Dalej już szło lepiej i jak to opowiadał za miastem śmigali 40 km/h, no cóż ale nie bez problemów bo złapali gumę... i kilka kilometrów jechali na feldze. Kiedy byli w Champasak nie mogli wrócić, bo zrobiło się późno na tyle, że nic nie jechało z powrotem do Pakse. Potem opowiadali jak nocowali na Don Khon i ze zdjęć okazało się, że zamieszkivali chatkę obok naszej, tyle, że my wyjechaliliśmy a oni przyjechali na wyspę (Paweł dzień wcześniej chodził po wyspie i zaglądał czy ich gdzieś nie ma). No i najlepsze opowiedzieli na koniec. Czyli swoje wrażenia z przekraczania granicy. Ich autobus był wypełniony po brzegi i dla wielu osób zabrakło miejsca i oni musieli siedzieć na podłodze między siedzeniami. Masakra. Potem zeszliśmy na tematy „europejskie”, okazało się, że w chwili obecnej są bezdomni. Na kupno mieszkania w Barcelonie ich nie stać (okazało się, że my Polacy jesteśmy bogaczami skoro możemy na kredyt, bo na kredyt, ale da się kupić mieszkanie. Oni będą musieli wynająć. Na razie po powrocie dwa tygodnie pomieszkają u jej rodziny w Londynie, a kolejne dwa w Hiszpanii u jego rodziców, no i przyjdzie wrzesień i wtedy zamieszkają w wynajętym. Opowiedzieliśmy im o trasie z Batambang do Siem Riep i zachęceni naszymi wrażeniami postanowili pokonać tę trasę w stronę przeciwną.

Spotkanie udało się i to bardzo, ale czas niestety wracać. W pokoju mamy telewizor i akurat leci program w tutejszym kambodżańskim kanale o procesie Czerwonych Khmerów. Dużo można się dowiedzieć, bo jest to stacja gdzie napisy są po angielsku.

20.07.2009 (poniedziałek)

Wstajemy o 9. za oknem zaczyna lekko padać. Jemy śniadanie w hotelu, po którym Paweł na rowerze jedzie znowu do Angkor Watu, aby jeszcze raz przyjrzeć się świątyni Bayon, natomiast ja przechadzam się po mieście w kółko zaczepiana przez kierowców tuk-tuków, aby mnie gdzieś podwieźć.

Idę również na bazar w centrum, aby kupić jeszcze kilka rzeczy i się o nie potargować. Po paru godzinach jestem głodna i zatrzymuje się w barze na sałatkę z wołowiny i warzyw, która okazuje się być diabelnie ostra. Dobrze, że mam jeszcze shake'a z mango to jakoś to łagodzi. Na bazarze udaje mi się zobaczyć również smażone świerszcze. W Kambodży znowu sporo osób nosi maseczki, aby się nie zarazić od kogoś ptasia, świńską czy inną gripą. Wszędzie dookoła są ludzie biedni i żebracy, czego nie było w Laosie. Żebrzący rzucają się na turystów i wieszają na nich aby coś dostać. Zachodni turyści coś tam dają, a Kambodżanie uczą się, że to skuteczna metoda i wykorzystują ją ile się tylko da. Makabra. Można na ulicach miast spotkać prowizoryczne „kliniki”, którym daleko nawet do gabinetu lekarskiego, a co dopiero do kliniki. O biedzie w tym kraju świadczy również to, że często osoby pracujące jako obsługa hotelowa, nie mają własnego domu i mieszkają pod schodami korytarza na piętrze hotelu. U nas tak właśnie jest. Ktoś zrobił sobie pomiędzy schodami a oknem mieszkanie. Nocą rozkłada koc na którym śpi, na oknie trzyma przybory toaletowe, a pod schodami ubrania.

Paweł ze swoich wojaży po Angkorze wraca zadowolony. Wieczorem idziemy ostatni raz do

centrum na kolację, wydajemy ostatnie przeznaczone na Kambodżę pieniądze kupując kilka pamiątek. Przechadzamy się ostatni raz ulicą nazwaną PUB STREET, czyli miejscem gdzie są same bary, kawiarnie i restauracje, gdzie wieczorem tętni życie turystyczne. Wracamy do hotelu spakować się, bo jutro lecimy do malezyjskiej stolicy – Kuala Lumpur.

21.07.2009 (wtorek)

Pobudka o 5:30. Przed budynkiem czeka na nas już znany przez nas kierowca tuk-tuka. O 6 wyjeżdżamy z nim na lotnisko. Droga do lotniska prowadzi przez tereny wypasionych hoteli. Takich jeszcze w tym roku nigdzie nie widziałam. Teraz już wiem skąd te rzesze dobrze ubranych turystów w centrum miasta. Większość z nich siedzi w tych kurortach, często wyglądających jak pałace.

Przed lotniskiem żegnamy się z kierowcą, płacąc mu trochę więcej, bo jednak trzy razy korzystaliśmy z jego transportu. Lotnisko oczywiście na miarę ruchu międzynarodowego. Odprawiamy bagaż – mój wazy prawie 15kg a Pawła 12. czyli jak zwykle wszystko w normie. Nie mogliśmy w tym roku przesadzać z ilością rzeczy, bo lot liniami Air Asia na trasie Siem Riep – Kuala Lumpur – Bangkok, to limit wagowy 15 kg a nie jak zazwyczaj 20. Płacimy opłatę wylotową, która niestety wynosi równowartość biletu, bo aż 25 dolarów za osobę. No właśnie zauważyłam, że im biedniejszy kraj tym większa opłata przy wyjeździe z kraju. Duża grupa podróżujących Azjatów ma na twarzy maseczki ochronne.

Czekamy do godziny 8 i zostajemy wpuszczeni na pokład samolotu, a punktualnie o 8:30 samolot startuje. Lecimy liniami malezyjskimi Air Asia. Bilety nie były drogie, bo to tutejsza tania linia. Jednak jak głosi ogromny napis na biało-czerwonym samolocie, jest to najlepsza światowa tania linia lotnicza. Czeką nas 2 godziny lotu, podczas którego dostajemy posiłek w postaci kanapek, które jeszcze w Polsce zamawialiśmy przy rezerwacji biletów lotniczych.

Wylatując z Siem Riep oglądam z okna jezioro Tonle Sap, no z tej perspektywy wydaje się być jeszcze większe. Im wyżej lecimy, tym pojawia się coraz więcej chmur, które przykrywają widok jeziora. Chmur jest dużo, a samolot przelatując przez nie co chwilę wpada w wibracje. Kiedy w końcu wznosimy się nad chmury, tam wita nas przepiękne słońce.

Czas podczas lotu szybko ucieka i już schodzimy do lądowania. Jednak pojawia się coraz więcej ciemnych chmur i zaczyna padać. Lądujemy w niezłym deszczu. Zmieniamy czas dodając jedną godzinę. Wsiadamy prosto na płytę lotniska, gdzie przy samolocie stoi kosz z parasolkami, z których można skorzystać. Jednak zaraz obok jest budynek z dachem i chodnik dla przemieszczających się podróżnych. Wchodzimy do budynku, gdzie już czekają na nas kamery termowizyjne wykrywające podwyższoną temperaturę podróżnych. Międzynarodowy Port Lotniczy Kuala Lumpur (KLIA; Pengrus Besar), okazała, efektowna budowla w Sepangu, 75 km na południe od centrum miasta, w 2003 r. zajął 5. miejsce w rankingu najlepszych portów lotniczych na świecie, prowadzonym przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Transportu Lotniczego (IATA).

Pierwsze co robimy to wybieramy z bankomatu lokalną walutę – ringit. W końcu nie będzie problemu z przelicznikiem, bo 2 ringit to w przeliczeniu około 1 złotówki. Wsiadamy do autobusu za 14 ringitów, bilet jest też już powrotny. Po godzinie jazdy i minięciu całej masy osiedli domów jednorodzinnych, które są w budowie, albo dopiero co zamieszkane, dojeżdżamy w pobliże centrum stolicy.

Tu wsiadamy w metro nadziemne i przejeżdżamy jeden przystanek, a następnie w jego pobliżu szukamy Matahari Guest House, który zarezerwowaliśmy przez Internet jeszcze w Polsce. Wciśnięty pomiędzy kamienice budynek udaje nam się znaleźć po krótkiej chwili szukania. Recepcja znajduje się na 3 piętrze. Dostajemy pokój na 2 piętrze wraz z bezprzewodowym Internetem. Rano można skorzystać z kuchni i zrobić sobie proste śniadanie – tosty. Recepcjonista udziela nam cennych wskazówek, co i jak powinniśmy zobaczyć w krótkim czasie naszego pobytu.

Malezja (malajski Malaysia) – państwo w Azji Południowo-Wschodniej, na Półwyspie Malajskim i wyspie Borneo; obszar 329 847 km², ludność 27 730 000, stolica Kuala Lumpur (ok. 1 500 000 mieszkańców), siedziba rządu w Putrajaya. Malezja na Półwyspie Malajskim graniczy z

Tajlandią, na wyspie Borneo z Brunei i Indonezją.

Zachodnia część Malezji to teren górzysty z zalesionymi zboczami gór i nizinnymi wybrzeżami. Ten fascynujący i różnorodny kraj urzeka przybywających tu na wakacje turystów licznymi wodospadami i jaskiniami oraz wiecznie zielonymi pierwotnymi lasami równikowymi uważanymi za jedno z najpiękniejszych na świecie. W tropikalnych dżunglach żyją rzadko spotykane gatunki zwierząt, np. tygrysy, tapiry, nosorożec jawański, niedźwiedź malajski, orangutan i gibbon. Ponadto to, co przyciąga turystów na wakacje do Malezji to także góry i możliwość uprawiania turystyki górskiej, parki narodowe z licznymi atrakcjami i dziewicze dżungle.

Państwo obejmuje dwa terytoria oddzielone Morzem Południowochińskim, południową część Półwyspu Malajskiego oraz północną część wyspy Borneo. Ukształtowanie terenu jest podobne w obu częściach - nadmorskie równiny przechodzą w gęsto zalesione zbocza gór. Najwyższym szczytem Malezji jest Kinabalu, 4101 m n.p.m., położony na Borneo.

Malezja znajduje się w strefie klimatu równikowego. Nawiedzają ją południowo-zachodnie (od kwietnia do października) oraz intensywniejsze, północno-zachodnie monsuny (od października do lutego).

Pierwsza organizacja państwowa na terenie dzisiejszej Malezji powstała na początku XV w., kiedy powstał sułtanat Malakki. W tym czasie na obszarze Azji południowo-wschodniej rozprzestrzenił się islam. W 1511 Malakkę podbili Portugalczycy, zakładając tam kolonię. Synowie ostatniego sułtana Malakki założyli Sułtanat Perak i Sułtanat Johor. Rozpoczęła się rywalizacja między Portugalczykami oraz Sułtanatem Aceh i Sułtanem Johor o kontrolę nad cieśniną Malakka. Konflikt ten trwał do 1641 r., kiedy Holandia wraz z sułtanem Johor przejęła kontrolę nad cieśniną.

W 1786 r. Kompania Wschodnioindyjska otrzymała od sułtana Kedah wyspę Penang. W drugiej połowie XIX w., wiele państw malezyjskich prosiło o pomoc Wielką Brytanię w celu rozwiązania konfliktów wewnętrznych. Do początku XX w. stany Pahang, Selangor, Perak i Negeri Sembilan utworzyły Sfederalizowane Stany Malezji. Chociaż formalnie były suwerenne, to faktyczną władzę sprawowali brytyjscy rezydenci, mianowani jako doradcy miejscowych władców. Pozostałe stany: Johor, Kedah, Kelantan, Perlis i Terengganu utworzyły Niesfederalizowane Stany Malezji. Mimo, iż przyjęły one brytyjskich rezydentów, to nie podlegały bezpośrednio Londynowi. Stany Sabah i Sarawak były natomiast częścią Brytyjskiego Borneo Północnego.

W styczniu 1942 r. wojska japońskie zaatakowały półwysep malajski. Mimo zacieklego oporu sił brytyjskich, australijskich i indyjskich Japonia do końca lutego opanowała półwysep malajski jak i wyspę Borneo. Japończycy traktowali Malajów dość dobrze, przez co część malajskich urzędników i intelektualistów z nimi kolaborowała. Większość sułtanów także współpracowała z japońskimi okupantami, choć później twierdzili, że robili to wbrew własnej woli. Japończycy stali się jednak niepopularni, po tym jak oddali Tajlandii cztery północne stany (Kedah, Perlis, Kelantan i Terengganu). Chińczycy byli natomiast brutalnie prześladowani, co spowodowało powstanie partyzantki antyjapońskiej.

W 1945 Brytyjczycy ustanowili w Brytyjskich Malajach administrację wojskową, a cztery stany północne zostały zwrócone przez Tajlandię. 1 kwietnia 1946 utworzono Związek Malajski. Malajowie protestowali ponieważ nie podobało im się ograniczenie władzy sułtanów jak i przyznanie obywatelstwa imigrantom, głównie Chińczykom. 31 stycznia 1948 utworzono Federację Malajską, składającą się ze wszystkich malajskich stanów, lecz bez Singapuru. 31 sierpnia 1957 Federacja Malajska ogłosiła niepodległość od Wielkiej Brytanii.

16 września 1963 przyłączono północne Borneo i zmieniono nazwę kraju na Malezję. W 1965 od Malezji odłączył się Singapur, który stał się suwerennym państwem.

Ustrój polityczny [edytuj]

Malezja to federalna monarchia konstytucyjna. Głową państwa jest król, wybierany co 5 lat przez Zgromadzenie Władców (władcy i gubernatorzy stanów - sułtani). Władza ustawodawcza należy do 2-izbowego parlamentu (Izba Reprezentantów (219 przedstawicieli) o kadencji 5-letniej i Senat (70 przedstawicieli) o kadencji 3-letniej). Władzę wykonawczą sprawuje rząd, a premiera mianuje król. Stany Malezji mają autonomię wewnętrzną z własną konstytucją i organami władz, ale sprawy zagraniczne, obrona, finanse i oświata podporządkowane są rządowi centralnemu.

Stolica Malesji to miasto, które dzięki industrializacji stało się wzorem dla futurystycznych metropolii XXI wieku. Wspaniałe drapacze chmur nawiązujące stylem do budowli islamskich wyrastają nad wielopasmowymi autostradami, kontrastując z zabytkowymi sklepikami Chinatown i brytyjską architekturą kolonialną.

Niegdyś niewielkie miasteczko w okolicach kopalni cyny, przeobraziło się w dynamiczną bogatą metropolię, zaliczaną do najważniejszych miast w Azji. Dzięki swoistej mieszaninie ras powstała fascynująca mozaika kultur, czego świadectwem jest znakomita tamtejsza kuchnia. Wspaniała supernowoczesna architektura na miarę XXI w. to dziedzictwo okresu prosperity Malesji w latach 90. XX stulecia, ale zachowało się również wiele wspaniałych zabytków.

W latach 60. XIX w. w miejscu, gdzie łączą się wody rzek (sungai) Klang i Gombak, pojawiła się grupa poszukiwaczy cyny. Założyli oni osadę, którą nazwano Kuala Lumpur (Błotniste Ujście). Bogate złoża cyny przyciągnęły wielu nowych przybyszów, w wyniku czego osada szybko przeobraziła się w miasto.

Do ukształtowania się obecnego Kuala Lumpuru przyczyniali się kolejno sułtani, Brytyjczycy, japońscy najeźdźcy podczas II wojny światowej, a ostatnio politycy z rządzącego ugrupowania Zjednoczona Narodowa Organizacja Malajów (United Malays National Organization – UMNO).

W Malesji mieszkają około 22 miliony ludzi. Społeczeństwo tego kraju wywodzi się z wielu różnych grup etnicznych, z których najważniejszymi są Malajowie, Chińczycy, Hindusi, oryginalni mieszkańcy tego regionu Orang Asli oraz różne plemiona z Borneo. Około 85% z 22 milionów mieszka na Półwyspie Malajskim, reszta w stanach Sarawak i Sabah na Borneo. Każda z tych grup reprezentuje bardzo ciekawą kulturę. To właśnie dzięki temu Malesja jest krajem tak niezwykłym.

Sprawą kontrowersyjną (choć sami Malesyjczycy zdają się tym nie tak bardzo przejmować) jest status poszczególnych grup. Po przewrotach w 1969 roku Malesyjczyków podzielono na dwie kategorie: Bumiputra (co po malajsku znaczy mniej więcej tyle co syn ziemi) i Non-Bumiputra. Do grupy Bumiputra zalicza się Malajów, Orang Asli oraz plemiona z Boreno. Non-Bumiputra to mieszkający w Malesji od co najmniej 4 pokoleń Chińczycy i Hindusi. Status Bumiputry daje wiele przywilejów, np. ułatwiony dostęp do edukacji, zniżka na zakup gruntu, nieruchomości czy samochodu, preferencje na giełdzie, preferencje przy prowadzeniu działalności gospodarczej itd. Rząd usprawiedliwia taką politykę potrzebą ochrony interesów pierwotnych mieszkańców kraju. Jednak pikanterii sprawie dodaje fakt, że np. Indonezyjczyk lub Taj, który uzyska obywatelstwo malesyjskie automatycznie staje się Bumiputrą...

Malesyjczycy nie lubią poruszać tego tematu, gdyż skarżenie się lub wyrażanie opinii niezgodnych z polityką rządu grozi więzieniem. I to w kraju, który nazywa się demokracją konstytucyjną. No cóż – tak wygląda demokracja w wydaniu azjatyckim. Malesyjczycy są narodem dosyć wolnym i leniwym (jak na europejskie standardy). Tamtejszy system edukacji nie skłania do myślenia, gdyż za popełnienie najmniejszego błędu uczniowie są surowo karani. Dlatego też rzadko wychylają się przed szereg. Trudno skłonić do inwencji twórczej kogokolwiek, kogo status w firmie jest niższy niż szef - po prostu boją się, że ich pomysły mogą nie współgrać z wizją kierownictwa. Dlatego wolą siedzieć cicho. Malesyjczycy mają trzy główne rozrywki: jedzenie (patrz: kuchnia), zakupy (to prawdziwe szaleństwo w Malesji!) oraz oglądanie telewizji. Rzadko podróżują, nie łatwo wyciągnąć ich do pubu. Z natury są raczej domatorami.

Sercem Kuala Lumpuru jest Merdeka Square. Na południowy wschód od tego placu, na drugim brzegu rzeki Klang leży dzielnica banków, stopniowo przechodząca w znacznie starsze od niej Chinatown. Ten gwarny, pełen ruchu kwartał miasta cieszy się dużym powodzeniem wśród niezamożnych turystów, głównie ze względu na niskie ceny noclegów, a także tani, dobrze zaopatrzony nocny targ.

Na wschód od Merdeka Square są dwa przystanki Masjid Jamek dwóch krzyżujących się linii szybkiej kolei miejskiej Light Rail Transit (LRT) – Star i Putra. W pobliżu biegnie Jl Tun Perak, najważniejsza trasa tranzytowa w kierunku wschodnim, prowadząca m.in. do dworca autobusowego Puduraya – głównego węzła komunikacyjnego w stolicy Malesji. Na wschód od dworca Puduraya, w rejonie Jl Sultan Ismail, rozciąga się Golden Triangle (Złoty Trójkąt) –

nowoczesne modne centrum współczesnego Kuala Lumpur.

Jednym z głównych powodów, dla których warto przyjechać do Kuala Lumpur, jest kuchnia, czerpiąca inspirację z wielu źródeł. W ofercie gastronomicznej przeważają dania malajskie, hinduskie i chińskie, nie brak jednak potraw z innych części świata. Każdy znajdzie tu coś dla siebie, niezależnie od zasobności portfela. W Małych Indiach podają najlepsze hinduskie curry z puszystym roti (pieczywem). W okolicach Jl Masjid India i Jl TAR jest dużo kawiarni. W centrum Kuala Lumpur jest zaskakująco dużo restauracji specjalizujących się w potrawach europejskich. Nie brakuje też lokali, w których szefowie kuchni chętnie eksperymentują. Większość dobrych restauracji skupiła się w Bangsarze, na południe od śródmieścia. Nie brakuje budek i straganów z jedzeniem oraz przewoźnych stoisk gastronomicznych. O każdej porze dnia i nocy można zjeść pyszne dania, które mają jeszcze jedną zaletę – są zdecydowanie najtańsze. Targowisko przy Jl Petaling w Chinatown jest wyłączone z ruchu kołowego. Wieczorem przed chińskimi restauracjami na Jl Hang Lekir pojawiają się stoliki. Liczne stoiska są też na dworcu autobusowym Puduraya. Wiele z nich działa do późnych godzin nocnych. Inne targowiska, na których sprzedaje się potrawy malajskie, to niedzielny targ na Kampung Bahru oraz targ w Chow Kit, w pobliżu Jl TAR. Na nocnym targowisku przy Lorong TAR, na terenie Małych Indii, jest rewelacyjne jedzenie i wspaniała atmosfera.

Alkohol w Malezji jest drogi, a drinki w barach są obłożone prawie stuprocentową marżą. Najtaniej można wychylić kielicha w chińskich jadalniach lub przy stoiskach gastronomicznych na świeżym powietrzu. Wielu obcokrajowców mieszkających w Kuala Lumpurze lubi się pokazać w lokalach na terenie Bangsaru, na południe od centrum miasta.

Kuala Lumpur z pewnością nie jest najciekawszym pod względem turystycznym miejscem w Malezji, ale mimo wszystko warto odwiedzić stolicę. Dwa dni to wystarczająca ilość czasu na poznanie jej głównych atrakcji. Lecimy zwiedzać, bo mamy niewiele czasu.

Pierwsze co uderza nas na ulicach stolicy to niesamowita mozaika ludzi. Współistnieją obok siebie dzielnice muzułmańskie, hinduskie, chińskie. Każda z tych grup zachowała swoje tradycje, stroje i po tym od razu można rozpoznać z jakiego regionu świata ktoś pochodzi. Poza tym ruch niesamowity, ilość dróg wielopasmowych również.

Najpierw idziemy przez zabytkową część miasta z kolonialnymi zabudowaniami, przecinając Małe Indie. Główną ulicą w Małych Indiach jest Jl Masjid India. Skupiło się przy niej mnóstwo indyjskich sklepików sprzedających m.in. sari, oraz wiele restauracji, w których podaje się jedzenie halal (przygotowane ściśle według przepisów islamu). Warto się tam wybrać – z rozklekotanych głośników dudni indyjski pop, w powietrzu unoszą się zapachy piżma i aromatycznych przypraw. W Małych Indiach można poczuć się jak na wschodnim bazarze, zwłaszcza w porze sobotniego pasar malam (nocny targ).

W końcu pojawiły się normalne literki, które jesteśmy w stanie przeczytać. Malezja jest krajem wielokulturowym, a w związku z tym używa się tam sporej liczby języków. Językiem oficjalnym jest malajski. Jednak dla Chińczyków czy Hindusów jest to język drugi, czy nawet trzeci. Generalnie wygląda to następująco: Dla Malajów językiem pierwszym jest malajski. Poza tym w szkołach uczą się angielskiego, jednak ich znajomość tego języka jest zwykle dosyć słaba. Dla Chińczyków językiem pierwszym jest zazwyczaj mandaryński lub hokkien. Drugiego, a często i trzeciego dialektu chińskiego uczą się w szkole lub na podwórku od kolegów. W szkole uczą się malajskiego, jako języka oficjalnego oraz angielskiego. Tak więc niczym nadzwyczajnym nie jest Chińczyk mówiący płynnie w 4 lub 5 językach. Dla większości Hindusów pierwszym językiem jest tamilski. Poza tym w szkole, tak jak Chińczycy, uczą się języka malajskiego oraz angielskiego, i w używaniu tego drugiego są w Malezji zdecydowanie najlepsi.

Językiem, który zyskuje na popularności jest angielski. Wynika to głównie z faktu, że poszczególne grupy muszą się ze sobą jakoś porozumiewać. Wydawałoby się logiczne, aby używali do tego celu języka oficjalnego - malajskiego. Jednak zarówno Chińczycy jak i Hindusi niechętnie mówią po malajsku. Konieczność uczenia się tego języka przypomina im o nierównym statusie różnych grup etnicznych w Malezji (patrz: społeczeństwo). Tak więc angielski stał się językiem neutralny. Niemniej jednak, jadąc do Malezji, warto nauczyć się kilku zwrotów po malajsku czy

mandaryńsku. Można wtedy wynegocjować lepszą cenę za różne towary i po prostu zyskać sobie sympatię tubylców. Oczywiście można porozumiewać się po angielsku, ale angielski angielskiemu nierówny. Ten w wydaniu malezyjskim jest jak inny język. My wiele rozumiemy bo malajski jest podobny do indonezyjskiego, a rok temu wiele rzeczy praktycznych udało nam się nauczyć. Dzieci tutaj też nie mają wakacji, bo co chwilę mijamy je ubrane w szkolne mundurki.

Idąc ulicami miasta co chwilę mijamy, a to muzułmanki w czadorach, a to Hinduski w sari. Kręcimy się w kółko, bo jest tu wiele niesamowitych rzeczy do zobaczenia. Przechodzimy obok Masjid Jamek. To zaciszna świątynia, wzniesiona w 1907 r. – stoi w palmowym gaju w dzielnicy kolonialnej. W końcu idziemy coś zjeść. Znajdujemy restaurację gdzie oferują danie dnia – mrożona herbata, zupa pieczarkowa, baranina z frytkami, a do tego wszystkiego lody. Cały zestaw to 37 ringitów, czyli około 37 zł. Nie najtaniej, ale w Polsce za taki zestaw zapłacilibyśmy dużo więcej. Pierwszy rzut oka na ceny w Malezji, to naprawdę przyzwoite. Niby jest to taka Szwajcaria Azji, ale mimo wszystko nie pójdziemy z torbami.

Najedzeni możemy iść pod Petronas Tower spróbować się dostać jeszcze dzisiaj na małe zwiedzanie. Podjeżdżamy metrem na stację mieszczącą się w pobliżu bliźniaczych wież. Bilety na darmowe wejście są tylko rano. My przyjeżdżamy tu popołudniu. No ale jesteśmy upierdliwi. Pani w recepcji mówi, że nie ma, będą dopiero jutro rano koło 7. My stwierdzamy, że może jednak ktoś się nie zjawi na swoją godzinę i będziemy mogli wejść. Mówimy, że za pół godziny podejździemy znowu. Po czym idziemy na zewnątrz porobić trochę zdjęć całych Petronas Tower. Najniższe piętra zajmowane są przez najbardziej markowe sklepy świata, natomiast wyższe piętra są to wszelkiego rodzaju biura.

Nad miastem górują najwyższe bliźniacze budynki świata Petronas Towers, zwane tu KLCC (Kuala Lumpur City Center) oraz Menara KL, wieża telewizyjna. Petronas Towers robią ogromne wrażenie. Wejście na most łączący wieże jest możliwe, więc wiele osób korzysta z tej okazji.

Jesteśmy upierdliwi i podchodzimy do recepcji po raz kolejny. Biletów dalej nie ma, ale pani każe nam poczekać w sali obok i na razie zwiedzić wystawę. No zaczyna być lepiej. Oglądamy więc ekspozycję składającą się z porównania różnych najwyższych budynków na świecie i porównać ze swoim wzrostem, można zobaczyć tutaj doświadczenie Tesli z błyskawicami i jeszcze wiele innych interesujących rzeczy.

Kiedy wołają kolejną grupę osób stajemy niedaleko lady, tak aby recepcjonistka nas widziała. Przy okazji wszystkich chętnych nie mających biletów odsyła z kwitkiem na jutro. W końcu cała grupa zwiedzających znika, a że zostają nie wykorzystane identyfikatory, bo ktoś się nie zgłosił możemy skorzystać z szansy i wejść. Nie ma to jak być upierdliwym. Jest to jednak skuteczne. Hurra! Najpierw idziemy na 7 minutowy seans w 3D o tym jak powstało samo Petronas Tower i o potencjale roponośnym Malezji. Potem ustawiamy się pod drzwiami winy czekając, aż poprzednia grupa zjedzie na dół. W oczekiwaniu na wjazd możemy sobie poczytać ogłoszenia. Jest tu kategoryczny zakaz żucia gumy. Grozi za niego surowy mandat. Na dodatek wszędzie są jakieś zakazy i nakazy, nie mówiąc już o zakazie palenia papierosów czy śmiecenia. Dziwna sprawa jak na Azję. W innych krajach tym problemem nikt się nie przejmuje.

Wsiadamy do windy i jedziemy na 41 piętro. Na most pomiędzy wieżami wjeżdżamy w rekordowym czasie 35 sekund pokonując 170 metrów. Widoki z tarasu są świetne. Widać całą stolicę. Wizyta na górze trwa tylko 15 minut, ale jest tego warta.

Zjeżdżamy na dół zadowoleni, że udało nam się być w tym miejscu, po czym idziemy do parku obok zobaczyć jak wieże wyglądają kiedy się ściemnia. Park jest przystosowany dla dzieci – jest tu basen, huśtawki itp. Dookoła basenu chodzą policjantki. Jak tylko ktoś wejdzie na wykafelkowany pas przy basenie od razu używają gwizdka. Można tam chodzić tylko bez butów, a po drugie do wody mogą wchodzić tylko dzieci. Nawet po policjantkach widać, które są muzułmankami, bo na głowie oprócz służbowej czapki mają założone chusty. Siedzimy i siedzimy, słońce coraz bardziej kryje się za horyzontem, a budynki wraz z Petronas coraz bardziej jaśnieją tysiącem świateł. Przepiękny widok. Z parku idziemy w kierunku wieży telewizyjnej – Menary. Mamy do pokonania okół 1,5 km. Mijamy ciągnące się wokół parku bieżnie do uprawiania joggingu. Trzeba uważać, bo chodnik podzielony jest dla spacerowiczów, a druga część o specjalnej

nawierzchni dla biegających.

Wokół Petronas Towers i Menary KL rozciąga się biznesowa dzielnica miasta zwana Golden Triangle. W zasadzie tylko egzotyczne rysy twarzy przechodniów przypominają, że to Azja, gdyż krajobraz jest bardzo europejski.

Pod Menarą wsiadamy w darmowy busik który zawozi nas na górę pod samą wieżę telewizyjną. Wokół wieży telewizyjnej rozciąga się fragment zachowanej dżungli. Kupujemy bilety, które nie należą do najtańszych, ale z drugiej strony atrakcja jest tego warta. Sufity głównego wejścia ozdobione są mozaiką szkła, co wygląda niczym żyrandol. Koło 20:30 jesteśmy na tarasie widokowym. Pokonanie widną 280 metrów zajmuje jeszcze mniej czasu niż w Petronas, bo tylko niespełna 30 sekund. W uszach nieprzyjemnie strzela.

Menara Kuala Lumpur jest najwyższą wieżą w południowo-wschodniej Azji (421m) i czwartą co do wysokości wieżą na świecie, wyższe są tylko: 553 metrowa CN Tower w Kanadzie, 537 m Ostankino Tower w Rosji i 468 m Shanghai Tower w Chinach. Trzon wieży zbudowany z pionowych żeber ma od 24,5 do 13,6 metrów średnicy. Grubość ścian trzonu od 1,4 do 0,6 metra. Fundamenty są wkopane 17 m pod ziemię, a ich maksymalna średnica wynosi 54 m. Do przemieszczania się w wieży służą m.in. 4 windy oraz schody z 2058 stopniami. Masa użytego cementu to 45 000 m³, wzmocnień 5 300 ton, stali 11 300 ton. Całkowita waga wieży wynosi ok. 100 000 ton.

Menara KL została zbudowana by wzbogacić jakość usług telekomunikacyjnych oraz polepszyć jakość nadawanych materiałów. Stała się ona także symbolem Kuala Lumpur, miasta cudownych światel. Wieżę można podzielić na 5 głównych części: 1) podstawa, 3 piętra na których znajdują się pomieszczenia dla obsługi oraz magazyny; 2) budynek turystyczny, znajdują się tu biura administracyjne, sklepy z pamiątkami oraz basen; 3) trzon wieży, składający się z 22 pięter z windami i schodami; 4) głowa wieży; 5) maszt antenowy. "Głowa" ma 6 pięter i maksymalnie 50 metrów średnicy, znajdują się tam restauracja, platforma widokowa na wysokości 276 metrów, stacja nadawcza oraz pomieszczenia techniczne i usługowe. Budowla została zaprojektowana tak aby oprzeć się wiatrom wiejącym z siłą do 150 km/h.

Widok z Menary KL okazuje się być fantastyczny, zwłaszcza, że jest już późny wieczór i stolica tonie w świetle budynków. Całe miasto widać jak na dłoni. Można wypożyczyć elektronicznego przewodnika i przejść dookoła platformy widokowej i wysłuchać informacji o tym co znajduje się w tej części miasta.

W cenie biletu jest możliwość wejścia do minizoo, jazda na kucyku(!!!) oraz zabawę na automatycznym samochodzie. Idziemy oczywiście zobaczyć zoo. Jest fenomenalne. Nie jest duże, bo w zamkniętym pomieszczeniu, ale zwierzęta które znajdują się tutaj pierwszy raz w życiu widzę. Na samym wejściu stoją ogromne akwaria z gigantycznymi, wielometrowymi i grubszymi od ręki pytonami. Można tu spotkać dziwaczne stworzenia np. Bullfrogi – czyli żaby, które są wielkie jak dłonie i prawie nie mają łap. Nie wiem jak się poruszają. Inne z kolei żaby mają coś w rodzaju rogów i wyglądają trochę jak diabełki. Jest cała masa gekonów, jaszczurów, małp, papug, szopów, skunksów, legwanów oraz np. węży albinosów. Spotykam tutaj po raz pierwszy dwie Polki.

Kiedy chcemy zjechać ze wzgórza busikiem, okazuje się, że jest na tyle późno, iż już nie kursuje i trzeba zejść piechota. Całe szczęście, że są zrobione skróty i schodzi się dość szybko. Przed sobą mamy około 2 km do Matahari, gdzie nocujemy. Po drodze zatrzymujemy się przy budce aby zjeść miejscowe hamburgery. Kosztują około 2 zł i są przepyszne. Do pokoju docieramy chwilę przed 23. za oknem dochodzą nas głośnie roboty, gdzie trwa budowa. Na nieszczęście mamy okno wychodzące na główną ulicę. Na dodatek pod oknami co chwilę przejeżdża autobus.

22.07.2009 (środa)

Wstajemy o 7:45, choć już od dłuższej chwili nie śpię, bo od dawna słyszeć uliczny gwar z oknem. Zjadamy szybkie śniadanie w kuchni guest housu – tosty i herbata. Idziemy na pobliski ogromny terminal autobusowy. Napotkany Malezyjczyk prowadzi nas do autobusu jadącego do

Malakki, jednak jest on pusty i Paweł idzie dopytać, czy to na pewno właściwy. Owszem, ale ten jest późniejszy i wsiadamy do innego który odjeżdża za chwilę czyli o 9.

W całym autobusie siedzi tylko osiem osób i o dziwo autobus odjeżdża. Autobus wysokiej klasy, taki można i wiele godzin jechać, chociaż działanie klimy może zabić. Na dodatek osiem osób nie jest w stanie ogrzać autobusu i zimno płynące z klimy hula po autobusie, a my nie wzięliśmy żadnych bluz z długim rękawem. Przed nami dwie godziny jazdy i około 140 km. Autostrady w Malezji też na najlepszym poziomie, kilka pasów korków nie ma jedzie się jak po stole i szybko. Za oknem przez cały czas ciągną się gigantyczne plantacje palm. Od czasu do czasu pojawiają się dzielnice mieszkaniowe, ale uniwersyteckie. Przejeżdżamy obok gigantycznego Uniwersytetu Islamskiego, którego ozdobiona fasada nawiązuje do sztuki tej religii.

Punktualnie dojeżdżamy do celu. Zostajemy wysadzeni przed miastem na Melaka Central Terminal, obok którego mieści się ... Tesco. Szukamy więc lokalnego autobusu jadącego do centrum – tzw. old town. Po kwadransie jazdy wysiadamy w samym centrum starej, kolonialnej Malakki.

Malakka jest najstarszym miastem w Malezji, zamieszkanym przez około 90 tys. mieszkańców. Jej historia sięga XIV wieku. Miasto zaczęło zyskiwać na znaczeniu w XV wieku, kiedy stało się największym portem handlowym w Azji Południowo Wschodniej. Dziś Malakka nie ma już takiego znaczenia, jednak nadal jest wspaniałym przykładem bogatej historii tego regionu świata oraz fascynującą mieszanką chińsko - islamsko - europejskiej kultury.

Za panowania sułtanów Malakka była jednym z najważniejszych i najbogatszych ośrodków handlowych w Azji Południowo- Wschodniej. Niektórzy twierdzą, że w tym właśnie mieście można poznać prawdziwe oblicze Malezji.

Początkowo Malakka była tylko jedną z wielu rybackich wiosek. Około 1400 r. zwrócił na nią uwagę hinduski władca Sumatry – Parames'wara. Pod jego rządami wioska przekształciła się w ważny port, w którym załogi statków przeczekiwały monsun i uzupełniały zapasy. W 1405 r. do Malakki przyłynął admirał Zheng He, przywożąc dary od cesarza Chin, Yong-luo, oraz obietnicę udzielenia ochrony przed napadami Tajów. Wkrótce potem zaczęli przybywać do miasta chińscy osadnicy. Nazywano ich Baba, Nyonya, a także Chińczykami znad cieśniny.

Na bogatą, zróżnicowaną kulturę miasta wywarły też znaczny wpływ kontakty ze światem muzułmańskim, utrzymywane za pośrednictwem kupców z Indii. Trzeci władca Malakki, maharadża Mohammed Szah (1424–1444), przeszedł z hinduizmu na islam, który następnie, za panowania Muzaffara Szaha (1444–1459), stał się religią państwową.

W 1509 r. w Malakce pojawili się Portugalczycy. Początkowo przyjęto ich dość ciepło, później jednak mieszkańcy miasta wtargnęli na statki portugalskie i wzięli wielu jeńców. W odwet za to w 1511 r. flota pod dowództwem wicekróla Alfonsa de Albuquerque zaatakowała i zdobyła Malakkę. W 1641 r. kres panowaniu Portugalczyków położyli Holendrzy. Władali oni miastem przez 137 lat (od 1768 do 1814 r. okupowały je wojska brytyjskie), po czym w 1824 r. przekazali Malakkę Brytyjczykom w ramach wymiany za port Bencoolen (obecnie Bengkulu) na Sumatrze.

Współczesnej Malakki nie ominął malezyjski boom gospodarczy w latach 90. XX w., dzięki czemu miasto jest jedną z największych atrakcji turystycznych Malezji.

Najciekawsze i najstarsze dzielnice Malakki leżą głównie na wschodnim brzegu rzeki Melaka, w okolicach Town Square, znanego też jako Dutch Square. Obok tego staromiejskiego rynku wznosi się Wzgórze św. Pawła (Bukit St Paul). Nieco dalej na północ leży niewielka dzielnica hinduska (Little India), a na północny zachód – Chinatown. Nie brakuje tam sklepików prowadzonych przez kupców chińskich pochodzenia indonezyjskiego (są oni określani mianem Peranakan), antykwariatów, zacisznych buddyjskich świątyń i zabytkowych meczetów.

Malakka znajduje się zaledwie 2 godziny jazdy autobusem od Kuala Lumpur. Po dotarciu do Malakki trzeba poszukać starego miasta, w zasadzie starego miasteczka. To kilkanaście budynków, z których najslawniejszym jest Kościół Chrystusa. Wszystkie te budynki są różowe! Tak wyglądały ponoć od momentu powstania, czyli w czasach kolonizacji portugalskiej i holenderskiej. Można poczuć się jak w XVIII wiecznej Europie, a nie jak w Azji. Jest tu także zrekonstruowany pałac sułtana oraz wzgórze z ruinami XVI-wiecznego kościoła, skąd można podziwiać panoramę

Malakki.

Turystów najbardziej interesuje starówka, której sercem jest Town Square. Za rynkiem stał niegdyś portugalski fort A'Famosa. Najbardziej widoczną pozostałością po Holendrach w Malakce jest potężny Stadthuys. Ten czerwony gmach, uznawany za najstarszy budynek wzniesiony przez Holendrów na Wschodzie, pełnił dawniej funkcję ratusza i rezydencji gubernatora. Obecnie mieszczą się w nim trzy muzea – Muzeum Historyczne, Muzeum Etnograficzne i Muzeum Literatury. W sąsiedztwie stoi jaskrawoczerwony kościół Chrystusa, zbudowany w 1753 r. Na głównym placu przy fontannie stoją śmiesznie kolorowe riksze udekorowane chińską tandetą. Można sobie taką wynająć i zwiedzać w ten sposób miasto. Kiedy riksza rowerowa z kierowcą rusza, ten włącza muzykę... wszystkie budynki dookoła mają ceglany kolor. Wyglądają pięknie i tak jakoś europejsko.

Najpierw idziemy w kierunku muzeum morskiego, mijając duże koło wodne przy rzece. Jednym z miejsc zwiedzania muzeum morskiego jest replika statku z roku 1500 w naturalnych rozmiarach, którym Portugalczycy podbijali azjatyckie regiony. Można na statku zobaczyć miniaturowe statki, stare mapy, stroje dawnych żeglarzy. W pobliskim budynku można za to dowiedzieć się wszystkiego o otaczających wodach morskich, poznać stary sprzęt służący do nawigacji, oprządkowanie statków, repliki statków, podwodne skarby znalezione w wodach Malezji.

Obok Stadthuys zaczynają się schody wiodące na Bukit St Paul. Na szczycie tego wzgórza, z którego rozciąga się wspaniały widok na miasto i okolicę, wznoszą się ruiny kościoła św. Pawła. Ze szczytu rozciąga się również widok na cieśninę Malakkę i stojące na redzie statki. Ogromne wrażenie robią resztki potężnych murów świątyni (brak dachu) oraz piękne nagrobki w jej wnętrzu. Wybudowany został przez portugalskiego kapitana Duarte Coelho, a następnie przejęty przez Holendrów, którzy poświęcili go świętemu Pawłowi. Przez długi czas służył jako miejsce pochówku szlachetnie urodzonych Holendrów. Schody na przeciwległym stoku Bukit St Paul prowadzą na dół, do Porta de Santiago. Ta masywna brama jest jedyną pozostałością po olbrzymiej twierdzy "A Famosa", z której Portugalczycy przez 130 lat władali Malakką. Budowę twierdzy rozpoczęli w 1511 r. bezpośrednio po przybyciu na wybrzeże Malakki. Twierdza została zdobyta i częściowo zniszczona przez Holendrów, którzy następnie w 1670 r. podnieśli ją z ruin i opatrzili godłem Kompanii Wschodnioindyjskiej "V.O.C.", widocznym po dziś dzień ponad zachowaną bramą.

Obchodzimy dookoła wzgórza i wracamy na główny plac, mijając kilka muzeów np. kultury, architektury marynarki, wojska. Wokół wzgórza można spotkać np. stojący autentyczny samolot. Dalej z placu idziemy przez most idziemy w kierunku Chinatown. Chińska dzielnica to jeden z najciekawszych zakątków Malakki. W sklepach ze starociami można znaleźć prawdziwe skarby Wschodu. Jonker Walk Street to ulica idąca przez samo serce tej dzielnicy. Znajduje się przy niej wiele restauracyjek (chińskich) oraz sklepów ze starociami, jak i chińską tandetą, którą w Polsce można kupić w popularnych sklepach „wszystko za 4 złote”. Korzystamy z obiadu w jednej z takich chińskich restauracji. Jedzenie pojawia się po dwóch minutach – napoje limonkowe, wieprzowina w słodkim sosie sojowym i ryżowe kulki do tego.

Snując się uliczkami Chinatown co chwile mijamy różne świątynie: buddyjskie, katolickie, chińskie, protestanckie (anglikańskie), baptystów, meczety, czy też konfucjańskie. Jest tu każda religia, na niewielkim skrawku ziemi. Jednak najbardziej znaną jest Cheng Hoon Teng (Qing Yun Ting, Świątynia Zielonych Chmur), najsłynniejsza świątynia w Chinatown, została wzniesiona w 1646 r. Wszystkie materiały użyte do jej budowy sprowadzono z Chin. Cheng Hoon Teng jest najstarszą chińską świątynią na terenie Malezji.

Na wielu stoiskach z pamiątkami chyba z powodu niskiego sezonu turystycznego, sprzedawcy opuszczają ceny jeszcze przed rozpoczęciem targowania się. Malakka jest naprawdę przyjemnym miejscem. Tak mija nam parę godzin i czas zbierać się do Kuala Lumpur.

Około 15:30 stajemy na głównym placu w oczekiwaniu na lokalny bus, który zawiezie nas na dworzec. Po kwadransie czekania nadjeżdża. No i zaczyna się masakra. Zamiast tak jak poprzednio jechać kwadrans, jedzie aż 45 minut. Dlaczego? Bo objeżdżamy całe miasto. Ładujemy

nawet po przeciwnej stronie miasta nad samą cieśniną Malakka! Bus zatrzymuje się dosłownie co parę metrów, nie przestrzega przystanków autobusów. Co chwilę ktoś wsiada inny wysiada i tak jeździmy dookoła miasta. Paweł nawet zdążył zasnąć oparty o szybę. Przez tą naszą podróż dookoła spóźniamy się na autobus o 16:30, ale na szczęście jest kolejny o 17:00. Kupujemy tani bilet. W Malezji przejazdy są wyjątkowo tanie. Bilet na przejechanie 150 km kosztuje około 12zł. Na dworcu autobusowym kupujemy sobie jeszcze pamiątkowe koszulki z Malakka. Wsiadamy do autobusu, uff ten nie przesadza z klimą i można spokojnie jechać i nie marznąć. Paweł chciał już nawet kupić coś z długim rękawem na drogę powrotną. Mijamy dawną plantację palm olejowych, która zmieniła się w starannie rozplanowane, futurystyczne miasto, zwane Miastem Ogrodów i Inteligentnym Miastem - Putrajaya - nowe rządowe centrum administracyjne, otoczone tropikalną zielenią, ogrodami botanicznymi i parkami, które dodają życia nowoczesnej infrastrukturze i osiągnięciom techniki, widocznym w całym mieście. Oddalona zaledwie 25 km od Kuala Lumpur, może się poszczycić np. unikalnymi wzorami latarni ustawionych wzdłuż szerokich ulic, ale także charakterystycznymi dla miasta jeziorami. Nasz autobus mknie niczym strzała i do stolicy dojeżdżamy w czasie poniżej 2 godzin. Jednak do samego dworca nie dojeżdżamy, musimy wysiąść wcześniej, bo przed dworcem ustawiała się gigantyczna kolejka autobusów. Jest ich kilkadziesiąt. To chyba taka pora szczytu, kiedy z różnych miejsc kraju zjeżdżają się na ten największy dworzec Putrajaya.

Wracamy do hotelu chwile odpocząć, a potem idziemy już po zapadnięciu zmroku na plac Merdeka, czyli Plac Niepodległości. Po malajsku - Kuala Lumpur Dataran Merdeka. Znajduje się w sercu Kuala Lumpur, jest ze względów historycznych szczególnie ważny dla wszystkich Malezjczyków. To tutaj 31 sierpnia 1957 r. spuszczone z masztu flagę brytyjską i wciągnięto na jej miejsce flagę Malezji. Obecnie stoi w tym miejscu najwyższy na świecie (mierzący 100 metrów) maszt flagowy. Dookoła placu można zobaczyć budowle kolonialne, jak i w stylu muzułmańskim.

Dalej idziemy jeszcze do Chinatown. W rozgardiaszu panującym w dzielnicy chińskiej można się zagubić, ale w tym szaleństwie jest metoda. Na uliczkach kłębi się tłum ludzi różnych ras, gęsto jest także od wszelkiego rodzaju pojazdów. Ta hałaśliwa, tętniąca życiem część miasta przyciąga turystów nieodpartym urokiem. W pobliżu dawnego targowiska miejskiego stoi Główna Hala Targowa (Central Market) – odnowiony budynek w stylu art déco, gdzie można kupić dosłownie wszystko od ubrań, aż po podróbki markowych zegarków. Można je wybrać z katalogu danej marki. Dla Azjatów nie ma nic niemożliwego.

Na koniec korzystam z lokalnej budki niesprzedającej hamburgery, a Paweł woli pójść do McDonalda. Potem wracamy ulicami Kuala Lumpur do hotelu. Jest już późno i ruch zamarł, wszystkie pobocza ulic zastawione są miejskimi autobusami, które w taki sposób są garażowane przez noc. Jutro rano znowu wyjada na ulice stolicy.

23.07.2009 (czwartek)

Pobudka o 7:30. Za oknem znowu słychać szum autobusów, wołających naganiaczy autobusowych oraz pobliską budowę. O 8 wychodzimy, aby jeszcze raz, ale tym razem za dnia zobaczyć Plac Merdeka, gdzie wchodzimy na chwilę do anglikańskiego kościoła. Dzisiaj pogoda jak marzenie. - słońce świeci przepięknie, a niebo jest błękitne. Wczoraj mieliśmy grubą warstwę ciemnych chmur, chociaż nie padało. Jednak w Szanghaju grube ciemne chmury i padający deszcz pokrzyżowały plany oglądania całkowitego zaćmienia słońca, które miało miejsce w tym regionie. Później kierujemy się na dworzec kolejowy, który już właściwie nie pełni swojej roli – tylko dla pojedynczych pociągów, a jest przede wszystkim zabytkiem. Dotarcie do niego trochę czasu nam zajmuje, gdyż położony jest po przeciwnej stronie całej kombinacji dróg. Mimo że mamy cały czas go przed oczami nie możemy tam dojść. Co chwile trafiamy na drogę wielopasmową, szybkiego ruchu, której nie da się przejść. Ale w końcu nam się udaje.

Dworzec Centralny w Kuala Lumpur wybudowany w stylu mauretańskim w roku 1910. Sprawia wrażenie pałacu. Naprzeciwko dworca znajduje się budynek administracji Malajskiej Kolei

Państwowej "KTM", który również stanowi interesujący przykład architektury neomauretańskiej z przełomu wieków.

Zanim wyruszymy na lotnisko, idę zjeść małą przekąskę w postaci „pampuszków” z wieprzowiną. Strasznie mi te pampuszki smakują.

O 10:30 spakowani udajemy się w drogę powrotną na lotnisko. Godzinna jazda mija bardzo szybko, potem przechodzimy kilka kolejek – nadania bagażu, odprawa paszportowa i siadamy w poczekalni. Samolot spóźnia się 20 minut. Jednak kiedy przylatuje, bardzo sprawnie zostajemy zapakowani do samolotu. Panie stewardessy ubrane w czerwone uniformy Air Asia sprawnie każdego sadzają na właściwe miejsce i zabezpieczają bagaż podręczny. O 14 opuszczamy Kuala Lumpur i Malezję. Lecimy wzdłuż zachodniego wybrzeża Półwyspu Malajskiego. Lot trwa dokładnie 2 godziny, ale lądując w Bangkoku, cofamy czas o jedną godzinę.

No i znowu jesteśmy na lotnisku w Bangkoku, tak jak przed prawie czterema tygodniami, gdy przylecieliśmy tutaj z Polski. Teraz z samolotu musimy udać się po bagaże, miejsce lądowania samolotu było gdzieś na szarym końcu i teraz musimy przejść dosłownie całe lotnisko. Dobrze, że przez sale budynku są poprowadzone tzw. szybkie chodniki. Można na nie stanąć i jechać jak na ruchomych schodach. A jak na dodatek będziemy po nich szli, to będziemy szybcy niczym strzała. Odbieramy bagaże i łapiemy taksówkę. Oczywiście bierzemy taką z górnego poziomu, która jest tańsza. Taksówka jedzie z prędkością nadświatłą, a co ciekawe jej prędkościomierz wskazuje... 0km/h (!!!) Po półgodzinnej jeździe jesteśmy w hoteliku New Merry V.

Odwiedzamy od razu agencję turystyczną znajdującą się przy hoteliku i wykupujemy na jutro wycieczkę na pływający market w Damnoen Saduk i most na rzece Kwai. Potem usilnie szukamy autobus nr 511, który jedzie w okolice najwyższego hotelu Bangkoku – Bayoke. Znalezienie autobusu 511 było wręcz karkołomne. Przeszliśmy kilka ulic, a my nie wiedzieliśmy skąd dokładnie odjeżdża, ale udało nam się go w końcu wypatrzyć. Aby połapać się w ruchu autobusów trzeba się naprawdę natrudzić. W Bangkoku bardzo często komunikacja miejska ma swój pas ruchu, ale może on być nie zgodny z kierunkiem jazdy samochodów osobowych. Wydaje się, że autobusu jada jakby pod prąd. Stąd też trzeba dobrze sprawdzić czy wsiadając do autobusu nie jedziemy w przeciwnym kierunku.

Docieramy w okolice Bayoke Hotel, ale aby do niego dotrzeć musimy przedrzeć się przez gigantyczne centrum handlowe tysiąca straganów. Zresztą dookoła znajdują się również domy handlowe. W takim miejscu oczywiście cała masa turystów.

Bayoke Sky to najwyższy hotel w Tajlandii. Wznosi się na wysokość 309 metrów i posiada 88 pięter. Prestiżowy hotel położony jest w sercu miasta i znajduje się blisko wszystkich atrakcji Bangkoku. Atrakcją tego hotelu jest znajdujący się na 77 piętrze przeszklony taras widokowy. Oprócz podziwiania widoków, można tutaj poczytać o różnych najwyższych budynkach świata, zrobić sobie głupie zdjęcie umieszczając głowę w otworze i stać się parą książąt tajskich. Stąd można wjechać na 84 piętro, gdzie z kolei znajduje się na wolnym powietrzu obrotowy taras. Jego obrót wokół wieży hotelu trwa około 9 minut. Trochę tu wieje ze względu na wysokość, ale widok na stolicę Tajlandii jest imponujący. Z góry widać ulice i ich ilość, a także w jaki sposób są poprowadzone. Przecinają poziomami całe miasto, a w kilku miejscach są wielkie węzły, gdzie drogi wiją się i zakręcają niczym ślimaki. Można zobaczyć miejsca w stolicy, gdzie znajdują się centra wysokich wieżowców, albo rozpoznać, w którym miejscu prowadzi linia skytrainu. Łatwo go poznać, bo najczęściej jest poprowadzona po linii prostej. Najdłuższa taka prosta prowadzi w kierunku lotniska. Na razie jeszcze nie jest czynna, ma być uruchomiona w tym roku na urodziny królowej. Biada wszystkim taksówkarzom. Skończy się ich złoty biznes.

W drodze powrotnej wsiadamy ponownie w autobus 511, tym razem obyło się bez większego szukania, jedynie musieliśmy ponownie przebić się przez setki straganów. W autobusie dość tłoczno. Obok nas jadą 3 kobiety, a właściwie są to mężczyźni zrobieni na kobiety. Dwoje z nich ładząco przypomina kobiety, gdyby jednak nie ich głos, który zdecydowanie jest męski. Jak już na samym początku pisałam, podobno przerabianie mężczyzn w kobiety jest tu dość popularne. Chirurdzy w Bangkoku robią niezłą kasę na operacjach, zmieniając u pacjenta płeć. Lady Boys czyli Katoeys czyli Transwestyci – Wyglądają na pierwszy rzut oka jak kobiety. Przeszli różne

stopnie operacji plastycznych. Niektórzy (niektóre?) biorą leki hormonalne, uwypuklając w ten sposób kobiece atrybuty. Niektórzy tylko ubierają się i malują jak kobiety. Jedni są łatwo rozpoznawalni, inni nie zwłaszcza w ciemnych ulicach. W Tajlandii są nawet wybory najładniejszych transwestytów i emitowane są w telewizji w czasie dużej oglądalności. Transwestyci są gwiazdami telewizyjnych programów.

Docieramy do starego centrum Bangkoku i idziemy na wieczorny spacer po Khao San Road. Wpadamy tu na kolację do jednej z miliona kafejek, gdzie zamawiam kurczaka w orzeszkach nerkowcach. Paweł od kobiety z ludu Hmong, kupuje drewnianą żabę. Targuje się ostro, bo kobieta najpierw chce od niego 200 batów, a to rozbój w biały dzień, w końcu kupuje za 60. Straszny ruch panuje na tej ulicy. Kiedy byliśmy tu niespełna miesiąc temu było jakoś spokojnej, a teraz tłumy turystów, naganiaczy do restauracji, salonów tatuażu itp.

Późno wracamy do hotelu i idziemy spać. Jutro przed nami ostatni dzień naszego pobytu a Azji.

24.07.2009 (piątek)

Budzik dzwoni o 6:15, ale nam się nie chce wstawać. No cóż ostatni dzień w Azji. Najpierw idziemy do sklepiku seven/eleven, aby kupić coś co przypominałoby nam śniadanie. Owo coś to ciastka francuskie i dwie małe kanapeczki, które podgrzane w mikrofalach w sklepie robią się jednym glutem.

Siedzimy przed New Merry V i czekamy na busa, który zabierze nas na wycieczkę. Spóźniony kwadrans, ale przynajmniej jest. Najpierw mamy jechać na floating market (pływający market) w Damnoen Saduk. Wyjeżdżamy ze stolicy jedną z głównych dróg, a potem kręcimy się po zawijasach ślimaka i obieramy kierunek poza miasto. Bus osiąga wręcz kosmiczną prędkość. Nie są to autostrady, ale ludzie prują tu ile wlezie. Nie obowiązuje zasada trzymania się jednego pasa, toteż samochody jeżdżą slalomem. Co chwilę inny pojazd pojawia nam się znienacka przed maską, albo podobnie czyni nasz kierowca. Że też nie ma tu co chwilę wypadków to istny cud. Po drodze mijamy kilka sklepów znajomo wyglądających to Tesco Lotus, a także podmiejskie hale w których można zakupić setki gatunków różnokolorowych storczyków. Najczęściej wiszą na belkach bez doniczek i... pięknie kwitną. Po 1,5 godzinnej jeździe jesteśmy w Damnoen Saduk.

Tutaj nasza przewodniczka wsadza nas po kilka osób do łodzi motorowych i ruszamy na wycieczkę kanałami wzdłuż których znajdują się domostwa tutejszej ludności. Cisza i błogi spokój, zmaćca huk silników łodzi motorowych. Natomiast miejscowych ani widu ani słychu. Domy na brzegu jakby wymarłe. Po kwadransie pływania docieramy na właściwe miejsce czyli targ wodny. Teraz od razu wiadomo dlaczego kanały były wymarłe. Całe życie od rana toczy się w tym miejscu. Pierwsze wrażenie z marketu to jeden wielki chaos i turystyczna cepelia. Niestety z powodu bliskości Bangkoku miejsce to zmieniło się na użytek rzesz turystów. Na lądzie szeregi stoisk z pamiątkami, ceny dość wysokie. Na kanałach również łodzie z pamiątkami. Dajemy się namówić na wiosłową łódkę, bo skoro już tu jesteśmy to spróbujemy. Okazuje się to być błędem. Ruszamy po kanale. Atrakcja szybko się kończy, bo ruch łódek z turystami tak duży, że droga się zapycha i łódki burta w burtę stoją w gigantycznym korku. 30 minut płynięcia zamienia się w stanie w korku i próby wiosłarza, aby przebić się dalej. Na okolicznych łódkach sprzedawcy mają wszystko dla potrzeb turystów – niezliczone ilości pamiątek, kapeluszy, owoców (trochę tańsze niż na lądzie). Na tych małych łódeczkach są też całe kuchnie, gdzie z gotujących się garnków można kupić zupe, czy nawet sajgonki. Sprzedawcy cały czas pokrzykują. Mają nawet specjalne kije z metalowym hakiem, aby łapać łódki z turystami i przyciągać je do swojego „sklepu”. Owoce na tackach, których dosłownie jest parę kawałków kosztują tu 40 batów. Niestety myśleliśmy, że będzie to bardziej regionalny targ, a nie taka cepelia. Podobno targ dla miejscowych jest tu zanim przyjadą turyści, czyli bardzo wcześnie rano. Raz udaje nam się zobaczyć łódkę ze świeżym mięsem. Kiedy zmęczeni tę pół godzinną przeprawą i pokonaniem malej odległości wysiadamy na brzeg trafiamy do kolejnych setek sklepików. Tutaj przynajmniej te same owoce kosztują 20 batów. Hmm dwa razy taniej... Na schodkach przy kanale są poukładane ceratki, które imitują stoły, bo poniżej u brzegu na

łódkach funkcjonują całe kuchnie. Można sobie usiąść na schodku i zamówić obiad.

Skręcamy w jedną z odnóg kanałów, gdzie jest mniej turystów, a przy brzegach stoją łódki z bardziej lokalnym towarem. Można tu kupić egzotyczne owoce, warzywa i mięso. Cena owoców spada do 10 batów. No i to rozumiem. Robimy trochę zdjęć i próbuję starfruta, czyli owoc który pokrojony w plastry wygląda jak gwiazdka, a w Polsce nazywa się karambolą. Próbuje też jakieś dziwne zielone jabłuszko, które jednak swoim smakiem wcale jabłko nie przypomina, jest nawet gorzkawe. Nie smakuje mi wcale. Najładniej wyglądają łódki z owcami. Poukładane są według owoców. Niektóre mają pięknie zestawione różnokolorowe owoce, co nadaje uroku całym łódkom.

Po dwóch godzinach, chwilę po 11 mamy zbiórkę. Wsiadamy do busa, który jedzie na miejsce spotkań innych busów i tam następuje przemieszczanie turystów w zależności od wykupionych opcji wycieczkowych. Przesiadamy się do busa jadącego do Kanchanaburi, gdzie znajduje się słynny most na rzece Kwai.

Ruszamy w dalszą drogę. Dzisiaj z nieba leje się żar. Słońce grzeje dzisiaj jak w jakimś piekarniku, a na niebie tylko pojedyncze obłoczki. To już w sumie trzeci dzień bez kropelki deszczu. Przed 13 zatrzymujemy się na lunch, który jest w cenie wycieczki. O dziwo bardzo smaczny. Każdy otrzymuje ryż z kruczką w warzywach, sałatkę z kapusty i brokułów oraz omlet z jajka. W naszym busie głównie Holendrzy. Taki mały kraj, a co chwilę na turystów z tego państwa się na tykamy. Czyżby połowa mieszkańców Holandii miała w tym samym czasie urlop i postanowiła spędzić go w Indochinach?

Docieramy do Kanchanaburi. Kanchanaburi jest średniej wielkości miastem, słynnym z Mostu na rzece Kwai, zbudowanym w 1942 roku przez amerykańskich i brytyjskich jeńców wojennych w japońskiej niewoli. Znajdują się tu także dwa muzea upamiętniające wydarzenia z tamtych czasów, pomnik oraz cmentarze wojenne.

Poza mostem, który można przejść na piechotę, lub przejechać pociągiem, muzeami i cmentarzami, okolica obfituje jeszcze w inne atrakcje, które sprawiają, że Kanchanaburi jest jednym z popularniejszych i najchętniej odwiedzanych miejsc w Tajlandii.

Najpierw zostajemy przez przewodnika zaprowadzeni pod muzeum. Jednak z Pawłem postanawiamy najpierw zobaczyć most. Idziemy więc nad rzekę.

Kolej Śmierci – właściwie Kolej Birmańska (ang. Death Railway, Burma Railway) – linia kolejowa wybudowana przez Japonię w czasie II wojny światowej w latach 1942-1943. Kosztem tego przedsięwzięcia była śmierć wielu tysięcy ofiar wśród zatrudnionych – alianckich jeńców wojennych i ludności cywilnej. Liczbę ofiar szacuje się na ok. 100 tys. cywili i 16 tys. jeńców. Szczególnie ciężka była budowa torów przez przełęcz Hellfire Pass. Linia połączyła miasta Bangkok w Tajlandii i Rangun w Birmie, przez co miała kluczowe znaczenie dla japońskiej okupacji Birmy i planowanej ofensywy na Indie. Znacznie skracała też drogę zaopatrzenia dla japońskich oddziałów. 2 kwietnia 1945 kluczowy punkt linii – most nr 272 (most na rzece Kwai) został zbombardowany przez lotnictwo amerykańskie. Jego historia jest jednak bardzo interesująca. Pierwsza wersja mostu była drewniana, a jego budowę ukończono w 1843 roku. Most został zbombardowany, i zaraz potem rozpoczęto tworzenie stalowej konstrukcji, która stoi do dziś. Aktualnie linia przejezdna jedynie na odcinku ok. 130 km.

Po moście można się przechadzać pomiędzy torami, jednak trzeba uważać bo co parę minut przejeżdża mała kolejka turystyczna. Poza tym jest tu dość wąsko i brakuje zabezpieczeń. Jednak ludzie jakoś się mijają. Całe szczęście, że co kilkanaście metrów są wyznaczone miejsca, gdzie można przeczekać kolejkę, lub minąć się z większą grupą zwiedzających.

Wracamy pod muzeum kolei. W przedsionku stoi stara, ale ogromnych rozmiarów japońska lokomotywa. Muzeum Kolei Tajsko-Birmańskiej w Kanchanaburi – interaktywne centrum i muzeum tzw. Kolei Śmierci, zlokalizowane w Kanchanaburi w Tajlandii, 128km na zachód od Bangkoku. Muzeum sąsiaduje z obszernym cmentarzem wojennym z okresu II wojny światowej, na którym spoczywają jeńcy wojenni, zmarli i zamordowani podczas budowy linii kolejowej z Bangkoku do Rangunu w Birmie w latach 1942-1943. Liczbę ofiar tej budowy szacuje się na ok. 100 tys. cywili i 16 tys. jeńców.

Muzeum przybliży informacje związane z budową linii i życiem więźniów, w szczególności

posługując się makietami, prezentującymi fragmenty linii, ich budowę, czy też tereny obozów (w tym makiety z wykorzystaniem światła wyobrażających pory dnia i efektów dźwiękowych). Placówka dysponuje też dużą ilością ciekawie pokazanych oryginalnych przedmiotów z czasów budowy. Ekspozycja dzieli się na 9 części, tzw. galerii: wprowadzenie, projektowanie i konstrukcja linii, geografia linii, życie w obozach, mini kino, śmierć w obozach, funkcjonowanie gotowej linii, bombardowanie i zniszczenie linii oraz linia po wojnie. W jednej z sal wyeksponowany jest wstrząsający pomnik wycieńczonych jeńców. Oglądamy więc stare samochody, żołnierskie mundury, broń, a także maszyny do szycia, wyposażenie pokoju oficera – gramofony, projektory filmów, instrumenty, lektyki i riksze. Jest też cała góra banknotów, która pozostała z tamtych czasów. Trafiamy również na ekspozycję bomb lotniczych.

Na parterze muzeum znajduje się czynna chińska apteka, gdzie pośród starych, drewnianych szaf wypełnionych przedziwnymi specyfikami ze skór, wiórków, roślin, siedzi sobie aptekarz i coś tam sobie stuka na maszynie do pisania. Może nowy pomysł na uzdrawiający lek?

Po zwiedzaniu muzeum jedziemy jeszcze na pobliski cmentarz. Zrobiony w amerykańskim stylu, czyli trawa i tylko małe tabliczki z imieniem i nazwiskiem, krajem pochodzenia oraz symbolem oznaczającym czy był katolikiem, żydem. Pochowani są tu głównie Anglicy, Amerykanie i Holendrzy.

Stąd wracamy do Bangkoku. Do hotelu docieramy koło godziny 17. Bierzymy prysznic i idziemy na ostatni spacer ulicami Bangkoku. Chęć kupić na pamiątkę jeszcze małego słonika. Na miejsce kolacji wybieramy danie, które okazuje się być bardzo ostre. Jest to makaron z kurczakiem, ale dużo w tej potrawie papryczek chili i innych przypraw. Na całe szczęście pikantny smak łagodzi pyszny świeży sok z pomarańczy. Jest tak dobry, że wypijamy dwie butelki od razu, a dwie bierzemy na wynos.

Ostatnie baty wydajemy na shaky. Dzisiaj wybieramy o smaku mango- passiflora (czyli smarki). Smakuje wybornie. Smarki nadały owocom mango lekko kwaskowaty smak. Pychota.

Wracamy do hotelu. Pakujemy się przed wylotem, zabezpieczamy przede wszystkim rzeczy, które są kruche, aby podczas przerzucania bagażu nic im się nie stało. Potem szybka kąpiel i idziemy spać na dosłownie 3 godziny.

25.07.2009 (sobota)

Budzik dzwoni o 1:40. no cóż pora wstawać i ruszać na lotnisko. O drugiej wychodzimy z hotelu i łapiemy taksówkę. Taksówkarz cieszy się, że trafia mu się kurs na lotnisko. Każemy mu jechać nie autostradą, aby nie płacić za nią tylko za sam licznik przejechanych kilometrów. I tak jest noc więc na lokalnej drodze ruchu nie będzie, tym bardziej, że lokalna droga i tak wygląda jak autostrada. Taksówkarz jest nad wyraz gadatliwy. Opowiada, że nocą kiedy mniejszy jest ruch na ulicach niektórzy kierowcy nie zważają na sygnalizację świetlną i przejeżdżają. Na skrzyżowaniach są zainstalowane kamery i łapią tych co nie przestrzegają światła. Chociaż niektórzy myślą, że się uda, Tego kierowcę kiedyś w ciągu jednej nocy złapano dwa razy, a mandat srogi, bo aż 500 batów. Biorąc pod uwagę, że taksówka na lotnisko to 300 batów.

Jedziemy obok linii nadziemnej kolejki, która jak pisałam wcześniej mają otworzyć na urodziny królowej. Dojeżdżamy na lotnisko płacąc tym razem za przejazd 255 batów. W związku z tym zostaje nam jeszcze 100 batów, czyli 10zł na wydanie.

Idziemy nadać bagaż. Jest 2:30, do odlotu jeszcze 2,5 godziny, a niestety odprawa już trwa i przed okienkiem już kilometrowa kolejka. No i pierwszy raz jesteśmy jednymi z ostatnich, a nie tak jak zwykle pierwsi. Nie będzie miejsc przy oknie od strony Himalajów.

Na środku hali przedziwne zjawisko. Po turecku siedzi całe mnóstwo Tajów w zielonych koszulkach. Jest ich dobra setka. Ich bagaże są ustawione równo rzędami przed stanowiskiem odprawy. Najpierw jedna osoba załatwia całej grupie miejsca w samolocie, a potem oddaje paszporty. Z kolei Tajowie mając swoje paszporty ustawiają się przy swoich walizkach i rozpoczynają nadawanie bagażu. Wszystko w jak największym porządku. W naszej kolejce przed

nami grupa polskich turystów. Takich trochę nowobogackich, co będą opowiadać jak to na wakacjach byli w Tajlandii. Opaleni jakby większość czasu spędzili na plaży. Jak ich się słucha, to aż żal że to są nasi rodacy. Dobrze, że tylko my rozumiemy o czym mówią. Już szykują się na tani alkohol w strefie wolnocłowej...

Kiedy docieramy do okienka biletów, okazuje się, że oczywiście nie ma miejsc od tej strony aby widzieć Himalaje, ale szczęście w nieszczęściu, że mamy „dwójkę” z drugiej strony, a nie w środku samolotu. Byłaby wielka nuda, a tak mimo wszystko będę miała co oglądać przez okno.

Pozbywszy się balastu jakim jest bagaż idziemy do Burger Kinga gdzie kupujemy gorące ciasteczka za nasze ostatnie tajskie pieniądze. Aby dojść do hali oczekiwań musimy pokonać po raz kolejny całe kilometry hali lotniskowej. Przy odprawie okazuje się, że para Ukraińców stojąca przed nami musi zapłacić po 1000 batów kary za nieważne od 2 dni wizy tajskie. W hali Tajowie zajęli większą część miejsc. Czekamy.

O 4:45 wsiadamy do samolotu ukraińskich linii lotniczych. Większość samolotu to podróżująca grupa Tajów. Jadą zapewne do pracy gdzieś w Europie. Zajmują miejsca i od razu okładają się do snu. Poubierani w puchowe kurtki i wełniane czapki. To jest dla mnie nie zrozumiałe...

Godzina 5 rano i samolot startuje. Polacy umawiają się na wspólne „obalanie” zakupów alkoholowych z wolnocłówki... Po niedługim czasie za oknem wstaje dzień. Słońce wschodzi po prawej stronie samolotu. Uff od strony Himalajów, więc przy ostrym świetle i tak bym gór nie zobaczyła. Teraz będziemy przez parę godzin cały czas gonić poranek. Fajne to uczucie, kiedy co się patrzy za oknem mamy wczesny poranek.

W samolocie nuda. Po 20 minutach chyba zepsuł się projektor do wyświetlania filmów. Posiłek w tych liniach otrzymujemy tylko dwa razy o 6 i 12 (czasu indochińskiego). Takiej nudy to już dawno nie odczuwałam. Na dodatek cały samolot śpi. Ciekawe co robią piloci... nie pozostaje mi nic innego jak większość lotu przespać.

Lot z Bangkoku do Kijowa trwa 9 godzin i 30 minut toteż w Kijowie lądujemy o 14:30 czasu indochińskiego, czyli 10:30 czasu kijowskiego. Na krótko przed lądowaniem po kabinie samolotu rozchodzi się swąd palonych kabli... hmm ukraińskie linie lotnicze, dobrze, że za chwilę lądujemy.

Po lądowaniu siadamy w poczekalni. Teraz mamy aż 4 godziny do naszego samolotu do Warszawy. Tajowie też zakładają obozowisko po jednej stronie hali. Dowiaduje się od nich, że mają samolot dopiero za 8 godzin. Lecą do pracy w Norwegii. Ha, stąd te puchowe kurtki i wełniane czapki. Chyba dużo się nasłuchali o zimnej Skandynawii, tylko, że tam teraz mimo wszystko jest lato. Kupują wodę mineralną, gazowaną. Nie mogą się jej nadziwić. W Tajlandii nie ma wody z bąbelkami. Poza tym za wszelką cenę chcą podładować komórki, ale w Europie są niestety inne nie pasujące gniazdka.

I w końcu przychodzi nasz lot. Teraz lecimy naszym rodzimym LOTem, jak miło kiedy przy wejściu ktoś daje nam polską gazetę. Będę miała co czytać. Półtorej godziny lotu mija jak z bicia strzelił. Na dodatek odejmując kolejną godzinę. W Warszawie lądujemy o 15. Za trzy godziny mamy pociąg do Krakowa. No to jeszcze siądziemy gdzieś, coś zjeść. Kiedy wychodzimy na halę, naszym oczom ukazują się nasi znajomi z Krakowa – Bartek i Warszawy – Maciek. Bartek przyjechał spotkać się z nami na lotnisku, bo Paweł ma do przekazania japonki. Bartek wieczorem leci z grupa turystów do Indonezji.

W kilka osób siadamy w Pizzy Hut. Szybkie dzielenie się wrażeniami, posiłek i musimy pędzić na pociąg. Korzystamy z taniej linii, czyli jedziemy szybkim wagonem osobowym. Co chwile przysypiam. Jeszcze się nie wyspałam w samolocie? Wagonem rzuca na boki co chwilę uderzam głową o szybę. Masakra. O 21 wysiadamy w Krakowie. Z dworca odbiera nas Robert.
..... Dom....

Kilka słów na zakończenie. Azja na razie jest dla mnie tym kontynentem gdzie warto

wracać. Gdzie człowiek ma poczucie bezpieczeństwa. Nigdy nie mam wrażenia, że stanie mi się coś złego, że miejscowi ludzie mnie napadną, okradną itp. Azjaci Azji Południowo-Wschodniej to z gruntu rzeczy bardzo poczciwi ludzie, chociaż biedni. W tym roku mieliśmy okazję poznać bliżej Laos i Kambodżę oraz „liznąć” Tajlandię i Malesję. Dzięki temu mogę powiedzieć kilka słów o tym regionie, co łączy, a co dzieli te kraje.

Indochiny to naprawdę super miejsce - każdy kraj niby taki sam, a jednak bardzo inny. Z jednej strony bogata Malesja, a po drugiej biedna Kambodża, a gdzieś pomiędzy nimi Laos. Malesja ma świetną infrastrukturę – miasta, sklepy, drogi, natomiast Kambodża - to biedne wioski z błotnistymi traktami. Najmilsi i najbardziej uśmiechnięci ludzie są w Laosie. Z kolei w Kambodży najwięcej smutku po reżimie czerwonych Khmerów i konsekwencjach wybuchów min - czyli ludzie bez rąk i nóg. W Kambodży wiele osób znalazło sposób na biedę. Wyciąga pieniądze od turystów zebrząc i wieszając się na nich, to straszny widok, ale nie powinno im się dawać pieniędzy za nic. Uczą się, że tak właśnie można pozyskać pieniądze. W najłatwiejszy sposób. Hold należy złożyć tym, którzy mimo kalectwa zakładają zespoły muzyczne i w ten sposób pracują, zarabiając na utrzymanie rodziny. Krajobraz Indochin również urzeka. Przepiękny górzysty Laos i wielka równina (żeby nie powiedzieć płaska) nizina Mekongu w Kambodży. Heh i najwięcej smażonych "robali" - pajaków, karaluchów, koników polnych itp. w Kambodży. A co je łączy w tej chwili? Na pewno nieprzewidywalna pora deszczowa (będzie padać albo nie będzie padać, a jak będzie to jak długo?), wielka rzeka Mekong, połacie zielonych pól ryżowych, przepiękne wodospady (teraz gdy pada), wszędobylskie pojazdy tuk - tuki, potrawy kuchni indochińskiej, cudowne gekony i moje kochane bawoły wodne i mogłabym tak wymieniać bez końca, bo Azja jest magiczna!!! Jest tam tak pięknie. Ludzie prowadzą tak prosty i często spartański tryb życia, a jednocześnie wyglądają na szczęśliwych. Wydaje się, że często nie posiadają zbyt wiele przedmiotów. Rzeczy, rzeczy w naszym bardzo cywilizowanym świecie Europy to zmore. Gromadzimy je Bóg jeden wie po co i na dodatek w takich ilościach. Sama niestety też nie mogę temu pędowi za rzeczami się oprzeć. Jednak mam swoje podróże, które pokazują mi, że jest jeszcze całkiem inny świat. To słynne hasło Laosu „proszę nie spiesz się” mówi samo za siebie. Kiedy jest się w Azji, czas zwalnia, nie ma po co się spieszyć. Tu nic nie jest na czas. Bus jak przyjedzie to odjedziesz, a jak nie przyjedzie to poczekasz do następnego dnia. Nic się przecież nie stało. Chociaż i tam świat się zmienia. Ludzie nawet w swoich prowizorycznych chatkach z bambusa mają jedną ze zdobyczy cywilizowanego świata – telewizję. Tutaj też kiedyś wszystko się zmieni. Jednak jeszcze sporo czasu musi upłynąć, aby obecne życie tych ludzi upodobniło się do naszego. Azja to tygiel kultur, ludzi, religii, przyrody. Właśnie to kocham w Azji najbardziej... Oby trwało to jak najdłużej, abym mogła tam jeszcze nie raz zawitać i zobaczyć inne kraje i innych ludzi. Tam wraca się naprawdę z ochotą.



Tak śmieje się Azja:)